

Poezje
L. I'ondratowicza
(Wł. Syrokomli)

Tom VI.

Mikołów
K. Miarka Sp.



POEZJE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM VI.



Mikołów 1922.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI



1/vi

9726 5

884-1

„Zbiory Śląskie”

4kc K Nr 281/77-1

PRZEKŁADY
Z ROZMAITYCH JĘZYKÓW.

FRAGMENTA Z KSIĄG HIOBA.

ROZDZIAŁ I.

Vir erat in terra Hus nomine lob, et
erat vir ille simplex, et rectus ac timens
Deum, et recedens a malo.

W krainie wschodniej, co się Hus nazywa,
Mieszkał mąż Hiob za dawnego wieka;
A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka.
Miał siedmiu synów i trzy córki hoże,
A swego mienia policzyć nie może:
Siedem tysięcy owieczek w swej trzodzie,
Trzykroć po tysiąc wielbłądów gromadzi,
Pięćset jarzm wołów i siła czeladzi.
Był to mąż wielce bogaty na wschodzie.

A każdy z synów wyprawiał biesiadę,
Kiedy na niego kolej dnia przypadła;
Trzy siostry do nich przychodziły rade,
I było dosyć napoju i jadła.
Gdy dni biesiadnych kolejka minęła,
Ojciec ich wzywał do świętego dzieła,
A rano wstawszy, wiódł ich do świątyni
I za każdego modlił się z osobna,
Ofiarę Bogu całopalną czyni.
Bo mówił w sobie: — Do prawdy podobna,
Że któryś z młodych grzechem się zaprószy,
Nie błogosławił Panu w swojej duszy.
Tak się znaczyła Hiobowa cnota
Przez wszystkie chwile długiego żywota.

Pewnego razu, kiedy syny Boże,
Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,
Stały przed Panem w uroczystym chorze,
Zjawił się szatan u tronu Jehowy.

— Skąd to powracasz? — Przedwieczny go spyta.
Odpowie szatan: — Chodziłem po ziemi,
Przebiegłem całą oczyma mojemu,
Żadna jej częśćka przede mną nie skryta.
I rzekł Jehowa: — Czyś widział w podróży
Tego, co z ludzi najlepiej mi służy?
Mieszka w Hus ziemi, Hiob się nazywa,
Nie masz na ziemi równego mu człeka,
Bo dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka.
Odpowie szatan: — Znam serce Hioba,
Czyż on za darmo tak Boga się boi?
Nie zna, co losów jakakolwiek proba,
Ogrodzon murem łaskawości Twojej;
A Twoje oczy najtroskliwiej strzegą
I domu jego, i majątku jego.
W błogosławieństwie ma dobytek, dziatki,
Jego majątność przysparza się wszędzie;
Ściśnij go nieco, odejmij dostatki,
Obaczym, jak ci błogosławić będzie?
I rzekł Jehowa: — Krom jego żywota,
Oto-ć Hioba majątność oddana;
Doświadcza, czem jest sprawiedliwych cnota.
I szatan odszedł od oblicza Pana.

Syn pierworodny w oznaczonej chwili
Przyzwał na ucztę i siostry, i braci.
Gdy brali pokarm, kiedy wino pili,
Przybieżał goniec przelękłej postaci,
I rzekł: — Hiobie! o biada nam, biada!
Cały dobytek marnie ci przepada.
Twoje oślice pasły się w dąbrowie,
A twoje woły na polu orały;
Wtem przyszli srodzy sabejscy mężowie
I zagarnęli twój dobytek cały.
Wyrznęli czeladź straszliwi ciemiezce,
Jam ledwie umknął zwiastować o klęsce!

Jeszcze nie skończył — drugi goniec wpada,
I rzekł: — Hiobie! o biada nam, biada!
Piorun niebieski uderzył w owczarnię,
Pobił twe trzody i twoje owczarze,
Wszystkie budowy poszły z dymem marnie,
Jam ledwie umknął donieść o pożarze!
Jeszcze nie skończył — trzeci goniec wpada,
I rzekł: Hiobie! o biada nam, biada!
Chaldejczykowie trzema hufy wpadli,
Wzięli wielbłądy, gdy pędzono w pole,
Sług twych pobili wrogowie zajadli,
Jam jeden umknął zwiastować niedolę!
Jeszcze nie skończył — czwarty goniec wpada
I rzekł: — Hiobie! o biada ci, biada!
Syn twój najstarszy dzisaj ucztę czyni,
Orszak twych dzieci był wszystek zebrany:
Wtem dziki wichur przypadł od pustyni,
Zatrząsnął domem i zgruchotał ściany,
A dzieci twoje. zwalone na ziemi,
Legły. pobite bierwiony drewnami.
Jam ledwie zdołał przybieżeć ku tobie,
By twe nieszczęście zwiastować, Hiobie!

Więc Hiob powstał i rozdarł swe szaty,
Ogolił włosy, co zdobyły ciemię,
A święcąc Panu poniesione straty,
Uczynił pokłon, upadłszy na ziemię:

— Nago powrócę do mogiły łona,
Jak nagom wyszedł z łona mojej matki.
Pan dał. Pan odjął znikome dostatki,
Niech wola Jego będzie pochwalona!
Uczynił ze mną wedle Swojej chęci,
Niech Imię Jego na wieki się święci!
Tak mając duszę ku Panu gotową,
Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

ROZDZIAŁ II.

Factum est autem, cum quadam die venissent filii Dei et starent coram Domino.

Stało się tedy, kiedy syny Boże,
Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,
Stały przed Panem w uroczystym chorze,
I szatan przyszedł do tronu Jehowy.

Skądże powracasz? — Przedwieczny go spyta.
Odpowie szatan: — Chodziłem po ziemi,
Wzdłuż, w szerz przebiegłem oczyma mojemu,
Żadna jej częśćka przede mną nie skryta,
Rzekł Pan: — Czy byłeś gdzie Hiob przebywa?
Niemasz na ziemi równego mu człowieka,
A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka;
Choć go dotknęła niedola surowa,
Jeszcze niewinność swego serca chowa.
Tyś mię pobudził, bym szukał w nim winy,
Abym go trapił bez żadnej przyczyny.
Odpowie szatan: — Niewielkieć to próby,
Człek się dla duszy na wiele zdobędzie;
Dotknij go tylko boleścią choroby,
Obaczysz, jak Cię błogosławić będzie.
Odpowiadając, rzekł Pan do szatana:

Oto ci władza nad Hiobem dana:
Czynić z nim wszystko prawa ci udzielię,
Jeno zachowaj duszę w jego ciele.
I szatan odszedł z oblicza Jehowy,
I oto druga zaczęła się próba:
Jątrziwym wrzodem zaraził Hioba
I ciężkim bólem od stóp aż do głowy.
I usiadł łazarz na kupie śmiecia,
Wrzód jadowity skorupą wyciska.
Przyszła doń żona i gniewliwie rzecze:

Czyś jeszcze gotów błogosławić Bogu?
Wytrwaj w prostocie, niebaczny człowiecze,
I błogosławiąc, umrzyj na barłogu!
Odpowie Hiob: — Szalenieś zbluźniła!

Bezbożnej mowy nie przedłużaj dalej;
Przyjmujmy klęski, które Pan przysyła,
Jakośmy dary Jego przyjmowali.
Tak mając duszę ku Panu gotową,
Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

A trzech miał wiernych sobie przyjacieli, —
Ci o nieszczęściu jego usłyszeli
I przyszli k'niemu: Eliph z Temanity,
Baldat Suhitczyk i Sophar z Namaty,
Gdzie leżał nędzarz ranami okryty.
Chcieli go cieszyć wśród cierpień i straty.
Lecz gdy nań oczy podnieśli z oddali,
Nie mogli poznać wśród choroby świeżej;
Więc zakrzyknęli, ręce załamali.
I darli, płacząc, kraj swoich odzieży,
I padli na twarz z żalem i popłochem,
I przysypali swoje głowy prochem.
Siedem dni całych siedzieli na ziemi
I siedem nocy — nie rzekli ni słowa,
A poglądali oczyma łzawemi,
Jak ciężka była boleść Hiobowa.

ROZDZIAŁ III.

Post haec aperuit Iob os suum et maledixit.

Otworzył usta, i złorzeczając mówi:
— Przeklęty trzykroć ów dzień i godzina,
Gdy się kazano rodzić człowiekowi,
Kiedy swą drogę życia rozpoczyna!
Dzień, w którym światłość błysła mi do oka,
Niech z grobowego nie wyświta ciemna.
Niech się Bóg o nim nie pyta z wysoka.
Niech będzie czarny, jak otchłań podziemna!
Noc mych urodzin — niechaj burza grzmiąca,
Niech zniszczy wicher ciemny, tajemniczy,
Niechaj nie idzie w liczbę dni miesiąca.
Dziękam pustkowiem niech stanie ze szczętem,
Dobre jej imię niech będzie odjętem,

Od jej ciemności niech gwiazdy pogasną,
Niech jej jutrenka nie oświeca złota,
Iż nie zawarła dni mego żywota,
Iż oczom moim dała widzieć jasno!
Czemu mię w łonie matki nie zabili?
Czemum nie umarł w urodzenia chwili?
Na co mię brano na ręce, na łono?
Na co mię pierśmi do życia karmiono?
Teraz, śpiąc martwo, spoczywając błogo,
Mieszkałbym wobec i książąt, i króli,
Co wielkie państwa w pustyniach zasnuli,
Co złota, srebra przeliczyć nie mogą,
Gdzie nie drży strachem drużyna bezbożna,
Kędy odpocząć spracowanym można.
Gdzie niegdyś skuci więzy społecznemi
Dzisiaj poborców nie słyszą wołania,
Gdzie równi słabi i potężni ziemi,
Gdzie niewolnika żaden nie pogania...
Na co jest światło dla oczu nędzarza?
Na co jest życie wśród goryczy ducha?
Czekają śmierci, a śmierć się nie zdarza,
Wołają zgonu ale zgon nie słucha...
Szukając skarbów, mąż cieszy się w duszy,
Kiedy odkopie grobowisko stare;
Lecz widok grobu weselej poruszy
Tego, kto cierpień dopełnił już miarę,
Którego drogi sterały się marnie.
Kogo Bóg wcześniej ciemnością ogarnie.
Nim pożywienie zakosztuję nieco.
Pierwej westchnienie z mych piersi wychodzi,
Jęki z ust moich tak gwałtownie lecą,
Jak gdyby loskot szumiacej powodzi.
Strach, com się lękał już przedemną stawa,
Już się sprawdziła bolesna obawa.
Bwowało dusza żalom się nie poda,
Pokorniem milczał, póki serce może,
A za mój spokój — toż moja nagroda.
Ze przyszło na mnie zagniewanie Boże?

ROZDZIAŁ IV.

Respondens autem Eliphaz Themanites, dixit . . .

Na takie słowa Eliph z Temanity,
Odpowiadając, mówił do Hioba:
— Może-ć się mowa moja nie podoba,
Ale głos w piersiach nie może być skryty.
Tyś uczył ludzi, tyś goił ich ranę,
Tyś nieraz krzepił ręce spracowane,
I niejednemu twe słowo pomaga,
Że się utwierdzał na swej ciężkiej drodze;
Teraz, gdy przyszła i na ciebie plaga,
Otoś na sercu zatrwożył się srodze.
Gdzie bojaźń Pańska? gdzie twe mocne czyny?
Gdzie jest ślad twoich dróg doskonałości?
Proszę cię. wspomnij, kto zginał bez winy?
Gdzie są zgładzeni cnotliwi a prości?
Widziałem nieraz duszę niecnotliwą:
Boleść jej siejba i boleść jej żniwo;
Straszny gniew Pański głowy ich dosięga,
Jednym podmuchem z siły ich wywłaszcza,
W proch się obraca dzikich lwów potęgą,
Srogi ryk lwicy i jej szczeniąt paszcza,
Piaśtunów lwicy rozproszą się stada,
A krwawy tygrys bez żeru przepada.
Słyszałem do mnie tajemnicze słowo,
Szeptanie jego słyszałem z wieczora,
Gdy człowiekowi ponad senną głową
Zwykły ulatać widziadło i zmora.
Strach mie do kości przejął uroczysty,
Stały włosy, drżałem nieprzytomnie.
I głosem cichym, jakby wiatru świsty,
Ktoś nieznajomy tak przemawiał do mnie:
Azali człowiek uniewinnion będzie,
Co do Niebiosów równa się Mocarza?
Czyliż mąż ziemski w jakimkolwiek względzie
Zdoła być czystszy, niż Ten, co go stwarza?
Ci, co mu służą, jakże są niestali!
W aniołach znalazł nieprawości ziarno;
Ludzie, w glinianych domach zamieszkali,

Co orzą ziemię błotnistą i czarną,
 Daleko więcej do grzechu gotowi,
 Dają się zepsuć brzydkiemu molowi.
 A od poranku do wieczornej zorzy
 Będą wycięci, polegną w ruinie.
 A kto pojęciu serca nie otworzy,
 Kto nie rozumie — wiekuiście zginie.
 Będzie od niego bracia odłączona,
 A w swej głupocie zmarnieje i skona.

ROZDZIAŁ V.

Voca ergo, si est qui tibi respondeat,
 et ad aliquem sanctorum convertere.

Wołajże tedy — niech wybrany który
 Na twe pytania odpowiedź uści.
 Zabija głupca jego gniew ponury,
 Maluczki ginie od własnej zawiści.
 Widziałem w świecie potęgę zbrodniarzy
 I złorzeczyłem ozdobie ich głowy;
 Lecz niech syn jego o szczęściu nie marzy,
 Być na proch startym niech będzie gotowy.
 Chleb jego żniwa rozjedzą zgłodniali,
 Bogactwa jego rozplyną się rzeką,
 Przyjdzie mąż zbrojny, w bitwie go obali
 I uprowadzi w niewolę daleką.
 Pewna przyczyna dla wszystkich jest rzeczy,
 A żadna boleść nie wyrasta z ziemi.
 Na znój i pracę zrodzon syn człowieczy,
 Na lot stworzone ptaki skrzydlatemi.
 Pójdę do Pana i mowę przełożę.
 Niech mi objaśni miłosierdzie Boże.
 On dziwne rzeczy, On tworzy co chwila
 Niewybadane, niezliczone w mowie,
 On ziemię deszczem rześnistym zasila,
 Podniósł pokornych, a słabym dał zdrowie,
 Rozchwiał złośliwych wszelką myśl złowrogą,
 Rozbroił ręce, że szkodzić nie mogą.
 On wikła chytrych w ich siდეł narzędzie,
 Radę przewrotnych uczyni daremną;

Zbrodniarz w dzień biały omackiem iść będzie,
 Jakby go nocne otaczało ciemno.
 Ale słabego od gwałtu zachowa,
 Uciśnionemu udzieli otuchy;
 Ani mu ostra zaszkodzi obmowa,
 Miecz jej stępuje i stanie się kruchy.
 W dzień uciśnienia błogo człowiekowi!
 Nie szemraj w duszy, gdy jesteś karany;
 Niemasz co jęczeć, bo Pan cię uzdrowi,
 Ręka. co rani, uleczy twe rany.
 Siedm ciężkich ciosów ominie twą głowę
 I siódma plaga od ciebie uciecze,
 Czy głód pustoszy. czy wojenne miecze,
 Czy złego człeka sykanie wężowe.
 Będziesz stał krzepko. gdy klęska uderzy,
 Śmieszna ci będzie najsroższa niedola,
 I głód, i pomór. i ryk dzikich zwierzy,
 I zawrzesz sojusz z kamieniami pola.
 W twoim przybytku ujrzysz spokój błogi.
 Czysty na sercu zakwitniesz w ozdobie,
 Twego potomstwa rój piękny a mnogi,
 Jak wonne ziółka. uśmiechnie się tobie.
 Wnijdziesz do grobu bogaty, wesoły,
 I chlubny w życiu z swoich plonów wiele,
 Jako snop pszenney wniesion do stodoły,
 Który żniwiarzów serce uwesela.
 Tegośmy doszli, stroskany Hiobie!
 Pomnij te słowa i rozbieraj w sobie.

ROZDZIAŁ VI.

Respondens autem Iob, dixit: Utinam appenderentur peccata mea, quibus iram meruit, et calamitas, quam patior, in statera.

Na to mu Hiob na odpowiedź rzecze:
 — Możem zaprawdę wywołał gniew Boży!
 Niechże cierpienia i nędzy człowiecze
 Z memi grzechami na szalę położy.
 Szala mych cierpień, och! cięższa sto razy,

Niż piasek morski, co przesiąknął wodą!
Gdy strzały Pańskie moje piersi bodą,
Bolesne idą z ust moich wyrazy.
Żądła pocisków duch mój wypijają.
A strachy Pańskie obsiadły mię zgrają.
Czyż osieł leśny jęk żałosny wyda.
Kiedy ma trawy dostatek przy sobie?
Czyż będzie ryczał wół przy pełnym żłobie?
Czy w strawie naszej smakuje ohyda?
Czy można przełknąć, gdy jadło bez soli?
Czyliż w truciźnie jest zdrowie i siła?
Do czego dusza dotknąć się brzydziła,
Tem się dziś karmić muszę po niewoli!
O któż w nadziei umocni mi ducha?
Kto mi uczyni że mię Pan wysłucha?
Kto pocznie karcić, niech karci dotkliwie,
Wyciągnie rękę i niech mię uderzy.
Bolesnym ciosem niech boleść uśmierzy,
A mowom świętym ja się nie sprzeciwię.
Cóż moja siła? jam steran przez nędzę,
Trudno cierpliwie znosić mą pokutę:
Jam nie kamienny w swoich sił potędzie.
A ciało moje nie z miedzi wykute!
Duch mój sam w sobie wspomóżenie traci!
Kto z przyjacielem cierpienia nie dzieli,
Ten bojaźń Pańską zlekceważył podle;
A bracia moi odemnie zniknęli,
Jaki szybki potok, co nie stoi w źródle:
Boją się szronu, by nie zmroził zdradnie,
A oto na nich ciężki śnieg przypadnie.
Bóg ich rozproszy niedługą godziną,
Gdy śnieg roztaje, marnie się rozplyną.
Uciekać będą, ale chód ich słaby,
Bo powikłali swe ścieżki na ziemi:
Patrzcie na drogę Themy albo Saby,
A obaczycie, co stanie się z niemi!
Przyszli tu do mnie, wstydem się okryli,
Żem miał nadzieję w mej bolesnej chwili!...
Wy, co mej doli świadkami jesteście,
Strach was ogarnia, i czemuż was straszę? —

Czyżem ja prosił: Dary mi przynieście!
Dajcie mi bracia, majątności wasze!
Czyżem ja wołał: Dajcie krew w ofierze!
Z nieprzyjacielskich szponów mię wyrwijcie!
O jedno proszę: Bym kierował życie,
Czego nie umiem, nauczcie mię szczerze!
Czyż słowom prawdy wy uwłaczać warci?
Ja będę milczał, kto chce niech mię karci.
Lecz wasze słowo na wiatr tylko idzie,
Miota zelżywe połajania śmiecie;
Wy na sierotę targnąć się w ohydzie,
Wy przyjaciela obalić umiecie.
Obaczmy, kończcie, jakeście zaczęli.
Słuchajcie pilno, czy ja kłamstwo baję,
Mówcie bez kłótni, co się wam wydaje,
Niech sprawiedliwość wyroku udzieli.
Droń nieprawości ominąłem zdala,
A słowo głupstwa ust moich nie skala.

ROZDZIAŁ VII.

Militia est vita hominis super terram, et
sicut dies mercenarii, dies ejus.

Życie człowieka jest to walka cicha;
Dzień jego życia to dzień najemniczy.
Niewolnik w pracy do drzew cienia wzdycha,
Najemnik chwile do zachodu liczy.
Tak się i u mnie zdarzały do syta
Miesiące drzemki, lub noc pracowita.
Do snu się kładąc, pytam: Kiedy wstanę?
Czyliż mam czekać i boleć do zmroku?
Ciało zgnilizną prochu przyodziane,
Jam próżen wszelkiej nadziei widoku!
Dni moich pasmo prędzej się roztacza,
Niż zwój płócienny pod nożycą tkacza...
Życie jest wiatrem. takeś stworzył Panie!
Nie umiem oczu wznieść ku dobrej rzeczy;
Ty spojrzysz na mnie. i już mię nie stanie,
Już mię nie zdoła znaleźć wzrok człowieczy!

Jak białe chmury znikną i przebiegą,
 Tak znika człowiek, — tu był, tu go niema;
 Już nie powróci do domu swojego,
 Ani go ziemia obaczy rodzima...
 Niech biedna głowa marzyć rozpoczyna,
 Pogwarzę z sobą, gdy mną boleść miota.
 Czyż ja wieloryb? czy morska głębina?
 Za cóż mię straszna otacza ciemnota?
 Niechaj mię łoże moje uweseli,
 Niech się rozmówię sam z sobą w pościeli.
 Ale Ty, Panie, nastraszasz mię we śnie,
 Wstrząsasz mą duszę widziadłem zwodniczem!
 O życiu mojem zwątpilem zawczasie,
 Przebacz mi, Panie! bo życie jest niczem...
 Bo cóż jest człowiek? uzacniasz go! poco?
 Za co Twa dusza ku niemu wylana?
 Zaledwieś Łaską nawiedził go z rana,
 A już go zaraz doświadczasz Twą Mocą!...
 Długoż bolesną mam przebywać drogę,
 Że w piersiach przelknąć oddechu nie mogę?
 Stróżu ludzkości! jam grzeszny! cóż zrobię?
 Na coś mię stawiał naprzeciwko Tobie?
 Dlaczego grzechu mego nie zmazano?
 Codzień mi z sobą ciężej i nieśmielej...
 Ja w prochu spocznę, poszukasz mię rano,
 Ale już zginę, bo mię proch spopieli...

ROZDZIAŁ VIII.

Respondens autem Baldad Suhites, dixit...

Baldat z Suhity na odpowiedź mówi:
 — Czż długo będziesz mówił tak niejasno?
 Czyż Pan jest sprzeczen własnemu sadowi?
 Czyż On obala sprawiedliwość własną?
 Synowie twoi. gdy przy nim zgrzeszyli,
 Dał je na pastwę ich własnych bezprawii;
 Lecz ty. w porannej gdy się ockniesz chwili,
 Gdy Wszechmocnemu modła się odprawii,

Gdy będziesz czysty, gdy duch się uprości,
I Pan się ocknie w swej sprawiedliwości.
Jeśli początki twe były za małe,
On wyolbrzymi koniec twoich chęci.
Uważaj wieki dawniejsze, zbutwiałe,
Spytaj usilnie swych ojców pamięci,
(Bo my jesteśmy ludźmi wczorajszemi,
A życie nasze jest cieniem na ziemi);
A głos twych ojców z pod serca odpowie,
Gdzie siła życia spoczywa ukryta.
Czyż bez wilgoci zakwitnie sitowie?
Wzrośnie bez wody oczeretu kita?
Patrzaj na zeszlą wśród upalnej suszy:
Zda się łądoga zielona i w kwiecie, —
Otoć umarła. spróchniała już przecie,
Dotkniesz jej ręką. a w rękę się kruszy.
Tak obłudnicy wejdą na bezdroże,
Bo jeden wigor — to jest prawo Boże.
Bóg żądze głupich zniszczy do ostatka,
A ich nadzieja. to pajęcza siatka.
Choć ściany domu podeprze plecami,
A przecie razem ze ścianą upadnie;
Ssać pokarm z ziemi napróżno się mami,
Stosy kamieni przytłoczą go zdradnie.
Pan wyrwie z ziemi pasożytne ziele,
I rzecze k'niemu: Nie znam cię za syna!
Bo w drogach Pańskich tam większe wesele,
Gdzie korzystniejsza wykwita roślina;
Bo Pan Bóg mieszka. gdzie szczerzy a prości,
Nie da ich w szpony ludzkich nieprawości.
On wargi twoje do śmiechu wykrzywi,
Krzykiem powitasz bezbożnych bożyszczę;
Wstydić się będą twoi nieżyczliwi.
Gmach nieprawości upadnie na zgłiszczę.

ROZDZIAŁ IX.

Et respondens Iob, ait: Vere scio, quod ita sit,
et quod non justificetur homo compositus Deo.

Odpowie Hiob: — Toć prawda wymowna,
Będzie potępion, kto się z Bogiem równa;
Kto z nim szermierzyć puści się na słowa,
Ten na słów tysiąc jednego nie powie;
Kto był mu sprzeczen, a spokój dochowa,
Wielką miał mądrość i w sercu i w głowie!
Bo Pan, ockniony w zapalczwym gniewie,
Zdolen wstrząść ziemią a góry przenosić,
A człowiek, sądząc, że przemądry dosyć,
Spełnia wyroki, o których sam nie wie.
Pan gwiazdom pieczęć przykładą swą siłą,
Pan każe słońcu, aby nie wschodziło,
Nad firmamentem rządzi Jego władza,
Po falach morskich On sam się przechadza;
On gwiazd gromady na niebie rozmieścił,
On w liczbie — dzieła niezliczone streścił.
Nie wiem, gdy do mnie skieruje swą drogę,
A gdy odchodzi, ja zgadnąć nie mogę.
A jeśli pyta, to któż mu odpowie?
Kto Go zagadnie: czemu to lub owo?
Nikt się Bożemu nie oprze gniewowi,
Choćby krąg świata dźwigał nad swą głową.
I któż ja jestem, abym memi słowa
Dawał odpowiedź na słowa Jehowy?
A choćbym sądził i słusznie, i szczerze,
Mego sędziego najprzód się poradzę.
Kiedy mię słucha — ja jeszcze nie wierzę.
Och! bo mi przy nim braknie na odwadze!
Bo w mgnieniu oka zawichrzy powietrze,
Boleść pomnoży i we proch mię zetrze!
Pytasz o siłę — Pan treścią jest siły,
A w sądach Jego któż za mną poświadczy?
W głębi mej duszy skona głos doradczy,
Własne mię usta przed Nim potępiły.
Nie uniewinnią starania mię żadne,
Czy ja mam słusność? — sam tego nie zgadnę.

Jedno, co dusza wyznać się odważy:
On sam cnotliwych, On niszczy zbrodniarzy.
Lecz kiedy chłoszczę, niech zabije raczej,
Niżby miał sztydzić z niewinnych rozpacz.
Posiada ziemię ręka niegodziwa,
Oblicze ziemi rój sędziów przykrywa;
Lecz jest nad sędziów wielki Sędzia przecie, —
Jeśli go niema, to któż jest na świecie?...
Dni są jak goniec, co pospiesza nagle:
Przeszły i dobra zgoła nie widziały,
Spieszą, jak okręt, co rozwinie żagle,
Lecą, jak orzeł na żer między skały...
Rzekłem: Zaniecham bluźnierczych bezpraw;
Lecz twarz się zmienia, a boleść mię dław.
Mych własnych czynów byłem w duszy trwożny,
Bo wiem, że grzechy zwykłeś karcieć srodze;
A jeśli jestem mimo to bezbożny,
To cóż po pracy? to cóż po mej trwodze?
Choćbym się omył — do czegoż mi służy?
Choćby mi ręce białością się lśniły,
Ty mię pogrążysz w ohydnej kałuży,
Będą mną szaty moje się brzydziły.
Bo Ty masz wszystką potęgę nade mną,
Bośmy nierówni i z ciała, i z ducha;
Ciebie przed sądem stawieć nadaremno,
Który nas obu zarówno wysłucha.
Gdy żaden sędzia nie znajdzie sposobu
Ręki swej kary położyć na obu,
Niechże przynajmniej na mą słabość zważa,
Odejmie różdkę swojej gniewnej chłosty,
Swoim postrachem niech mię nie przeraża,
Będę doń mówił na mój sposób prosty;
Bo póki groźno po mem licu śledzi,
Jakże mam dobyć słowa odpowiedzi?

ROZDZIAŁ X.

Taedet animam meam vitae meae, dimittam
adversum me eloquium meum...

Tęskno mej duszy na świecie, jak w grobie,
Brzydzą mię życia mego koleje;
Więc będę mówił sam przeciwko sobie,
Gorycz mej duszy przed Panem wyleję.
I rzeknę Panu: Nie karz, niech nie ginę,
A jeśli sądzisz, to powiedz przyczynę!
Czyliż, o Panie! dobrem Ci się widzi,
Że mię uciśniesz? jam Twe dzieło, Boże!
Gdy się Twój sługa sromotnie zawstydzi,
Toć się bezbożnik na siłach wspomóż.
Czyż Twoje oko, co wszystko przenika,
Patrzy cielesnem spojrzeniem grzesznika?
Alboż dni Twoje to człowiecze chwile,
A lata Twoje jako ludzkie lata,
Abyś miał badać moich grzechów tyle,
Jako mię własna nieprawość przygniata?
Łacno Ci wiedzieć, żem dusza bezbożna,
Wszak z Twojej ręki wyrwać się nie można.
Samaś mię stworzył, a dziś ciosem młota
Niszczysz, co własna utworzyła praca.
Wszak byleś skinał, a moja istota
Upada w błoto i w proch się obraca.
Jako mleczarka z dojnych wymion krowy
Wyciska mleko i ma ser gotowy,
Takeś mię stworzył — oblokłeś mię ciałem,
Kośćmi i ścięgny utrwalał zostałem.
Daleś mi życie, dałeś miłowanie,
Strzegła mię Łaska wśród żywota burzy.
Pocóż to tać zdało Ci się, Panie?
Alboż ja nie wiem, że Ci pamięć płuży?
Jeżelim zgrzeszył — oplakuję zbrodnie;
Czemuś mi cnoty zatamował drogę
Dla chwili grzechu? — Dziś sprawiam się godnie,
A przecież podnieść mej głowy nie mogę.
Że byłem pyszny jako leśna lwica,
Wziąłeś mię w sidła między leśne drzewy;

A Twoja pomsta dzisiaj się nasycą,
Nad mą słabością wywiera swe gniewy.
Przyzwałeś świadki, żem się puszył marnie,
I nad mą głową pomnażasz męczarnie.
Wyjść z łona matki Ty mi dałeś siły,
Na coś na słońce otworzył me oczy?
Byłbym jak nie był! — z życia do mogiły!
Kiedyż mię ciemno grobowe otoczy?
Puść mię ze świata! a nim dni ulecą,
Kilka dni moich na tej ziemi łonie,
W mojej boleści niech popłaczę nieco;
Potem niech ciemno grobowe owionie
W krainie nędzy, śmierci i ciemności,
Gdzie bez porządku, jeno przestrach gości.

ROZDZIAŁ XI.

Respondens autem Sophar Naamathites, dixit...

Rzekł na odpowiedź Sophar z Naamithy:
— Kto wiele mówi, niechże przecie słucha!
Człowiek, w szerokie wyrazy obfity,
Usprawiedliwić nie potrafi ducha.
Tobie się zdaje w pysze twego serca,
Że ci zuchwale chlubić się wypada,
Że kiedy innych ośmieje szyderca,
To już szydercy żaden nie przegada.
Rzekłeś. Hłobie: — Czyste moje słowa!
Jestem niewinien przed Pańskim obliczem!
Bogdaj do ciebie przemówił Jehowa!
By cię oświecił słowem tajemniczem,
By cię objaśnił w swej mądrości drodze,
W drodze Zakonu by ci dowiódł jasno,
Że chociaż cierpisz, lecz cierpisz mniej srodze,
Niżliś zasłużył nieprawością własną.
Myślisz, jak widzę, śledzić Pańskie kroki
I zbadać Wszechmoc że ci siły stanie;
Lecz On wysoki... nad niebo wysoki,
Głębszy niż piekiel głębokie otchłanie,



Dłuższy niż ziemia, a szerszy niż morze, —
 Jakże Go zdołasz ogarnąć, nieboże?
 Jeżeli wszystko do gruntu obali
 Lub ściśnie w garści wszechświatów ogromy,
 Jacyż się jemu sprzeciwią zuchwali?
 On zna człowieka, On grzechów świadomy.
 Mąż jeno próżny podnosi się w pychę,
 Aby tajemnych dróg Pańskich dochodził;
 Leśnej oślicy jeno żrebie liche
 Mówi do siebie: — Jam się wolnym zrodził! —
 I ciebie myśli zajęły dziecięce,
 Przeciwno Niemu wyciągnąłeś ręce.
 Gdy cię odstąpi wszelka myśl nieprawda,
 To zniknie razem twój strach i obawa;
 Jako nie myślisz o ubiegłej wodzie,
 Zapomnisz cierpień, co ci serce bodą;
 Gdy będziesz myślał o życiu zachodzie,
 On ci jutrenkę rozpromieni młodą;
 Weźmiesz do serca otuchę nieznana,
 I będziesz krzepki, jakby cię wkopano.
 W twoim spoczynku już strach nie przenika,
 Zbiegną się patrzeć, jak ci twarz jaśnieje,
 Kiedy się zaćmi oko bezbożnika
 I pierzchną jego obrzydłe nadzieje...

.

ROZDZIAŁ XII.

Respondens autem Dominus Iob de turbine, dixit...

A z szmeru wichrów Pan rzekł do Hioba:
 — Ktoś jest przede mną, marny synu ziemi?
 Czemu się skarżysz? przecz ci się podoba
 Wikłać wyroki słowy niebaczniemi?
 Przepasz twe biodra, ja będę cię badał,
 Odpowiedz, mędrco, co twa myśl spamięta!
 Gdzie byłeś wtenczas, gdym ziemię zakładał,
 Kiedym jej trwałe ciosał fundamenta?
 Kto jej budowę i ciężkość obliczy?
 Kto ją rozmierzył pod sznur budowniczy?

Kto jej podstawę ugruntował trwale?
Kamień węgielny kto pod nią położył?
Czy byłeś wtenczas obecny mej chwale,
W obliczu ludzi i porannej zorzy?
Kto fale morskie, jak drzwiami lub kratą,
Zamknął w łożysko, uczynił brzeg suchy,
Okrył je chmurą, jakby mglistą szatą,
Ostonił mrokiem, jak dziecię w pieluchy?
Jam te granice wskazał niedościgłe,
I do wrót morskich przyprawiłem rygle,
I rzekłem morzu: Tu przyjdą twe wały,
A tu się fala burzliwa rozpryska.
Czyż twoje myśli ukazać zdołały
Porannej zorzy miejsce stanowiska?
Czyż ty, trzymając za ziemne krawędzie,
Z oblicza ziemi otrząsałeś zbrodniarze,
Światłość niezbożnych że odjęta będzie,
A silne ramię złamaniem się skarże?
Wniść w morskie głębie czy zdolna twa władza?
Po dnie przepaści wiesz jak się przechadza?
Czy uchyliłeś straszne śmierci wrota?
Czy oglądałeś czarne drzwi otchłanie?
Szerokość ziemi jako jest osnuta?
Daj mi odpowiedź na me zapytanie!
Gdzie jasna światłość, a gdzie ciemność mieszka?
Jakie są cele tych obojga rzeczy?
Jakie ich prawa i jaka ich ścieżka,
Czyś wyrozumiał, o synu człowieczy?!
O twych urodzin czy wiedziałeś dobie?
Liczba dni twoich czy znajoma tobie?
Czy byłeś w skarbcu, kędy śnieg się chowa
I kędy gradu tajemne schowanie?
Na nieprzyjaciół jaka broń gotowa,
Kiedy dzień walki morderczej nastanie?
Czyś zbadał drogi i światła, i słońca?
Albo podziały i stopnie gorąca?
Wiesz jak deszczowa ulewa się wzbudzi?
Obliczysz drogę piorunowej siły,
Aby w pustyni, kędy niemasz ludzi,
Z deszczem się trawy lepiej zieleniły?
Kto ojcem deszczu? skąd rodzi się rosa?

W czym żywocie poczęły się lody?
 Kto białym szronem przysypał niebiosą?
 Kto spoił w kamień wirujące wody?
 Kto grzbiety rzeczne jak gdyby szkłem zalał?
 Kto wierzch topoli bryłami zawalał?
 Rozpierzchłe gwiazdy czyś policzyć w stanie?
 Czy zerwiesz łańcuch, którym je spojono?
 Czy wyprowadzisz poranne świtanie
 Lub brzask wieczorny na niebiosów łono?
 Czy na twój rozkaz z obłoków czeluści
 Deszcze popłyną lub piorun się spuści,
 I przed obliczem twem się zastanowi,
 I rzecze tobie: Otośmy gotowi!
 Kto wielką mądrość wlał w serce człowieka?
 Kto drobne kury rozmysłem obdarza?
 Na kogo niebo albo ziemia czeka?
 Kogo uznają za swego mocarza?
 Kto wyprowadza kamienie i bryły?
 Kto każe prochom, aby się zlepiły?
 Powiedz, człowiecze, czy cała twa władza
 Zdoła nakarmić wygłodniałe lwiąta,
 Kiedy ich matka na żer się zasadza?
 O kruku leśnym, powiedz, kto pamięta?
 Czy twoja mądrość zaspokoi kruka?
 Czy go nakarmi w przyzwoitej chwili,
 Gdy się tulając pożywienia szuka,
 A głodna dziatwa w niebogłosy kwili?...

1854—1856. Borejkowskiżyczna.

URYWKI I PARAFRAZY.

Z EKLEZJASTYKA.

Rozkosze mi niegdyś płynęły nawalem
 W młodzieńczych mych piersiach wrzał ogień namiętny;
 Lecz przeszło złudzenie, została tęsknota,
 I kwiaty uwiedły, i pękła nić złota,
 Blask oka zardzewiał, — znudzony, niechętny,
 Rozkosze marzeniem nazwałem.

Jam później bił czołem przed pychy obliczem,
Wielkością, bogactwem i sławą się pieścąc;
Lecz szczęścia nie było, duch czegoś chciał jeszcze,
I wielkość nazwałem niczem.

Zechciałem być mądrym, chwyciłem za księgę,
Dróg prawych szukać pragnąłem,
I we dnie, i w nocy, z męczarnią, mozołem,
Badałem mądrości potęgę.
Śledziłem, czytałem, lecz było mi mało,
Chęć nauk została mi piekłem;
Mądrości-m nie pojął, a szczęście skonało:
Mądrość jest próżnością! wyrzekłem.

* * *

Na co mi władza, siła olbrzyma,
Gdy nie mam władzy nad sercem mojem?
Jakże obdarzę ludzi pokojem,
Gdy w duszy mojej pokoju niema?
W złotym pałacu, na miękkim puchu,
Na lubych dziewic rozkosznem łonie,
Jam nudził życiem, marzył o zgonie:
Szczęście dla ducha jest tylko w duchu!
Kiedym opływał uciech zapasem,
Wszystko mym żądzom było w usługę,
Podły niewolnik dziwił się czasem,
Czego ja tęsknię, czego się nudzę?

* * *

Rzekłem: Poznać ludzi muszę, —
Poznałem — i zapłakałem!
Pod jak pięknem kryją ciałem
Złe i nieszczęśliwe dusze!
Czy dni smutku, czy wesela,
Ich się dusza dzika, sroga
Wiecznie w dzikich myślach grzebie;
Człowiek — wróg swojego wroga,
Wróg swojego przyjaciela,
Wróg najstraszliwszy dla siebie.

* * *

O! nic pod słońcem, nic nowego!
 Co jest, to było i nie minie:
 Dawniej łyzy biegły, jak dziś biega,
 I krew płynęła, jak dziś płynie.
 I dawniej człowiek biegł za zyskiem,
 I dawniej bywał po kolei
 Smutną ofiarą i igrzyskiem
 Losów, słabości i nadziei.
 I wnuki nasze może srodze
 Wyśmieją prochy naszych kości, —
 I będą iść po naszej drodze
 Nieszczęścia, marzeń i słabości,
 Płacić wiek łez radości chwilką,
 Marzyć o świetle, brodzić w ciemnie,
 I łyzy, i krew toczyć wzajemnie,
 I pomrą ludźmi — ludźmi tylko.

1847. Załącze.

Z POEZJI TYCHONA BRAHEGO.

NA DREWNIANE

NARZĘDZIE PARALAKTYCZNE WYNAŁAZKU I ROBOTY KOPERNIKA.

Is, qualem non terra per saecula multa Procreat...
 Is ille, qui coelo genitus, coelestia terris Progenit...

Takiego męża ziemia przez wiekowe chwile
 Wydać nie w sile...

Niebo go urodziło uczyć ród człowieczy
 Niebieskich rzeczy...

On zachwiał całe niebo prawami wiecznemi,
 Słońce zdołał zatrzymać i kazał biec ziemi,
 Księżycowi ukazał, gdzie mu być potrzeba,
 Przekształcił oblicze nieba.

Kopernik na to dzieło iść się nie zachwiewa,
 Z laską tylko kunsztownie ustruganą z drzewa.
 Piszę prawa niebiosom jego mądra władza,
 Pod wymiar lichej trzaski gwiazdy podprowadza,

Zatrzymywa ich biegi, z niebem spaja duszę.
Nikt jeszcze ze śmiertelnych od początku świata
Nie był tak wszechmogącym — cóż nad geniusze?
Niegdyś olbrzym, gdy w niebo wysokie kołata,
Skląda góry na górach, głaz na głazy wali,
Osse, Pelion, Etnę, zgromadza na stosy, —
Przecież silni na ciele, ale duchem mali,
Nie mogli olbrzymowie wdrzeć się w niebiosy.
A ten, ten wielki mędrzec, schylony nad księgą,
Wątki ciałem, lecz silny umysłu potęgą,
Nie wsparty żadną mocą, z małą trzaską drzewa,
Wszedł na szczyt firmamentu, skąd słońce dogrzewa.
O! to pamiątka mędrca — ze wszystkimi blaski
Złoto jeszcze niegodne okupić tej trzaski.

ADAMA SCHRÖTERA

URYWEK Z POEMATU „O ŻUPACH SOLNYCH WIELICKICH“.

Gdym solne lochy rozpatrywał chciwie,
Dobry Koszyński, mając mię na pieczy,
Rzekł mi: — Adamie! dowiesz się o dziwie,
Trzeba mu wierzyć jak doznanej rzeczy.
Kiedy z gór naszych woda się zakradnie,
Zaleje lochy i wsiąknie do jamy,
Od wody proszek wyrabia się snadnie,
Co my saletrą w Polsce nazywamy.
Wtenczas się zdarza, że idąc, kopacze,
Lampą na ciemnej przyświecają drodze,
Płomień od lampy aż na ściany skacze,
Jaskinia buchnie, zadymi w požodze.
A wzdęty płomień przelatuje wszędzie
I nie wprzód zgaśnie aż saletrę wyje.
A biada temu, kto w ognisku będzie!
Płomień go spali, a wyziew zabije.
Ale bywałych doświadczenie uczy:
Kopacz z pośpiechem na ziemię się kładnie,
A ogień wierzchem przelatuje, huczy,
Spala saletrę i zgasa bezwładnie...

PIOSENKI J. P. BERANGER'A.

KRÓL ĆWIECZEK.

(PARAFRAZA).

Był sobie niegdyś król Ćwieczek,
Z dziejów nie wiele go znano:
Wstawał późno, kładł się rano,
Unikał wojen i sprzeczek;
Zamiast korony na czoło,
Stroił się prostą szlafmycą;
A naród krzyczał wesoło:
— Takiego króla wokoło
Nie znajdziesz nawet ze świecą!
Nie znajdziesz, próżne gadanie!
Taki wyborny człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

Jadł cztery razy na dobie;
A wesół i dobrej daty,
Siadał na osielka sobie
Objeżdżać swoje powiaty.
Przy jego królewskiej mości
Pies zamiast rycerskiej straży;
A naród pełny radości,
Wiedzie go z włości do włości.
Wolają młodzi i starzy:
— Zdaje się, choć w pańskim stanie,
Zuch, wesół, dobry człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

On się na puhar nie skrzywi,
Od kufla się nie zakrztusi;
Bo gdy poddani szczęśliwi,
I królże przecie żyć musi!
U stołu poddanych zjada
Garnek kaszy za podatek;

Więc go spotyka gromada,
I przeprowadzać go rada,
Krzyczy u każdych rogatek:
— To król! to nasze kochanie!
To co się zowie człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

A dziewczętom tak się gładko
Przypodoba i zaleci,
Że królował nad gromadką,
Jako ojciec pośród dzieci.
Wojny nie miał i w zamiarze;
Tylko gdy się podweseli,
Przy rozwiniętym sztandarze,
Cztery razy na rok każe
Strzelać tak sobie... do celi...
I daje sute śniadanie...
— Ot to honestus człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

Chęć zaborów go nie mami,
Po bratersku żył z sąsiady;
Pohulanki i biesiady
Zawarował statutami.
Król i lud żyli bez kłótnie;
Tylko na jego mogile,
Kraj, wesoły przez lat tyle,
Po raz pierwszy płakał smutnie:
— Oj, wieczne odpoczywanie!
Dobry był, dobry człowieczek!
 Niemasz mospanie,
 Jak był król Ćwieczek!

Jego obraz i dziś jeszcze
Ze czcią chowa się w narodzie:
Jest to na starej gospodzie
Szyld wypłwiałą przez deszcze.
Tam, gdzie się zbierze gromada,
Niejeden do łez się wzruszy:

— To był król Ćwieczek nielada!
Bawi się, pije, zajada...
Wieczny odpoczynek duszy!
Bo co to? próżne gadanie!
Rzadkiej był cnoty człowieczek!
Niemasz mospanie,
Jak był król Ćwieczek!

PAN SZCZĘSNY HULAKIEWICZ.

(ROGER BONTEMPS).

Pod złe czasy urodzony,
A wesół zawsze i wszędzie,
Dla męczenników śledziony
Pan Szczęsny wzorem niech będzie.
Aby swobodnie się wiodło,
Stronić od głupców oblicza:
Oto dewiza i godło
Szczęsnego Hulakiewicza.

On zwykł przywdziewać od święta
Ojcowski kapelusz duży;
Zawsze go zdobić pamięta
Gałązką bluszczu lub róży;
Jeden płaszcz od lat dwudziestu
Zawsze mu ciepła użycza:
Oto jest ubiór od festu
Szczęsnego Hulakiewicza.

W jego mieszkaniu stół, łoże,
Flecik ze wstęgi przepaską,
I puhar kwartowy może,
Co Bóg napęłnia swą łaską;
Pusta skrzynka, a w portrecie
Postać kochanki dziewicza:
Ot wszystkie skarby na świecie
Szczęsnego Hulakiewicza.

Dla dzieci zręcznie i prędko
Wymyślić sztukę i cacko,

Starszych zabawić gawędką,
Spleść jaką powieść cudacką,
Tańczyć, zaśpiewać wśród gości,
Gdy ochota biesiadnicza:
Oto treść całej mądrości
Szczęsnego Hulakiewicza.

Przestawać na swoim losie,
Pić wino, jakie się zdarzy,
Przenosić wierną Małgosię
Nad wdzięki pieszczonych twarzy,
Że każdy dzionek, co mija,
Miłość i radość policza:
To cała filozofia
Szczęsnego Hulakiewicza.

— Boże, Tyś Ojciec jedyny,
Ja ufam Tobie jak dziecie!
Nie racz poczytać za winy,
Że wesół żyję na świecie;
Niech póki życia domierzę,
Nie mam chmurnego oblicza!
Oto są całe pacierze
Szczęsnego Hulakiewicza.

Ludzie, co zawiść was miota,
Nędzni w bogactwa ogromie,
A których rydwan żywota
U kresu zbacza i chromie,
Wy, których potęga mami,
Lub godność jaka zwodnicza,
Sprostujcie życie wzorami
Szczęsnego Hulakiewicza.

WIOSNA I JESIEŃ.

Dwie pory roku każdemu służą,
Kto się żyć błogo nie leni:
Na wiosnę radzi pieścim się z różą,
A z winnem gronem w jesieni.

Z rana miłością serce rozżarzę,
Winem, gdy słońce się chowa;
Wiosną mówimy: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Trzeba skojarzyć i to, i owo,
A życie raźniej popłynie;
Jednak przebierać miarkę niezdrowo
Ani w miłości, ni w winie.
Tutaj koniecznie roztropność każe,
By mądra była umowa;
Na każdą wiosnę: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Z piękną się w maju spotkałem różą,
Podbiła serce ochocze;
Och, bałamutka! och, dziwactw dużo
Zniosłem przez całe półroczce!
Figiel za figiel, wiem, jak ukarzę!
Jesień mój spokój uchowa;
Mówilem wiosną: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Kocham, to rzucam piękną Adele,
I żal niewielki, i praca;
I pożegnała, i za dni wiele
Znowu mi serce powraca.
Ale już wtedy po letnim skwarze
Piosnką płonęła mi głowa:
Rzekłem na wiosnę: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Lecz czarodziejka wszystko przemienia,
Plan się mój cały nie ziści:
Winu dodała moc upojenia.
Serce zawrzało ogniściej.
Dla niej nie trudno zmieszać w zamiarze
Najrozsądniejsze me słowa:
Na wiosnę — przyszła myśl o puharze;
W jesieni — miłość gotowa!

TRUP ŻYJĄCY.

Kiedy się nudzę, gdy świat z daleka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Nie zliczę dwóch;
Lecz kiedy strącę nudów okowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdy dzwonią głupcy w szkatuły wieka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Zamarł mój duch;
Gdzie wina ze mną wiek jednakowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdzie roztrząsają, co możliwych czeka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Zdrętwiał mój ruch;
Ale gdzie słabi podnoszą głowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Kiedy na wojnę naród się zwleka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Pierzcham jak puch;
Gdzie palnie z flaszki ogień korkowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdzie mądrość wielkich rzeczy docieka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka
Wśród brzęku much;
Lecz w gwarze piosnek, bratniej rozmowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdzie się kazanie długo przewleka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Tępy mój słuch;

Gdzie woła przyjaźń, nie znam odmowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Jasny pan wchodzi, radość ucieka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Nie pański druh;
Gdy wchodzi dziewczę pięknej budowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Trzeźwą łódź życia gdy popchnie rzeka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
W morze mię pluch!
Lecz ze szklanicą pod wiatr żaglowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC.

(Voyage au Pays de Cocagne).

W kraj szczęśliwy, kraj Boski,
Gdzie się żyje bez troski,
Podróżujmy wesoło, jak dzieci!
Rozegrzanym po winie
Niech się skrzydło rozwinie, —
Hej! na księżyc wyprawa polec!

W kraju pięknej nadzieje
Niech się z losów pośmieję,
Niech zbuduję rozkoszne pałace.
Co za ziemia szczęśliwa!
Mlekiem, miodem opływa,
I używam, i grosza nie płacę.
Po podróźnej fatydze
Gmachy z tortów już widzę,
Jak Luwr pyszny podnoszą swą głowę;
A przy każdym filarze
Zbrojne warty i straże,
W ich ręku halabardy cukrowe.

Co za słodka systema!
Tu z żelaza nic niema,
Z cukrów nawet armaty i działa;
Z jagód, fruktów i kwieci
Malowidło się świeci,
Mozaika, rzeźba wspaniała.

Stańmy nieco przed placem:
Tu arlekin z pajacem
Wyprawiają ludowi igrzyska;
W środku bije fontanna,
To nie woda źródłana,
Ale wino pieniste wytryska.

Długi szereg kucharzy
Mięso piecze i warzy,
Prawa ucztę pogwałcać nie można;
Bo kto jeno przekroczy,
Stawia kodeks przed oczy,
Każą kręcić pieczone u różna.

Tam w pałacu zasiada
Tucznych mężów obrada,
Składa hołd wesołości, swej pani.
Rzeczy dobrze snadź idą:
Wenus, bożek Kupido,
Słowem, wszyscy okrągli, rumiani.

Wszystko szczęściem oddycha,
Twarzy nie dmie im pycha,
Niema spojrzeń ukośnych, poswarek:
Wszyscy prości a szczerzy,
Równi wobec wieczerzy:
Warto z nimi wychylić puharek!

Pięknych niewiast rój hoży,
A żadna się nie sroży,
Postać ucztę zaprawdę godowa;
Szkłanka o szklanek brzęka,
Szumi rzeźwa piosenka
Lub figlarna a pusta rozmowa.

Mąż po sutej biesiadzie
 Na stół głowę swą kładzie,
 I zasypia, nie marząc zawistnie;
 Choć wzrok matek ponury
 Wciąż wlepiony na córy
 Lecz pod stołem się rączka uściśnie.

Wszyscy życiem natchnieni
 Każda twarz się rumieni
 Tu nie ujdzie twarz chmurna i blada;
 Gdy godzina uderzy,
 Każdy, kontent z wieczerzy,
 Spokojniutko do snu się układa.

Jaka tam miłość braci!
 A nikt długów nie płaci,
 A w miłostkach o stałość nie pyta!
 A gdzie dusza szczęśliwa,
 Wiek powoli upływa, —
 Sto lat żyją szczęśliwi do syta.

Na księżycu w tej sferze
 Człowiek życia nabierze...
 Ale cóż to?... znów żywot powszedni!
 Kto z marzenia mię budzi?
 My w gospodzie... wśród ludzi...
 Płaćmy z karty rachunek obiedni!

DZIEŃ ZADUSZNY.

Czy słyszycie?... z kościoła
 Mruczy głucho dzwon stary:
 Do modlitwy nas woła,
 Karci nasze rozgwarzy.
 Tam ksiądz głosi przemowę:
 Rzućcie pieniądz na tacę!
 To za dusze czyścowe,
 Requiescant in pace!

Płaćmy grobom dań pieśni,
Rzućmy kwiaty koleją;
Kłamcy niby boleśni
Niech je łzami obleją.
Ja myślom zmarłym z czoła,
Ja hołd przeszłości płacę,
W zaduszny dzień kościoła,
Requiescant in pace!

.

Grób od ojców nas dzieli, —
Czyż nas pamięć ich straszy?
Oni z nędzy się śmieli,
A my śmiejmy się z naszej!
Ze mną miłość wesoła,
Kielicha z rąk nie tracę:
W zaduszny dzień kościoła,
Requiescant in pace!

Precz wszelki żal kobieci,
Gdy legnę do mogiły!
Bogdajby nasze dzieci
Weselsze od nas były!
Ścieląc całunów sukno,
Niech wspomną nasze prace,
Niech głośnym chórem hukną:
Requiescant in pace!

STAROŚĆ.

Dzień po dzionku marnie schodzi,
Czas na czole zmarszczki pisze;
Chociaż jeszcze dosyć młodzi,
My starzejem, towarzysze!
Lecz kto lubi kwiatów sploty,
Kto w młodzińcze wierzy mary,
Kto ma czucie swej istoty,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Próżno winem człek się świeży
I piosenką bezprzytomną:
Krasawice przy wieczerzy
Smutną starość nam przypomną:
Lecz do świtu kto w humorze
Bez ustanku chyli czary,
Kto choć drżący śpiewać może,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Zwolennicy ideałów,
Dziś nie spełnim, co się marzy.
Towarzyszki naszych szalów
Przymawiają, żeśmy starzy.
Lecz kto skromnie się udziela,
Kto się słusznej dierząc miary,
Ma w kochance przyjaciela,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Dzisiaj młodzieź choć nam wróży
Naszą starość niezawodną,
Że natchnienie nam nie służy,
Że piosenki nasze chłodną; —
Lecz kto czuje duch śpiewaczy,
Zdoła jąć się strun cytary,
Zebrać w kółko swych słuchaczy,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Chwilkę, chwilkę, towarzysze,
Wiosny pieśńmy się obrazem.
A gdy młodość nie dopisze,
Postarzejem wszyscy razem.
Lecz kto głowy nie kłopotą,
Choć ma ciężkich trosk bez miary,
Kto doścignął cel żywota,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

P T A S T W O.

Srogiej zimy pęd szalony
Chaty, pola nam pustoszy.
Ptastwo leci w obce strony
Z pieśnią szczęścia i rozkoszy.
Lecz nad powab cudzej strony
Kraj rodzinny żywiej świeci:
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znów na wiosnę tu przyleci.

On nie tyle po swej stracie,
Ile po nim my boleśni,
Że w pałacu ani w chacie
Nie usłyszym jego pieśni.
On tam będzie rzewne tony
Dla szczęśliwych nucił dzieci.
Ptaszek zimą popędzony
Znów na wiosnę tu przyleci.

My-ć zazdrościm, ptaszku chyży!
Tobie lepiej i swobodniej.
Wnet się do nas chmura zbliży,
Już wiatr mroźny wieje od niej.
Kto na skrzydłach jest niesiony,
Szczęsny! ujdzie od zamieci!
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znów na wiosnę tu przyleci.

Kiedy burzy prąd przeminie,
Gdy odetchną pól obszary,
On zatęskni po rodzinie
I powróci pod dąb stary.
Wróżyć pieśnią letnie plony,
Wróżyć wiosną pełną kwieci,
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znów na wiosnę tu przyleci.

STARA KAPOTA.

Zostań mi wierną, stara odzieży!
Wszakżeśmy z sobą starzeli w parze;
Już rok dziewiąty wspólnie nam bieży,
Niech takiej sztuki Sokrat dokaże!
Bądźże wytrwała, -- choć czas i mole
Grożą zniszczeniem, n^e troszcz się o to;
Filozoficznie znoś swoją dolę,
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Musisz pamiętać tę słodką chwilę,
Gdym cię raz pierwszy przywdział wspaniale,
Kiedy prawdziwych przyjaciół tyle
Śpiewało pieśni ku twojej chwale.
Dziś, choć straciłaś swą barwę czarną,
Bracia nie wzgardzą naszą lichotą,
Po staroświecku do serc przygarną.
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Wszak pomnisz wiosny naszej poranki?
Wszak cenisz wspólne wspomnienia nasze?
Gdym się wyrywał z objęć kochanki,
Ona-ć oddała sute karwasze.
Musisz pamiętać to dziewczę młode,
Jak się rumieniać z miłą prostotą,
Drobnemi ściegi naprawia szkodę...
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Czyż drogiej ambry zbyt kowną wonią
Splamilem ciebie przez mnogie lata?
Czy tam, gdzie trzosem na cizbę dzwonią,
Sponiewierałem u ścian magnata?
Nie chciałem ciebie. Pan Bóg mi świadkiem,
Zdobić we wstęgi albo we złoto;
Ty byłaś dumna polowym kwiatkiem,
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Przeżywszy razem słoty, pogody,
Takie boleści, takie rozkosze,
Nie dziw, że zginął nasz polysk młody,
Że przyszło wkońcu spłowieć po trosze.

Dziś przysypanych zimy szaruga
Smutne przeczucia wspólnie nas gniotą.
Służ mi do trumny — czekać nie długo.
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto! .

TRZYNASTU U STOŁU.

Myśmy w trzynastu do stołu zasiedli,
A jam niechcący rozsypał garść soli.
Co tam złe wróżby? czegoście pobledli?
Oto śmierć ku mnie zbliża się powoli!
Ona się zbliża uśmiechnięta, młoda;
Na jej przyjęcie w puhar się uzbroje.
Począłem pieśnię, porzucić jej szkoda.
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Jak gdyby gościa, gdy na ucztę zową,
Równianką kwiatów swe czoło uwieńcza.
Ja tylko jeden widzę ją nad głową,
Nad nią promienna połyska się tęcza.
Uśpione dziecko na swych rękach trzyma
I ciężki łańcuch, stargany na dwoje.
Dajcie mi puhar! choć mam przed oczyma,
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

— Nie bój się — mówi — jam życia narzędzie,
Ja córka niebios, ja siostra Otuchy.
Biedny niewolnik czyż złorzeczyć będzie,
Gdy z niego ciężkie opadną łańcuchy?
Gdy łos cię odarł, aniele skrzydlaty,
Ja ci przywrócę piękne skrzydła twoje!
Witajcie goście, a sypcie jej kwiaty!
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Dotknę się czoła — a po latach próby,
Duch twój uleci, odrodzony zda się,
Gdzie na lazurze promieniste globy
Bóg porozsiewał w przestrzeni i czasie.

Czyż ciebie taka swoboda nie mami?
Porzuć zgryzoty, porzuć niepokoje,
Używaj szczęścia pełnemi piersiami!
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Zniknęła postać, a nikt jej nie baczy,
Pies tylko warknął na widmo grobowe.
Pocóż się człowiek do życia junaczy,
Gdy chłód trumienny odrętwia mu głowę?
Wesoło kończmy nasz żywot zwodniczy;
Porzućmy strachów niedoleżnych roje;
Bądźmy w trzynastu — Pan Bóg nas policzy.
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

K O M E T A.

Oto Bóg na nas kometę przysyła;
Nieunikniona zbliża się zagłada.
Czuję już, czuję, jak niszcząca siła
Uderza w ziemię i w gruzy ją składa.
Żegnajcie, ucztę, żywota sąsiedzi!
Zostawcie wasze zatrute puhary!
Dusze lękliwe, idźcie do spowiedzi!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

I dnia, i nocy kolejne przemiany
Zginą na wieki — o biada nam, biada!
Jako latawiec ze sznurka zerwany,
Biedna planeta kręci się i spada,
Spadnie na słońce — choć je w gruz zamieni,
Choć zgasi jego odwieczne pożary,
Tyle słońc jeszcze zostanie w przestrzeni!
Nam trzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Już nas znudziła nasza gminna pycha,
Już droga błędu nie tyle nas wabi;
Nużą nas wojny, któremi oddycha
Służebna zgraja, i silni, i słabi.

Znużone oko przyszłości nie szuka;
Zostawmy górne postępu zamiary:
Na mały teatr to za wielka sztuka.
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Młdzież powiada: — Poczekajcie nieco,
Zaraz blask nowy tę ziemię opasze,
Gazem i drukiem zaraz się oświecą
I nasze głowy, i ulice nasze;
Za lat dziesiątek rozproszy się ciemno,
Kiełek postępu urośnie do miary.
Jam lat trzydzieści czekał nadaremno!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Jam nie tak wierzył, gdy w młodości płochej
Miłość i radość ożywiały łono:
— Ziemio! — mówiłem — nie zbaczaj ni trochę
Z błogiego kręgu, gdzie cię umieszczono!
Dziś postarzałem — moje lica blade —
Znam nicość pieśni, marzenia, ofiary...
Straszna kometo, dopełnij zagładę!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

STARY KAPRAL.

Naprzód! naprzód! marsz, rębacze!
Broń na ramię! wszak nabita!
Dajcie fajkę! precz te płacze!
Pożegnajcie mię i kwita!
Osiwiłem w służbie włosy;
Czym źle zrobił, trudno dociec;
Lecz na musztrach, — ej, młokosy!
Byłem dla was jako ojciec.

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Obraziłem porucznika,
Bo młodziczek zbyt pozwala.
Ot i z rzeczy rzecz wynika,
Ostry nabój dla kaprała!
Tak potrzeba, na przestroge...
Zawiniłem, prawda szczerą;
Lecz obelgi znieść nie mogę:
Jam był w służbie bohatera!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Bądźcie mężni, o kamraci!
Nieście w służbie krew i zdrowie;
Choć się noga, ręka straci,
Krzyż ozdobi honorowie.
Jam go zyskał w dobrej sprawie...
Ej, bywało, bracia mili,
Ja wam stare boje prawię,
Wy gorzałkęście płacili.

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Robert! chłopcze z naszej wioski,
Wracaj do niej paść swe trzody.
Patrz, jak pięknie klony, brzoźki!
Teraz na wsi kwiecień młody!
Ja, bywało o tej porze
Wdziękiem siola oczy pieszczę...
O mój Boże! o mój Boże!
Moja matka żyje jeszcze!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Kto tam szlocha? znam po jęku:
Żona trębacza husarzy.
Niosłem syna jej na rękę,
Idąc z Moskwy w przedniej straży.
Jej by przyszło w dzikim stepie
Zginać w śnieżnej zawierusze. ,
Dziś niewiasta pacierz trzepie, —
Niech się modli za mą duszę!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Tam do licha! fajka zgasła...
O nie! jeszcze... Już my w kole.
Do szeregu! czekać hasła!
Oczu wiązać nie pozwolę!
Ej kamraci! ej najszczerzi!
Wara płakać!... Broń gotowa;
Strzelać celno, w same piersi...
I niech Pan Bóg was zachowa!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

ALCHEMISTA.

Mówisz przede mną, alchemisto stary,
Że z podłych kruszców wydobywasz złoto,
A jeszcze bardziej, że swojemi czary
Możesz mi młodość przywrócić z ochotą.
Mówię ci z wiara: Czyń, co się podoba,
Pełnym ci trzosem wdzięczności dowiodę.
Zostańmy przy tem, co lubimy oba:
Ty weźmiesz złoto — daj mi lata młode.

Przewracaj karty starego Hermesa,
Zgłębiaj Paktolu źródła młodociane:
Niechaj ci złotem napelnia się kiesa,
Ja sobie chętnie ubogim zostanę.
Dla ciebie możni otworzą podwoje,
Mieć będziesz laury, oklaski, wygodę,
Ja się skromnemi różami przystroję;
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Widzę, jak próżność po sercu ci łechce,
Słyszę, jak wołasz upojony szaleńcem:
„Kłęczcie przede mną, zakupię co zechcę,
Kopalnię złota w nauce zyskałem!”
Patrzcie, jak skarbów spodziewane plony
Zmieniły twoją żebraczą przyrodę!...
Choćbyś mógł kupić berła i korony,
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

O! daj mi młodość taką, jak ja cenię,
Z duszą potężną, ognistą, namiętą;
Odbierz ode mnie mądre doświadczenie,
Wlej krew gorętszą w słabe pulsów tętno.
Obaczysz z okna twych jasnych pałacy,
Jak ja wesoło piosenkę wywiode,
Pod cieniem drzewa jak usnę po pracy!
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Wiem, na czym bogactw zasadza się chluba,
Lecz czuję powab młodzieńczych słodocy.
Smutno mi widzieć, kiedy moja luba
Na drobnych palcach me lata policzy.
Gdy smutna jesień moją głowę śnieży,
Blagam cię, mędrco, o letnią pogodę.
Ta, którą kocham, w bogactwa nie wierzy.
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Lecz próżna, widzę, twoja obietnica:
Tyś zawsze biedny. a ja zawsze stary.
Poczekaj — mówisz — jutro nów księżyc,
Pocznem na nowo zaklęcia i czary.

Choć wiem, że twoja nauka kłamiwa,
Lecz mi potrzeba wiary na osłodę:
Patrz, jak mi zmarszczek po zmarszczku przybywa!
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

NOSTALGJA

CZYLI TĘSKNOTA DO KRAJU.

Rzekliście: Pasterzu! idź z nami ochoczo;
W Paryżu nauki i dziwy najradsze,
Osypie cię złoto, starania otoczą,
Zapomnisz swe niwy na świetnym teatrze.
Poszedłem... i patrzcie! ów skwar, co tu płonie,
Jak świeżość wiosenną z mej twarzy wypala!
Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
A górą powróćcie górą!

Choć w piersiach tęsknota i lodem krew płynie,
Ja idę, posłuszny, za waszym zwyczajem,
Na uczty, gdzie krasne królują boginie,
I ginę z tęsknoty, umieram za krajem.
Napróżno się uczył słów pięknych w tem gronie,
Napróżno sztuk pięknych widziałem tak wiele!
Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
I nasze wesołe niedziele!

Wy słusznie gardzicie obyczaj nasz stary,
Wieczory z powieściami i pieśnią ubogą;
Na operach waszych złudzenia i czary,
Że nasi wróżbici im zrównać nie mogą;
Gdy święci czczą Pana na górnym Syonie,
Od waszych koncertów pożyczać głos muszą;
Lecz wróćcie mi, wróćcie rodzinne ustronie,
Wieczory i piosnkę pastuszą!

Dom u nas, to chata pozioma i stara,
Kościółek pobity deskami i z kłody;
A tutaj pomników i wież co niemiara,
Pałace i takie, jak w raj, ogródy, —

A gmachy, jak chmury, gdy w białem ich łonie
Odbije się promień zachodu iskrzaty;
Lecz wróćcie mi, wróćcie wioskowe ustronie,
Wioskowe dzwonnice i chaty!

Wszak dziki poganin wlecze się z daleka
Umierać w świątyni, gdzie jego bożyszcze.
Tam po mnie pies skomli — kiedyż się doczeka?
I kiedyż mnie matka spłakana odzyszcze?
Widziałem sto razy na naszym zagonie,
Jak wicher szturmuje, wilk idzie na łowy...
Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
Lepiankę i chleb mój razowy.

Co słyszę? spełniona modlitwa mej duszy!
Wolno ci odjechać, odjeżdżaj, — mówicie; —
Powietrze rodzinne niech lży twe osuszy,
A słońce domowe niech wskrzesi twe życie.
Zegnam cię, Paryżu! twych blasków nie gonię:
Tu ręce jak skute przybyłcom z oddala.
Obaczę, obaczę wioskowe ustronie
I góry, ojczyznę, górala!

DO MOŻNYCH PRZYJACIÓŁ.

O przyjaciele! ja nic od was nie chcę,
Zwróćcie gdzie indziej dobroczynne oko:
Chciwość nie drażni, próżność mię nie łechce;
Jak ptak lękliwy, nie wzleci wysoko.
Czegoż mi trzeba? Serca, co pokocha,
Skromnej wieczerzy w kółku biesiadniczem,
Bratniej rozmowy i współczucia trocha.
Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Świetniejsza dola byłaby nie w porę
Dla rymoklety, co marnuje chwile.
Czuję dotkliwie, gdy chleb w usta biorę,
Żem nie zasłużył posiadać go tyle.

Do tego chleba, och! wyrobnik lichy
Więcej ma prawa przed niebios obliczem.
Sakwa żebracza nie wstydzi mej pychy.
Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Raz, patrząc w niebo, myśl moja ulata
I tam z wysoka ziemski padół mierzy;
Przebiegam okiem cały obszar świata,
Królów, poddanych, wodzów i żołnierzy.
Okrzyk mię doszedł, — czy bitwę wygrali?
Kogo to sławią w krzyku hołdowniczym?
Cześć wam, potężni, których naród chwali!
Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Ja wielbię cnotę bohaterskich ludzi,
Co, opuszczając domowe ognisko,
Siadają w okręt, gdy się fala zbudzi,
Aby sterować, kiedy burza blisko.
Wołam z daleka: Niechaj Bóg was strzeże!
Modłę się za nich losom tajemniczym;
Sam się na słońcu kładnę na wybrzeże.
Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Wasze grobowce patrzeć będą dumnie
Na mój grobowiec wśród badyli zielnych;
Naród przy waszej będzie płakał trumnie...
Gdym skromnie wiezion na marach kościelnych,
Co mi po waszych trumnach i żałobie?
W nieśmiertelności kiedyś się obliczym;
Cała różnica zespoli się w grobie.
Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

W pysznych pałacach nie zamieszkać z wami;
Tylko dostojnej pokłonię się głowie.
Odchodzę od was, bom w progu za drzwiami
Zostawił lutnię i liche obuwie.
Ludzkość do waszych podwojów kołace:
Kojcie łązy nędzy z braterskim obliczem;
Ja wam z ulicy piosenką zapłacę.
Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

STARY WŁÓCZĘGA.

Pora umierać; ot tutaj w rowie
Złożył schorzałe i stare kości.
Ktoś mię z przechodniów pijanym zowie,
Tem lepiej dla mnie — nie chcę litości!
Jeden odwraca i chmurzy czoło,
Drugi po szeląg jałmużny sięga.
Och, idźcie sobie gdzie wam wesoło!
Umrze i bez was stary włóczęga.

Umrę, bom stary — to się rozumie,
Bo umrzeć z głodu świat nie pozwala.
Miałem nadzieję w żebraków tłumie,
Że się dostanę gdzie do szpitala;
Lecz nieszczęśliwych mnogość tak wielka,
W szpitalach z nimi taka mitręga!
Ulica dla mnie — to karmicielka!
Umrę gdzie żyłem, stary włóczęga.

W młodości mojej chciałem w rzemiosło,
Lecz zewsząd majstry mnie przepędzały:
Już wyrobników i tak urosło,
Niema roboty! idź żebrzeć, mały!
Bogacze mówią: Pracuj na świecie!
Gdy pod ich oknem człek się wylęga.
Och! gryzłem kości po ich bankiecie,
Więc nie przeklinam, stary włóczęga.

Mógłbym kradzieżą utrzymać życie,
Lecz wolę ginąć lub cierpieć srodze.
Raz głodny jabłko urwałem skrycie,
Do licha! jabłoni stała przy drodze.
Za to w więzieniu ledwo nie ginę,
Kiedy mię prawny wyrok dosięga;
Zabrali moje dobro jedyne,
Bo widok słońca stracił włóczęga.

Miłość ojczyzny nie dla nędzarza:
I cóż mnie, pytam, obchodzi może,
Jakiemi plony jesień obdarza
Wasze winnice i wasze zboże?

Co waszych mówców gadanie próżne?
 Gdy kraj najedzie obca potęga,
 A obcy żołdak da mi jałmużnę,
 Placę z radości, stary włóczęga.

Za cóż mię ludzie depcecie nogą,
 Jako szkodliwy owad na roli?
 Niech mię nauczą, niech mi pomogą
 Pracować dobru wspólnemu gwoli.
 Nie dziw, że w nędzy zmiana postaci —
 Z troskliwej mrówki gad się wylęga.
 Ja chciałem ludzi kochać, jak braci,
 Umieram wrogiem — stary włóczęga.

POEZJE GOETHE'GO.

Z KANTATY „RYBACZKA“.

I.

KRÓL OLSZYN.

BALLADA.

Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamięci?
 To ojciec z dziećciem, jak gdyby wiatr, leci;
 Chłopczynę na rękę piastując najczulej,
 Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli.

— Mój synu, dlaczego twarz kryjesz we dłoni?
 — Czy widzisz, mój ojczy? król olszyn w tej stronie.
 Król olszyn w koronie, z ogonem jak żmija!
 — To tylko, mój synu, mgła nocna się zwija.

— Chodź do mnie, chłopczyno, zapraszam najmilej,
 Pięknemi zabawki będziem się bawili,
 Chodź na brzeg. tu kwiatki kraśnieją i płoną,
 A moja ci mama da suknię złoconą.

— Mój ojczy! mój ojczy! czy widzisz te dziwa?
 Król olszyn do siebie zaprasza i wzywa!

— Nie bój się, mój synu! skąd tobie te dreszcze?
To tylko wiatr cichy po liściach szeleszcze.

— Chodź do mnie, chłopczyno, poigrasz z rozkoszą,
Mam córki, co ciebie czekają i proszą,
Czekają na ciebie z biesiady nocnymi,
Zaśpiewasz, potańczysz, zabawisz się z niemi.

— Mój ojczu! mój ojczu! ach, patrzaj... gdzie ciemno...
Król olszyn ma córki, chcą bawić się ze mną. —

— Nie bój się, mój synu, ja widzę to zdala,
To wierzba swe stare gałęzie rozwala. —

— Chodź do mnie, mój chłopcze, dopóki masz porę:
Gdy chętnie nie przyjdiesz, to-ć gwałtem zabiorę.

— Mój ojczu! mój ojczu! ratujcie dziecinę!
Król olszyn mię dusi... mnie słabo... ja ginę...

Ojcowi bolesno... on pędzi, jak strzała,
Na rękach mu jęczy dziecina omdlała.
Dolata na dworzec... lecz próżna otucha!
Na ręku ojcowskich już dziecię bez ducha.

II.

TOPIELEC.

BALLADA.

— Ja kocham dziewczynę, o matko! daj radę!
Ja chcę ją pozyskać, ja po nią pojadę!
Więc matka mu z wody wylepia konika,
A z piasku i trzęsle, i siodło wytyka.
Ubrany jak rycerz, od stóp aż do szyi,
On prędko pojechał na cmentarz Maryi,
Unosi go rumak pod wieżę kościoła,
On czterykroć kościół objechał dokoła.
I wchodzi topielec w świątynię na progi,
Otacza go naród ciekawy i mnogi.
Ksiądz stał przy ołtarzu: Co to snadź za dziwa?
Skąd rycerz tak lśniący w te strony przybywa?

Uśmiecha się dziewczę i okiem nań zmierza:

— O gdyby pozyskać lśniącego rycerza!

Już stoi u ławek ta postać pancerna:

— Kochaj mię, dziewczyno, daj słowo, bądź wierna.

I przyszedł powtórę, po trzecie, po czwarte:

— Jedź ze mną, dziewczyno, podwoje otwarte.

Dziewczyna mu daje i rękę, i obie:

— Masz moją przysięgę, zostanę przy tobie.

I wyszli z kościoła z weselną drużyną,

I w tańcu wesołym zabawy im płyną,

Aż tańcząc stanęli nad wody brzegami,

I ręka pod rękę zostali tam sami.

— Potrzymaj, dziewczyno, rumaka na stronie,

Ja ładne czółenko ku tobie przygonię.

Gdy weszli na zasep piaszczysty przy wodzie,

To wszystkie do lądu zwróciły się łodzie;

Gdy przyszli, stanęli nad morską zatoką,

Dziewczyna upadła — do morza głęboko.

I długo, i długo sąsiedzi słyszeli

Krzyk pięknej dziewczyny z wodnistej topieli!

Ja radzę, jak umiem, niech każda pamięta:

Tańcować z topielcem nie idźcie, dziewczęta!

III.

SPIEW WESELNY STARONIEMIECKI.

Był sobie rycerz za dawnych lat,

On szukać żony pojechał w świat.

Do jednej wdowy zapukał bram:

Trzy piękne córki mieszkały tam;

Trzy piękne córki zobaczył gość,

Aż serce jego poczęło rość.

— Ta będzie moją, co wszystko zna,

Na trzy pytania odpowiedź da.

— Zadaj, rycerzu, pytania trzy,

Obaczym, która odpowie ci.

— Co jest głośniejsze od dźwięku trąb?

Co jest głębszego, niż morska głąb?

Co rozciąglejsze, niż drogi szlak?
 Co jest zieleńsze, niż trawy krzak?
 Co ostrzej bodzie, niż ciernia ość?
 Co jest gorszego, niż kobiet złość?
 Dwie starsze myślą, dumają snadź;
 Młodsza pospiesza odpowiedź dać:

— Piorun głośniejszy od dźwięku trąb,
 Piekło jest głębsze, niż morska głąb,
 Miłość trwa dłużej, niż drogi szlak,
 Grynszpan zieleńszy, niż trawy krzak,
 Grot ostrzej bodzie, niż ciernia ość,
 A szatan gorszy, niż niewiast złość.
 Słyszac odpowiedź dobitną wciąż,
 Najmłodszą z dziewic wybiera mąż;
 Nim starsze milczą, dumają snadź,
 Drużba pospiesza obrączkę dać.
 Najmilsza z dziewic, najmilsza ta,
 Co prędką drużbom odpowiedź da.

ZUZANNA TOPIELICA.

WYPADEK Z 1809 ROKU.

BALLADA.

Zerwała groblę szalona fala,
 Szumi na błoniach, drzewa obala.

— O! jeszcze powódź łagodna dosyć,
 Ja brnąć potrafię, umiem przenosić;
 Matko, nim wzbiorą fale szalone,
 Ja cię przeniosę na drugą stronę.

— Och! Bóg nam przecie swą łaską świeci —
 Ja chora matka... i troje dzieci...
 Dzięki ci, dziewczę, dzięki losowi!
 Jużemy zginąć byli gotowi!
 I młode dziewczę, ratując szczerze,
 Schorzałą matkę na barki bierze.

— Na suchym brzegu niech czeka dziatwa,
 Tak niedaleko, przeprawa łatwa;

Czekajcie, dzieci, nim przyjdą fale,
Ja wnet powrócę, ja was ocalę!
Grobla zerwana, szaleje fala,
Wrywa ziemię, drzewa obala;
Zuzanna matkę przeniosła chorą,
Ratować dzieci pospiesza skoro.

— Ej, dokąd, dokąd? próżna odwaga!
Fale wirują, powódź się wzmacza,
Nurt cię pochwyci, młoda dziewczyno! —
— Ja chcę ratować... oni nie zginą!

Grobla już tonie, szaleje fala,
Szumi, jak morze, huczy z oddala;
Zuzanna w wodę puszcza się śmiejąc,
Przechodzi kładkę, brnie przez topiele,
Już się zrównała z chatą sąsiada,
Lecz unieść dzieci — daremna rada!

Powódź z łoskotem groblę obala,
Ponad pagórką wiruje fala,
Szumiąc i hucząc do morza leci,
Unosi dziewczę i troje dzieci,
Unosi wszystko — w mętnej topieli
Oni już dawno zginąć musieli!

To się Zuzanna mignie nad wodą, —
Któż uratuje dziewczynę młodą? —
To w głęb wiruje, to się wyłoni,
Lecz nikt z wioślarzy nie spieszy do niej.
Snadź jeszcze żyje — nim śmierć ją spotka,
Gdyby choć czółno, gdyby choć łódka,
Gdyby choć deska — próżna otucha!...
Już leci w niebo gwiazdka jej ducha!
Groblę i pole powódź zalewa,
Tylko gdzieś baszta, lub konar drzewa
Wskazuje miejsce, gdzie ludzie żyli.
A nad topielą z chwili do chwili,
Wznosi się widmo — czy wierzyć oku?
Postać Zuzanny jakby w obłoku.

Woda opada, kraj się zieleni;
Po topielicy ludzie strapieni...

I przepłakali, i zapomnieli,
I już jej pamięć jakby w tonieli,
Szumiącą falą czasu przykryta...
Życia i śmierci nikt nie oopyta.

16 marca 1854. Borejkwoszczyzna.

P I E Ś N I A R Z.

— Kto tam do bramy kołace?
Kto tam zawodzi na moście?
Ja za piosenkę zapłacę,
Do sali pieśniarza proście!

Tak mówił król do swej świty;
Wybiegli paziowie młodzi,
I siwym włosem okryty
Harfista do sali wchodzi.

— Cześć pięknym damom i chwała!
Cześć wam, szlachetni panowie!
Co gwiazd w komnacie tej pała!
Któż ich imiona wypowie?
Widząc tę salę wspaniałą,
Aż moje oko się nuży;
Lecz teraz czasu za mało,
By rozpatrywać się dłużej.
I pieśniarz oko rozżarza,
I w struny harfy uderzy;
Damy słuchają pieśniarza,
Słucha go orszak rycerzy.
Królowi miła zaiste
Pieśń i postawa śpiewacza;
Więc, aby uczyć harfistę,
Złoty mu łańcuch przeznacza.
Lecz starzec skromnie odpowie:

— Na co mi łańcuch w tej chwili?
Niechaj go wezmą wodzowie,
Co nieprzyjaciół pobili.
Niech kanclerz twojej pieczęci

Złote ogniwa nabędzie;
On się do służby zachęci,
Przykuty na swym urzędzie.
Ja śpiewam, jak ptaszek śpiewa,
Co mieszka w gęstwi nad wodą;
Pieśń, co się z piersi wylewa,
Jest sama sobie nagrodą.
Ja się poprosić odważę
O mą zapłatę jedyną:
W czystym ze złota puharze
Podajcie mi stare wino!
Złocisty puhar nalany;
Starzec wychylił go szczerze.
Szczęśliwe gościnne ściany,
Gdzie pieśniarz siły nabierze!
I oddał pokłon królowi
I panom skłonił się skromnie:

— Żegnajcie, bądźcie mi zdrowi,
I czasem wspomnijcie o mnie!
Królu, za łaski wylanie
Niech ci Bóg hojnie zapłaci,
I wam, panowie i panie,
Coście szczęśliwi, bogaci!
Za wszystko co się korzysta.
Dziękujcie Bogu co chwila,
Jak wdzięczen stary harfista
Za napój, co go posila.

28 kwietnia 1854. Borejkowszczyzna.

PIEŚŃ EMIGRANTÓW IRLANDZKICH.

Z angielskiego.

Łódź gotowa, trąbią na niej,
Że odpływać czas!
Nikt nie idzie do przystani
Żegnać nas.

Spiesz, wioślarzu, ku żegludze,
Prędzej, prędzej stąd!
By powitać morza cudze!
Obcy ląd!
Obcy naród, gdy postrzeże,
Że płyniemy doń,
Nie pospieszy na wybrzeże,
By nam podać dłoń.

Gdy rzucamy ziemię własną,
Nikt nie roni łzy,
Bo za głódno i za ciasno
W naszej wsi.
W naszym kraju niwy żytne,
Nie wystarczą nam:
Gdzie ryż rośnie, daktyl kwitnie,
Spieszmy tam.
Ej, oddalmy się, oddalmy,
By ukoić głód,
Z cienia murów pod cień palmy
Zbierzmy cały ród.

Kraj daleki nas posiedzie,
Kędy lepszy plon;
Ale w piersi obraz będzie
Swoich stron.
Zapłaczymy, zatęsknimy,
Mimo lepszy świat,
Do surowej naszej zimy,
Biednych chat.
I nauczym nasze dzieci
W wierze ojców rość;
K'nam jaskółka gdy przyleci,
Będzie miły gość.

STARY ŻEGLARZ.

Z Coleridge'a.

I.

Na ucztę godową spieszyli trzej goście,
Gdzie czeka wesoła drużyna;
Wtem żeglarz sędziwy spotkał ich na moście
I długo coś gwarzyć pocyna.

I z gości jednego za rękę już bierze,
By słuchał żeglarskiej przygody.
— Puść, starcze... ja spieszę, już dają wieczerzę,
A moim jest krewnym pan młody.

Gość mówił, lecz ręki nie pozbył się starczej,
Naprawdę natręta odgania:
— Idź precz, stary głupcze! mnie czas nie wystarczy,
Bym słuchał twojego bajania!

Lecz żeglarz brzydkimi nie zraził się słowy,
Zmierzył go oczyma silnemi:
Zmieszany, jak dziecko, biesiadnik godowy
Pokorny wzrok spuścił ku ziemi.

Na ławie kamiennej, co stała w ustroniu,
On usiadł, zajęty widocznie;
A żeglarz sędziwy łzę gorzką uroni,
I bając przygody swe pocznie.

*

*

*

— Podjęto kotwicę, fregata odpływa,
Po sinej kołysze się fali,
Wybrzeże, i kościół, i wzgórek, i niwa
Maleją i nikną w oddali.

Dni płyną za dniami — od lewej wciąż strony
Żeglarze wschód słońca widzieli,
Co wieczór na prawo krąg jego czerwony
Zapadał w bezdennej topieli.

A codzień w południe rozpala się, żarzy,
Goręcej od chwili do chwili;
Skwar wisi nad masztem, nad głową żeglarzy, —
Otośmy pod równik przybyli.

Zjawił się huragan i burza szalona,
Jak gdyby skończenie dni świata;
Ku stronie południa jej szturmem pędzona
Zbłąkała się nasza fregata.

W bok okręt odpływa pomimo sternika,
Po czarnej kołysze się toni,
I pędzi, jak strzała, jak gdyby umyka
Od jakiejś niewidnej pogoni.

Schyliwszy w bok maszty, wydawszy swe żagle,
Wśród ciemna, wśród burzy ze świstem,
Ku stronie południa pomyka się nagle,
Mocuje się z morzem pienistem.

Wtem ocean cały mgły gęste pokryły,
A fale mróz ścisnął przemocą;
I śniegów. i lodów kołyszą się bryły,
Iskrami promienie migocą.

Jak oko obejmie, bez końca, bez granic
Zamarło oblicze przyrody;
Za nami, przed nami nie widać nic a nic,
Wciąż tylko śnieżyska i lody.

Okropny był widok... strach serca nam ściska,
A każdy się modli, ślub czyni,
Gdy trac i łamiąc. lodowe urwiska
Gruchocą, jak piorun w pustyni.

Lecz słuchaj... w mgle ciemnej, czy oko nie mami?
K'nam morski albatros przylata;
Jak zwiastun zbawienia okrążył nad nami;
Witaliśmy ptaszka, jak brata!

On zbratał się z nami, szedł pręsto do ręki,
Usiadał na naszym pokładzie.
Wtem lody puściły, i Bogu już łzięki!
Nic tamy żegludze nie kładzie.

Przy wietrze z południa płyniemy na nowo,
A ptaszek nam w ślad towarzyszy,
Zwija się wśród żagłów, ulata nad głową,
Spuszcza się, gdy głosy posłyszysz.

Tak we dnie dodając otuchy, zabawy,
Nocował na masztach, nade mną;
Widzieliśmy ptaszka, gdy księżyc bladawy
Choć trochę rozwidni mgłę ciemną...

— Tyś zadrżał, żeglarzu? cóż dalej nie gwarzysz?
Co ci jest? — Ja zbrodnię zdziałalem:
Nasz wierny albatros, opiekun, towarzysz,
Legł, moim przeszyty wystrzałem.

II.

I smutno na morzu, jak gdyby w mogile, —
Twarz słońca posepna i blada
Z za kłębów mgły ciemnej zaświeci na chwilę,
I znowu w głąb morza zapada.

I wiatr południowy znów żagle rozdyma,
Znów płynie posepna fregata,
I wszystko tak samo; lecz stróża już niema,
Albatros nad masztem nie lata.

Po zbrodni zgryzotę Bóg zawsze przysyła:
Jam zbrodniarz — mówiło mi serce.
— Tyś szatan! piekielna niech skarże cię siła!
Tyś zabił ptaszynę. co wiatr wyrzuciła!
Tak klęli żeglarze mordercę.

Lecz Bóg się zlitował — po długiej katuszy
Zaświtał dzień dłuższy, jaśniejszy.
U moich współbraci weselej na duszy,
I moje przekleństwo się zmniejszyszy.

Mówiono, gdym przyszedł do zgody powoli:
— Ej, miałeś ty słuszość. nieboże!
Albatros przeklęty był sprawcą niedoli,
Sprowadził mgły gęste na morze!

A fala wiruje, a leci fregata,
Szybuję pełnemi żaglami.
Na morzu tamiecznem, na końcu już świata,
Nie pływał nikt pewno przed nami.

Wiatr ustał... fregaty już nic nie kołysz,
I żagle na masztach powisły.
Nastaly dni straszne spoczynku i ciszy,
Najcichszy głos ludzki wyraźnie się słyszy,
A trwoga przebiega umysły.

Na niebie lśni barwa ponura, miedziana,
Przeraża widokiem zjawiska,
A kula słoneczna krwią zda się nalana,
Czerwone promyki wytryska.

W piekielnych męczarniach dzień po dniu nam świta
Cisz martwa na całym przestworze,
A nasza fregata stanęła jak wryta,
Doczekać się wiatru nie może

Nic wkoło nie widać... wciąż fala i fala;
Nie wytrwać znojnego gorąca
Mordercze pragnienie wnętrzości rozpała
Choć woda fregatę potraça.

Porosty i zielska pływają po wodzie,
Pleśnieje mech jakiś zielony;
Na fali zgęstniałej i okręt. i łodzie
Obsiadły robactwa miljony.

Po nocy migają błędliwe ogniki,
Jak gdyby mamidła szatana;
A połysk tych światel straszliwy i dziki
Swawoli po morzu do rana.

I śni się żeglarzom, upadłym na duchu,
Że szatan igraszkę z nas czyni,
Że naszą fregatę na krzepkim łańcuchu
Przykował do martwej głębini.

Pragnienie osusza i usta, i gardło,
Sprawuje męczarnię nieznana,
A w piersiach spalonych wołanie zamarło,
I usta zapiekły się pianą.

I starzy, i młodzi, i wszystko co żyje,
Przybiegli mi wyrok ogłosić:
Trup ptaszka, com zabił, czepiając na szyję,
Kazali na piersiach mi nosić.

III.

Dzień po dniu stoimy, czekając na zmianę,
A piersi osuszył skwar spiekły,
Głos w piersiach zaniemiał, a oczy jak szklane
Śmiertelnym się matem powlekły.

Dzień po dniu upływa... wtem zdala w błękicie,
Gdzie z niebem ocean się spływa,
Coś zdala mignęło... do serca jak życie
Wstąpiła otucha szczęśliwa.

Z początku jak plamka. jak chmurka biaława,
Przybliża się, rośnie i rośnie;
Już białym obłokiem wyraźnie się stawia,
I ku nam szybuje ukośnie.

Jak widma czyścowe, gromada żeglarzy
Snuje się nieczuła i głucha;
Ostatni rumieniec ucieknął nam z twarzy,
A z serca ostatnia otucha.

Zamarły mi piersi, gdym los nasz szczęśliwszy
Chciał biednej zwiastować drużynie.
Ugryzłem się w rękę... krwią usta zwilżywszy,
Krzyknąłem: że okręt k'nam płynie.

I wszyscy na pokład gromadzim się, kupim,
Z radości oszaleć się zdajem.
A z oczu, co blaskiem migaly już trupim,
Łzy hojnym trysnęły ruczajem.

Patrzajcie! jak leci... jak pęd jego żywy!
Dziś nasze męczarnie się skończą!
Lecz oczy nie mylą... o cóż to za dziwy!
Bez wiatru żegluje tak rączo!

Lecz promyk nadziei, co błysnął nieśmiało,
Przyświecił — i zgasnął po chwili.
I zimnem grobowem znów serce zdrętwiało,
Głowyśmy jak na śmierć spuścili.

Dni płyną powoli... co wieczór, co rana
Jutrenka płomieni się złota,
A kula słoneczna krwią zda się nalana,
Czerwonym promieniem migota.

A nasza fregata wśród martwej przestrzeni
Bez ruchu, bez iskry nadzieje,
Wśród dziwnych igraszek promieni i cieni
Piętrzy się, wyrasta, czernieje.

A maszty olbrzymie wysterkły nad falą,
Jak gdyby rząd cieniów ponury,
Jaskrawym odbłaskiem czerwienią się, palą
I żagle, i liny, i sznury.

I znowu coś widzę... czy morskie to dziwa?
Czy widmo z urojeń odmetu?
Po fali drzemiącej coś ku nam podpływa —
To szkielet jakiegoś okrętu.

A wszystkich w okręcie sen objął grobowy,
Nikt żywy się na nim nie ruszy;
Nie słyhać ni szmeru, ni żadnej rozmowy —
Czyż niema człowieczej tam duszy?

Lecz oto postrzegam: na pokład wypada
Niewiasta w grobowej odzieży,
Jak widmo ponura, i straszna, i blada,
Na widok jej włos mi się jeży.

A przy niej ktoś drugi... spogląda jak żmija,
Spojrzenie jak ogień mu pała.
Aż duszę przytłacza. aż serce przebija
Żrenica błyszcząca, skostniała.

Co znaczy ten szkielet bez ciała przykrycia,
A przy nim ten drugi duch blady?
Dwa duchy złośliwe, i śmierci, i życia,
Płynęły do naszej osady.

Ich okręt k' naszemu przypłynął w tej chwili,
Pokłady zetknęły się z boku;
Duchowie stanęli i losy rzucili,
My drżący czekamy wyroku.

Los na mnie cisnęli. — Duch życia kość miota,
Wyciągnął kość z dobrą otuchą:
— On do mnie należy — nie straci żywota!
I śmiał się szyderczo a głucho.

Zagasnął blask dzienny, noc smutna zapadła,
Na niebie jutrenka ściemniała,
A szkielet okrętu, niosący widziadła,
Odplynał pośpiesznie jak strzała.

Zwątpienia rozpaczy nam serce obsiadły,
Nastały godziny męczarni,
Nasz sternik u rudła znękany, wybladły,
Siadł milcząc przy małej latarni.

I gwiazdy zabłysły, i księżyc z topieli
Swą głowę czerwoną wychyla.
Żeglarze gotowi już na śmierć stanęli,
Bo straszna zbliżyła się chwila.

A cała załoga, żeglarzów ze dwieści,
Na pokład wywlekła się tłumnie;
A wszystkie spojrzenia z przekleństwem boleści
Straszliwie zwracały się ku mnie.

I jeden po drugim nieszczęśni skonali —
Słyszałem ich jęki grobowe!
Jam został przy życiu, by dręczyć się dalej,
By przyjąć przekleństwo na głowę.

IV.

Straszno mi z tobą, żeglarzu stary,
Ognia twych źrenic nie mogę znościć:
Masz dziką postać grobowej mary,
Twojej powieści już mam zadosyć.
Puszczaj mię, starcze!

Nie bój się, bracie!
Nie jestem trupem ni widmem sennem,
Nie zatonałem w morzu bezdennem,
Zostałem jeden w całej fregacie,
Zostałem jeden na całe morze

Czekać na słuszny zgon zbrodniarzowi,
Gdzie nikt mi oczu zamknąć nie może,
Gdzie nikt pacierza po mnie nie zmówi.
Wokoło życie: spojrzę w głębinie —
Tysiącem istot aż kipi fala;
Spojrzę na pokład — tu śmierć jedynie,
Wszędy stos trupów drogę zawala.
Spojrzę ku górze, kędy maszt sterczy,
Kędy bez wiatru żagle powisły.
Chciałem się modlić, lecz duch bluźnierczy
Zmroził mi piersi, odurzył zmysły.
Znosić męczarni nie mogę dalej,
Gdy zamknę oczy, wciąż mi się marzy
Błękit niebieski, równina fali
I stosy trupów biednych żeglarzy.
A twarze trupów groźne, złowieszcze,
To posiniałe, to z barwą bladszą;
Straszne ich oczy, otwarte jeszcze.
Z groźnem przeklęctwem na mnie się patrzą.
Ciężki mieć musi kamień na duszy,
Kogo sieroca przeklnie drużyna;
Ale boleśniej wytrwać w katuszy,
Kiedy spojrzenie trupie przeklina.
Siedem dni trupy patrzyły we mnie,
Siedem dni śmierci-m błagał daremnie.
Lecz oto księżyc wschodzi z oddali,
Przy nim rój nocnych gwiazdek połyska;
Po modrem niebie, po modrej fali
Zamigotały drobne ogniska;
Ponad równiną jakby śnieg lata,
Srebrzą się, gorą żwawe promyki.
A tu, gdzie stoi martwa fregata,
Błyśnię, to zgaśnię meteor dziki;
Jakby się pastwić nad mą niedolą,
Krwawym połyskiem żrenice muska;
Dokoła węże morskie swawolą,
Mieni się, złoci srebrna ich łuska.
Szczęśliwe żmije! po tysiąc razy!
Czułem, że zazdrość serce mi bodzie:
Za cóż, mój Boże, te podłe plazy
Mogą się pluskać w roźninnej wodzie?

I w duszy mojej znów się ocknęła
Święta modlitwa i miłość Boża;
Wielbiłem Stwórcę, patrząc na dzieła,
Klękłem u tronu Jego podnoża.
A gdy modlitwa, jak święta rosa,
Skalaną grzechem duszę obmyje,
Upadł do morza trup albatrosa,
Co uczepiono na moją szyję.

V.

I sen posilny ożywił w porę
Duszę znękaną i ciało chore,
Przecie poczułem, że żyję.
Modlitwą rzewną i łzą rześistą
Począłem wielbić Pannę przeczystą,
Matkę boleści, Maryę.

Spałem, a piersi tchnęły swobodą;
Śniłem, że widać brzeg ziemi:
Sterniki okręt bezpiecznie wiodą,
I stoją stągwie ze słodką wodą,
Ja piję pierśmi pełnemi.

Wtem się ocykam, patrzę: deszcz leje,
Poglądam wkoło ciekawie;
Do serca weszły słodsze nadzieje,
I piłem wodę na jawie.

Śmieję się, płaczę, sobie nie wierzę,
Czy jeszcze żyję... czy płynę...
Czy może dusza w nadziemskiej sferze
Ku swemu Stwórcy kierunek bierze
I leci w duchów krainę.

Zaszumiał wietrzyk, morze oddycha,
Skończył się spokój ponury...
Zdaje się wieje z daleka, z cicha,
Jednak fregatą waha, kołycha,
Zadrgały liny i sznury.

Żagle powoli wzdymać się poczną,
Wieją z szelestem, ze świstem;
Księżyc się ukrył w chmurę obłoczną.
A chmura w stronę okrętu boczną
Lunęła deszczem rześistym.

I błyskawica jak wąż z oddali
Mignęła z głębi przestworza,
Zdaje się niebo i woda pali,
Piorun przeleciał nad garbem fali
I z gromem buchnął do morza.

Piorun po chmurze zygzaki pisze
Grzmoty łoskoczą w przestrzeni,
Fregata leci, — cóż to ja słyszę?
Stękają trupy!... czyż towarzysze
Byliby ze snu zbudzeni?

Jakby poranna biła godzina,
Powstali ze snu ocknięci,
Każdy robotę swą przypomina,
Jeden na maszcie żagle rozpina,
Drugi powrozy rozkręci.

Snują się cicho. jak widma w bieli,
Lecz cóż się dzieje z ich duszą?
Wszyscy w milczeniu usta zacięli,
Żaden na stronę okiem nie strzeli:
Snadź to upiory być muszą!

Tu było jedno drogie oblicze,
Syn mego brata jedyny:
Próżno doń mówię, daremnie krzyczę, —
On, milcząc, jakby widmo zwodnicze,
Naciąga sznury i liny...

Straszno mi, starcze! nie mów mi więcej,
Puszczaj mię, duchu z otchłani!
Nie bój się, bracie! słuchaj goręcej:
Bo to nie widma, nie potępieńcy,
Lecz byli Pańscy wybrani.

Jutrznianym blaskiem opromienieni,
Wokoło masztu stanęli.
Słucham... z pośrodku skupionych cieni
Niebiańskie Hymny płyną w przestrzeni,
Jakby śpiewali aneli.

Hymn, który wtedy z ich ust słyszałem,
 Wiecznie do niebios przywabi.
Pomimo burzy kipiącej szaleń,
Pieśń królowała nad morzem całem,
 Płynęła głośniejsz, to słabiej.

To jakby z chmury na rozświt dzionka
 Sto ptasząt wiedzie swe trele,
To jakby strumień w kamykach brząka,
To jakby rzeźwy szczebioł skowronka
 Ponad falami się ściele.

To się rozplywa, to chórem splecie
 Coraz donośniej i słodziej,
Jakby niewinne szczebioce dziecię,
Jakby na harfie albo na flecie
 Ktoś dźwięcznej nuty dochodzi.

Ucichły śpiewy, pobiegły tony
 K'dalekiej niebios krawędzi.
Lecz siłą duchów okręt popchniony
Płynie pod wiatrem w dalekie strony,
 Dalej a dalej wciąż pędzi.

Ale duch morski strony polarnej
 Znowu za rudel pochwytą:
Pęd się zatrzymał wpośród mgły czarnej —
Chwytał się rudla... wysiłek marny...
 Fregata stoi, jak wryta!

A ręka silna duchów — mocarzy
 Wstecz ją zawraca, popycha;
Płyniem pod równik, gdzie zgon żeglarzy,
Gdzie krwawe słońce ogniem się żarzy,
 A niebo skwarem oddycha.

Znów stanął okręt — pali spiekota,
 Znowuśmy w ciszy zagrzęźli;
Słońce, jak gdyby żywa istota,
Skacze po niebie, targa się, miota,
 Jak gdyby rumak na trzęśli.

Krew mi gorąca zalała skronie,
A pulsa biją, jak fale,
A biedna głowa pali się, płonie;
Czułem, że mdleję. że się posłonię,
Że się na pomost powalę.

VI.

Nie wiem, czy długo tak bezprzytomnie
Leżałem, jakby umarły...
Wtem dziwne głosy słyszę koło mnie,
Co się do ucha przedarły.

Jeden głos mówił, dobrze słyszałem:
Przypatrz się, bracie, tej twarzy!
Czy to pod jego zabity strzałem
Albatros, ptaszek żeglarzy?

Silny duch morski polarnej strony
Tak lubił drobnego ptaszka!
Srogi morderca będzie zemszczony:
Bo straszna z duchem igraszka.

Duch jeszcze zemstę ku niemu chowa,
Drugi głos na to odrzeczę:
Kara straszliwa, kara surowa
Cięży na tobie, człowiecze!

Powiedz mi, bracie, czemu śpi morze?
Kiedy dni ciszy się skończą?
Czemu fregata po fal przestworze
Spieszy na północ tak rąco?

Jako niewolnik, co pana słucha,
Pełni w milczeniu swe straże,
Tak fala morska, nim się rozrucha,
Czeka skinienia wiecznego ducha,
Dokąd popłynąć jej każe.

Ale dlaczegoż, gdy fala cicha,
Tak szybko płynie fregata?
Bo siła duchów rudel popycha,
I jej żaglami pomata.

Lecz dajmy pokój błędnej fregacie,
Nie budźmy ze snu tych ludzi.
Lećmy ku gwiazdom, lećmy, mój bracie!
Wkrótce się jutrznia obudzi.

* *

I jam się ocknął — my wciąż płyniemy,
Żeglarze znowu strupieli.
Przy masztach orszak głuchy i niemy
Legł na śmiertelnej pościeli...

Jedni u masztów, drudzy u rudli,
Każdy zakostniał, jak skutły,
Wszyscy zsiniali, bladzi, wychudli,
W ich oczach ciężkie wyrzuty.

W pośrodku trupów, jak duch sierocy,
Snuję się jeden i trwożę,
Jako wędrownik, kiedy wśród nocy
Zabłądzi w leśne bezdroże,

Pędzi, gdzie wiedzie przecucie wieszczce,
A zbójcy lecą tuż za nim...
Straszno iść naprzód, lecz straszniej jeszcze,
Kiedy się cofniem lub staniam.

Lecz oto słońce nie tyle skwarzy,
Wietrzyk zadmuchał dokoła;
Czułem, jak gdyby po mojej twarzy
Musnęło skrzydło anioła.

A bieg nasz równy i jednakowy
Ponad ciemnymi odmęty;
Jakby po gładkiej szybie lodowej
Ślizgał się okręt popchnięty.

A tu sny piękne, a tu sny świeże
Igrają z memi oczyma:
Widzę z daleka ziemne wybrzeże,
Latarnia morska przystani strzeże —
To moja ziemia rodzima!

Oto kościółka dzwonnica stara,
Tam moja chatka na smudze...
Boże mój, Boże! jeśli to mara,
Niechaj się nigdy nie zbudzę!

To nasza przystań — o jak tu pięknie!
Na brzegu bawią się dzieci.
Oto się zaraz chmurka rozpęknie,
A księżyc widniej zaświeci.

Zaświecił księżyc — o góry moje!
Jak rozjaśniascie swe czoła!
Jak cudnie biją światełek roje
W wieże naszego kościoła!

W rodzinnym porcie, u krańca głębi
Sama stanęła fregata,
A z ciał nieżywych, jak rój gołębi
Duch ku niebiosom ulata.

A każda dusza jasna, gwiazdzista,
Przy każdej Pańscy Anieli,
Ręce na piersiach, twarz uroczysta,
Znaczno, że w Panu posnęli.

O! nie wypowiem, jak było błogo!
Już mi sen powiek nie klei,
Piersi uczuły, że wytchnąć mogą,
Dusza, zabójczą miotana trwogą,
Znowu odżyła w nadziei.

Jenom się lękał, że mara słodka
Znowu w kraj senny uciecze...
Lecz oto widzę: podpływa łódka,
Na niej postaci człowiecze.

Gdy dusza świętą radością pała,
Drżąc, że się ze snu obudzi,
Podpływa łódka — pędzi jak strzała,
A na niej siedzi trzech ludzi.

Młody parobczak wiosłem zajęty,
Przy nim dwaj siedzą starcowie:

Rybak... a drugi pustelnik święty,
Bo naród świętym go zowie.

Znam jego postać, znają sąsiedzi:
Mieszka w dolinie pod wioską,
Naucza wiary, słucha spowiedzi,
Wlewa pociechę ojcowską.

O! szczęście, szczęście Bóg mi nadarza!
Starzec odpuści me winy,
On zdoła obmyć ręce zbrodniarza
Ze krwi niewinnej ptaszyny.

VII.

Klecona z chróstu, samotna i dzika,
Do skał przyparta chata pustelnika.
On w dzień, pracując, Najwyższego chwali,
W nocy mu dosyć kamyka pod głowę.

Lecz oto wiosła pluchocą w oddali,
I słyhać cichą rybaków rozmowę:
— Gdzie się podziały te świetlane smugi,
Któremi była zatoka okryta?
— To dziwne rzeczy! — odpowie głos drugi —
Że z tej fregaty nikt nas nie powita!
— Patrzaj, jak żagiel na masztach opada,
A liny głucho skrzypią na żelazie;
Czyżby to cała wymarła osada,
A okręt samych nieboszczyków wiezie?
— Strach mi! aż włosy jeżą się na głowie!
Drżącemi dłońmi nie utrzymam wiosła!
— Bóg z tobą, starcze! — pustelnik odpowie —
Opatrzność Pańska tutaj nas przyniosła.

*

*

*

Łódka podpływa... wtem — słyszę... o biada!
Rozległ się łoskot i huk tak ponury,
Jakby się piekiel zatrzęsła posada,
Jakby sto gromów uderzyło z chmury,
I... na dno morskie fregata się spuści,
Pożarta wirem bezdennej czeluści.

VIII.

Zgłuszon łoskotem, nic nie wiem, nie pomnę,
Jakem się ocknął na rybackiej łodzi;
Wkoło spojrzenie rzucam nieprzytomne:
Łódka wiruje po szumnej powodzi,
Nad którą jeszcze świeża piana lata,
Gdzie zatonała nieszczęsna fregata!

Chwycilem wiosło i całemi siły
Grzmocę po fali — łódź żwawiej umyka.
Oczy rybaków na mnie się zwróciły,
Widziałem przestach w twarzy pustelnika.

— Kto to? mój ojczel! — spyta rybak młody —
Czy trup? czy szatan, co w piekło zabierze?
Nawet pustelnik struchlał siwobrody,
Ruszał ustami, snadź mówił pacierze.
A łódka żwawo płynie po zatoce,
Ja silnem wiosłem po odmętach grzmocę.

Łódź przy płynęła, pierś wolniej oddycha
Powietrzem lądu, gdzie rzeźwo i chłodno.
— Poczekaj, ojczel! — jęknąłem do mnicha, —
Wysłuchaj spowiedź grzesznika niegodną.
Niechaj cię moja pokuta poruszy:
Daj rozgrzeszenie, daj spokój mej duszy!

— Powiedz, kto jesteś, o synu pokuty? —
Spytał mię starzec, pobłogosławiwszy.
Jam zbrodni mojej dał obraz najżywszy,
Skreśliłem wszystkie sumienia wyrzuty,
I otworzyłem duszę aż do głębi,
Wyznałem rozpacz, co mi serce gnębi.

A głos mój drżący, a mowa się miesza,
Coś tłoczy piersi z niepojętą siłą;
Gdym skończył mówić, kiedy mnich rozgrzesza,
Tchnąłem swobodniej, i lepiej mi było.
Odtąd mię krzepi modlitwa i praca,
Lecz znów do serca tęsknota powraca.

Gdy boleść serce naciśnie ołowiem
Idę, zaczepiam przechodniów na drodze,
Wyrzuty serca po trochu łagodzę,
Gdy komukolwiek me dzieje opowiem.
Zgaduję z twarzy litościwych ludzi,
W kim moja spowiedź współczucie obudzi.

Czy słyszysz gościu, weselne rozgwary?
Ogród się pieśnią i tańcem ożywi,
I piją zdrowie zaślubionej pary, —
Jakże tam ludzie muszą być szczęśliwi!
Słyszysz jęk dzwonu? on mi przypomina,
Że już wieczornej modlitwy godzina.

Niechaj ucztują weseli i zdrowi,
Dla mnie rzewniejsze i słodsze wesele,
Gdy się spowiadam dobremu człękowi,
Lub gdy się z ludźmi pomodłę w kościele.
Tu widzę Boga w litośnej postaci,
Tu jestem bratem chrześcijańskiej braci.

Rzewniej się modłę, goręcej zapłaczę,
Współ z drugimi gdy w kościele klęczę,
Gdzie przy nędzarzach modlą się bogacze,
Gdzie orszak starców i roje młodzieńcze,
A wszyscy równi: bo równe ich prawa,
Gdy dziatwa ojca wspólnego wyznawa. —

Wstał, bo modlitwy nadeszła już chwila,
A w oczach jego świecił spokój ducha.
Gość się zadumał i głowę pochyła,
Tak go zajęła przygoda, co słucha.
Rozważył w duszy każde starca słowo
I już nie poszedł na ucztę godową.

Dziwna mu w myślach toczyła się wojna,
Jakby na głowę wziął ciężar nad siły.
Cała noc jego była niespokojna,
Bo się sny dziwne i straszne roily;
Lecz gdy się głowa uspokaja chora,
Ocknął się lepszym i mędrszym niż wczora.

PTAKI WĘDROWNE.

(Myśl ze Stagnelius'a).

Widzisz ten ptaków rój niezliczony,
Który porzuca północne strony,
Leci, gdzie wzywa nieznana sfera,
I smutnym krzykiem wiatry rozdziera:
Gdzie nas posyłasz o dobry Boże!
Na jakie brzegi, za jakie morze?

Kraj skandynawski rzucamy w dali,
Tuśmy zrodzeni, tu byli mali,
Mieliśmy gniazdka w kwitnącej lipie,
Wiatr nas bywało kwieciem osypie,
Huśta w gałązkach, — dzisiaj od zimy
W strony nieznane lecieć musimy.

W lasach północnych noc tak wspaniała,
Że do snu nawet chętka nie brała,
Że od zamierzchu aż do jutrzeńki
Drżały w powietrzu nasze piosenki,
Drżały piosenki naszych rozkoszy,
Póki ich ostre słońce nie spłoszy.

Bywało z bujnych konarów drzewa
Hojnie na trawę rosa się zlewa;
Dziś dąb bez liści, rosy zakrzepły,
Uciekł przed wiatrem nasz wietrzyk ciepły,
Złocisty kwiatek już nie wykwiła,
Trawka zielona śniegiem pokryta.

Dziś nas północne lęka powietrze,
Niebo chmurniejsze, słońce tu bledsze;
Co mamy śpiewać? co tu wygwarzym,
Kiedy kraj cały został cmentarzem?
Bóg nam dał skrzydła, ulećmy w stronę...
Witajcie, morskie fale wzburzone!

Tak pożegnawszy północ zamarła,
Ptactwo do lepszych brzegów dotarło,

Kędy po wiązach bujna a młoda
Wije łodygę winna jagoda,
Gdzie w kwiatach strumyk brzęczy z kolei
Piosnkę radości, piosnkę nadziei.

Gdy radość ziemska w smutek się zmieni,
Gdy poczną jęczeć wichry jesieni,
Nie boleję, duszo! Tam za morzami
Piękniejsza strona ciebie przymami,
Tam poza grobem, wiośniana krasa,
Poranne słońce nigdy nie zgasa.

1855. Żalucze.

PIEŚŃ RYCERZA NORWESKIEGO HAROLDA.

DO ELŻBIETY, CÓRKI JAROSŁAWA, KS. KIJOWSKIEGO.

Na lekkich łodziach, zakuci w zbroi,
Wzięli Sycylię bojacy moi.
Piękne wspomnienia dni pięknej chwały!
Czarny mój okręt biegł po topieli,
Silnie po falach wiosła grzmotały,
A mężni ludzie na nim siedzieli.
Gdzie kipią boje, gdzie szcęk oręża,
Tam szukam szczęścia, tam je znachodzę;
Ale nie zawsze chrobry zwycięża:
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Zwracałem niegdyś mój zapal młody
Na Drottenheimu bitne narody;
A liczni byli nieprzyjaciele,
A krew potokiem biegła po drodze, —
Młodego króla już trupem ścielę...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Raz my w szesnastu płyniem na łodzi, —
Łódź nam zalała fala topieli,
Lecz służy szczęście naszej załodze:
Wodę wyleli i ocaleli...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Czegoż potrzeba do mojej chwały?
Jam w bitwie chrobry, jeździec wytrwały,
Ślizgawka w łyżwach moje rzemiosło,
Oszczepem trafnie do celu godzę,
Ja pływam lekko, znam jak brać wiosło ...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Czy moje czyny nieznane od niej,
Jakem bojował w stronie zachodniej,
Jakiem tam bitwy wygrał niezłomnie,
Z jakimi plony stamtąd odchodzę,
Jakie pamiątki zostały po mnie? —
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Zrodzony w górnej norweskiej ziemi,
Gdzie słyną z łuków strzały celnemi,
Chciałem spróbować morskiej żeglugi,
Strasznej dla synów skalnych wybrzeży, —
Ocean wszystkich szeroki, długi,
Oto mój okręt krokami mierzy.
Byłem, gdzie żaden dotrzeć nie może,
Świat niemieszkalny przebiegłem w drodze;
Lecz cóż mi chwała moja pomoże?
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

1855. Wilno.

B A B U N I A.

Z Andersen'a.

URYWEK.

Nasza babunia stara, pomarszczona, siwa,
Ale oczy jej blaskiem migocą się jeszcze,
I piękne historyjki z pamięci dobywa.
Jej suknia w duże kwiaty jak nowa szeleszcze.
Babunia wiele umie i wiele pamięta,
Bo gdzie starsza od ojca i od naszej matki!
U babuni jest książka do modlitwy święta,
A w tej książce dębowe z klamrami okładki.

Miedzy kartami książki, zerwana za młodu,
Spłaszczona, zeschnięła róża troskliwie się chowa,
Nie tak piękna, nie świeża, jak róża z ogrodu,
Lecz, widząc ją, babunia zapłakać gotowa.
Pocóż nasza babunia tak starannie strzeże
W książce od nabożeństwa kwiat żółtkły nieładnie?
Czemu, gdy na tej książce odmawia pacierze,
A na zawiedły kwiatek jej łezka upadnie,
Kwiat odzyskuje barwę, nabiera swej woni,
Twarz babuni młodnieje, rumieni się, bieli,
Słońce ją opromienia, uśmiecha się do niej,
W domku poweselało i w sercu weselej?
Ot... młodnieje, młodnieje, rzekłbyś dziewczę hoże,
Ze światłemi włoskami, krasnemi jagody,
I kwiatek z sianozęci być żwieźszym nie może.
Mniema, że przy niej siedzi narzeczony młody,
On jej darował różę, ona się uśmiecha,
Z tym niewinnym uśmiechem, jak dziecku, jej ładnie.
Odjechał — tysiąc dumań przedumała z cicha.
W książkę do nabożeństwa znów swą różę kładnie,
Zasiada w staroświeckie krzesło na ostatek,
Twarz jej się znów pomarszcza, oko już nie pała,
Jeszcze raz popatrzała na zawiedły kwiatek,
Książka jej z rąk wypadła — babunia skoła.

1860. Wilno.

GWARINOS.

STARA HISZPAŃSKA BALLADA.

I.

Ej, Francuzi, czyż nie boli
Roncewalska was przegrana?
Padli trupem lub w niewoli
Bohaterzy Karlomana...

I Gwarinos stracił wieńce
Dawnych zwycięstw skroni męskich,
Dzień potyczki dał go w ręce
Siedmiu królów saraceńskich.

Kość rzucili siedem razy,
A los jedno wciąż stanowi:
I Gwarinos siedem razy
Przysądzony Marlotowi.

Król z radością jeńca bierze,
Bo on droższy mu od złota,
— Słuchaj — mówi — słów Marlota,
Chrześcijański bohaterze!

Zrzuć z twych piersi krzyż ten słaby,
Przyjmij świętą cześć proroka,
Będziesz wodzem nad Araby
I żrenicą mego oka.

Dam ci skarby niezliczone,
Odziedziczysz tron mój w spadku,
Jedną córkę bierz za żonę,
Drugą oddam ci w dodatku.

— Cześć ci królu, za two słowa,
Za two łaski, za two dary;
Lecz niech Chrystus mię uchwowa
Od przyjęcia twojej wiary!

Nie chcę żony, łask nadziei,
Nie chcę Maurów weść na boje;
Z tamtej strony Pirnei
Król, kochanka, wszystko moje...

Złość okrutna wstrzęsła Maura...
— Gardzisz złotem, szczęściem, władzą!
Niech mi zaraz tego گیاورا
Do więzienia zaprowadzą!

W najstraszniejszy loch pokuty
Niech zawiedzie go odźwierny!
W sześć łańcuchów mocno skuty,
Niechaj gnije pies niewierny.

A gdy święte dni nadbiegą,
Zwołać trąbą naród mnogi,
I gdzie ulic cztery drogi,
Smagać do krwi niegodnego!...

II.

Płyną lata!... on w ciemnicy.
Przyszedł dzień świętego Jana,
Dzień to święty bez różnicy
Dla Araba i Hiszpana.

Sklada modły tłum narodu
I w meczecie, i w kościele,
Syn zachodu i syn wschodu
Po ulicach kwiaty ściele.

Król Marlotes siadł w purpurze
I przygląda się weselu;
Kazał tarczę przybić w górze,
Rzucać kopię do celu...

Kilka godzin już igrzyska,
Nikt nie trafił w celu oko;
Każdy Arab włócznie ciska,
Ale meta za wysoko.

Gniew na króla osiadł czole,
Ogień w oku, groźba w mowie,
I straszliwą jego wolę
Ogłaszają heroldowie:

— Ssać nie mogą niemowlęta,
Jeść ni pić usta niczyje,
Póki meta nie jest tknięta,
Póki tarczy kto nie zbije!

Powstał w mieście okrzyk dziki,
Aż pod ziemię jęki płyną.
— Ach! co znaczą te okrzyki? —
Sam do siebie rzekł Gwarino:

Czy to radość jakaś żywa?
Czy się żeni kto z królewną?
Albo trąba lud przyzywa
I mnie smagać będą pewno!

Maur, podziemnych stróż sklepieni,
Rzekł mu na to: — Jesteś w błędzie,
Nikt z królewną się nie żeni,
Ciebie smagać nikt nie będzie.

Dzisiaj wielkie Jana święto,
Ciska włócznie młodzież nasza;
Dotąd celu nie draśnięto,
A król gniewny tak ogłasza:

Niech nikt nie je, ani pije,
Ani starzy, ani mali,
Póki mety kto nie zbije,
Póki tarczy nie powali!

Więc Gwarinos drży tajemno:
— Ej, strażniku, gdyby zbroja!
Gdyby śnieżny koń mój ze mną
I stalowa włócznia moja!

Włócznia, co służyła godnie
W Karlomana świętej sprawie!...
W zakład głowę moją stawię —
Zbiłbym tarczę niezawodnie!

— Jakto? ufasz twojej ręce?
Twojej sile? twemu oku?
W tej katuszy inni jeńce
Nie przeżyli ani roku...

Twoją szyję w ciężkiej sforze
Siedem lat już łańcuch mula...
Chcesz? pobiegnę wraz do króla
I żądanie twe przełożę.

Stróż zatrzasnął stalne wrota,
Aż zawyla podziem głucha,
I pośpiesza do Marlota,
I tak szepce mu do ucha:

— Ten Gwarinos, co w sklepisku
Siódmy rok w kajdany dzwoni,
Chce zbić tarczę na igrzysku,
Prosi swego konia, broni.

Król zakrzyknął: — On? w tej chwili?
Jeszcze w lochu nie zgnął marnie?
Chyba żeście mu szczędzili
Głodu, więzów i męczarnie?

Niech tu przyjdzie! hola straż!
Dać mu jego strój orężny!
Gdy go dźwignie, cud pokaże
Jeden więzień niedołężny!

Zbroję więźnia rdza przejadła,
Koń lat siedem piasek woził;
On, podobny do widziadła,
Szedł przed króla... okiem groził...

I uzbroił się z pospiechem,
Dosiadł konia... przejrzał broni...
A Marlotes parskął śmiechem:
— No! obaczym cud twej dłoni...

Twarz wybladła i znędzniała
Wnet się płoni i rozchmurza,
Więzień ożył... męstwem pała...
Ruszył w harce, jako burza...

Rumak zadrżał... bo widocznie
Wspomniął bitwy, poznał pana;
Więzień silnie cisnął włócznię, —
Spadła tarcza potrzaskana...

Powstał gwar zazdrosnej wrzawy.
W górę mieczów błysło wiele;
Ale miecz Gwarina rdzawy
Naokoło trupy ściele.

Silnie konia spał ostrogą...
Stary koń w podkowę dzwoni,
Maury w pogoń lecą drogą...
Więzień umknął od pogoni.

Dobiegł Francji, — tam go szczerze
Spotkał wiernych tłum wasali,
Tam go damy i rycerze
Z uwielbieniem powitali.

G R A C Z E.

FORMA I MYŚL Z PUSZKINA.

Zasiedli społem:
 Każdy nad stołem
 Wsparty,
 A każdy w wiście
 Bił zamaszyście
 Karty.

I tylko czasem
 Przerwą hałasem
 Ciszę;
 Każdy na desce,
 Kredą po kresce,
 Pisze.

I wiodą spory:
 Lewy! honory!
 Krzyczą;
 I znowu w szyki
 Trefy i piki
 Liczą.

Po każdym robrze
 Stuknęli dobrze
 Starki;
 I znów nad stołem
 Zwiesili społem
 Karki.

1846. Załucze.

O R Z E Ł.

Z PUSZKINA.

Za kratą, za lochu grubemi murami,
 Ja orzeł zamknięty, strzeżony, —
 Mój smutny towarzysz, trzepocąc skrzydłami,
 Pod oknem łup krwawy chciwemi rwie szpony.

Rozdziera, pożera i patrzy w loch dziki,
Jedną myśl, jedną chęć w naszych duszach niecim,
Przyzywa mnie głosem, przyzywa mnie krzyki,
I zdaje się mówić: Ulecim! ulecim!

My ptaki swobodne, już pora, jedyny!
Gdzie góry za chmury wierchołkiem sięgają,
Gdzie obce za morzem sinieją krainy,
Gdzie wiatr tylko igra i orły bujają!

1847. Załucze.

LAIK KLASZTORNY.

Z LERMONTOWA.

Kosztując, skosztowałem... trochę miodu,
a oto ja umieram.

Księgi Król. I, r. XIV, w 43.

I.

Kędy Aragwa i Kura, dwie rzeki,
Jakby dwie siostry, na gruzińskiej niwie
Łączą się z sobą i płyną burzliwie,
Był stary klasztor niedawnemi wieki.
I dotąd jeszcze wędrownik postrzeże
Jakieś zwaliska czerniejące zdala,
Cerkiewne ściany, i wysokie wieże,
I szkielet bramy, co w gruz się obala.
Lecz pod sklepieniem cerkiewnej zaciszy
Pieśni na jutrznię już nikt nie posłysz,
Już dym kadzidła wśród Pańskiej ofiary
Nie bucha wonnym kłębem z trybularzy;
Jeno pustelnik, dziad siwy i stary,
W pustem zwalisku pozostał na straży.
Starzec już dawno zapomnian od świata,
Śmierć zapomniała wziąć go do mogiły;
A ów z nagrobków staroświeckie pyły
I mech odwieczny otrząsa i zmiata.
A na grobowcach przedstawia się oku
Pamięć i napis chwały ominionej:

Że jakiś mocarz, któregoś tam roku,
Znużon ciężarem swej pańskiej korony,
Oddał ją Rusi...

A Bóg od tej chwili
Błogosławieństwo na Gruzińców spuszcza,
W cieniu rozkosznych ogrodów odżyli,
Nie straszna dla nich nieprzyjaciół tłuszcza,
Bo żyją pewni, że ich zabezpieczy
Niezlomna ściana przyjacielskich mieczy.

II.

Tędy na Tyflis jednego coś razu
Jechał wódz ruski od gór Kaukazu,
Z nim było dziecko zabrane w niewolę.
W długiej podróży zasłabło pacholę.
Chłopczyzna mały i wątłej natury
Liczył sześć latek, gdy zapadł w niezdrowie.
A był lękliwy, jako sarna z góry,
Cienki i giętki, jak wodne sitowie.
Lecz w piersiach dziecka w bolesnej chorobie
Duch jego ojców rozwinał się pięknie:
Nie budził skargą litości ku sobie,
Ani się skrzywi, nie płacze, nie jęknie;
Przeczącym znakiem pokarmy odpycha,
I kona hardo, dogorywa z cicha.
Przez litość jeden z monasterynych braci
Przyjął chorego do zakonnej celi,
Leczył, doglądał, dni i noce traci;
Powstało dziecko z śmiertelnej pościeli.
Lecz w niem do zabaw chęć się nie budzi:
Z początku stroni, ucieka od ludzi,
Błąka się jeden, słowa nie przemówi,
I na wysokie pagórki się wspina,
Tęskni do kraju, gdzie jego rodzina;
Potem do swojej niewoli przywyka,
Uczy się dźwięków cudzego języka,
Chrzci się, powolny zakonnich radom,
I tak się wgłębia w klasztorne zacisze,
Że w kwiecie wieku, burz ziemskich nieświadom,
Chciał już wykonać poświęcenie mnisze;

Gdy jednej nocy w jesiennym tumanie
Z murów klasztornych zniknął niespodzianie.
Wokoło były pagórki i skały,
Na górach puszcza ciągnęła się ciemna;
Trzy dni, trzy noce mnichy go szukały,
Ale ślad zginął i praca daremna.
Nareszcie w stepie, na bezludnej głuszy,
Znaleźli zbiega prawie już bez duszy.
Znów pod sklepienie ciemnych kurytarzy
Wnieśli młodzieńca miłosierni ludzie.
Trupią miał bladość na znędzniałej twarzy,
A tak był słaby, jak po ciężkim trudzie,
Jakby po głodzie lub długiej chorobie.
Codzień pierś słabsza i twarz bardziej blada,
Na zapytanie nic nie odpowiada;
Snadź mu już rychło zasklepić się w grobie.
Wtedy mnich przyszedł nad boleści łoża
Spełnić nad chorym tajemnice Boże.
Chory wysłuchał modły i namowę,
A choć bezsilny, zaledwie oddycha,
Podniósł z posłania swoją hardą głowę
I słabym głosem tak mówił do mnicha:

III.

Mojej spowiedzi, posłanniku Boży,
Przyszedłeś słuchać — dobra twoja rada:
Jakoś lżej sercu, kiedy się otworzy,
Gdy przed kimkolwiek swą boleść wygada.
Dziękuję... słuchaj... lecz żyjąc na świecie,
Chodziłem z ludźmi drogą nieobłudną,
Z życia nie wiele czego się dowiecie,
A całej duszy wygadać za trudno.
Ja krótko żyłem, w niewoli, w klasztorze,
A takie życie to pozał się Boże!
Dwa takie życia spokojne, za krata,
Dałbym za jedno życie pełne wrażeń.
Nie miałem uczuć — oprócz sennych marzeń, —
Jedną namiętność — lecz ognistą za to:
Zawładła sercem — jej zabójcza siła
Wgryzła się w piersi — i duszę spaliła.
Ona, gdy w celi modłę się do Boga,

W oczach i myślach stawi i promieni
 Zamglone góry, kędy rzeź i trwoga,
 Gdzie ludzie wolni, jak orły w przestrzeni.
 Jam tę namiętność, co dziś w sercu noszę,
 Karmił tęsknotą i łzami gorzkiemi;
 Mówię to wobec i niebios, i ziemi,
 I przebaczenia za mój grzech nie proszę.

IV.

Starcze! słyszałem, żeś mi zbawił życie;
 Pocoś to czynił? — by trzymać w uwięzi?
 Liść z macierzystej oderwan gałęzi
 Dlaczego jeszcze do ziemi szczepicie?
 Co miało uschnąć, niech marnie usycha
 Raczej, niż zwolna ma zawieść w głąszy!
 Ocalić dziecię i skazać na mnicha,
 Czyż to nie znaczy zabić je na duszy?
 Nikogo tutaj nie mogłem, nikogo
 Nazywać ojcem albo matką drogą,
 Sądziłeś, starcze, że wśród obcej strony
 I niedostępnej celi pustelnika
 Człowiek od świętych wyrazów odwyka,
 Zapomni uczuć, z którymi zrodzony...
 Próżno! bom widział, jako drudzy mieli
 Krewnych, ojczyznę, domowy zakątek;
 Jam nie miał nawet — grobowych pamiątek,
 Z którymi serce bliżej się podzieli!
 Więc zaniechawszy płakać bezkorzystnie,
 Przysiagłem sobie w głębi mego łona,
 Że pierś samotna, tęskna, rozogniona,
 Do bratniej piersi kiedyś się przycisnę...
 Choćby do piersi nieznanego człeka,
 Byleby rodem z daleka... z daleka,
 Gdzie moja ziemia, rodzice i bliźnie...
 Biada mi! biada — urojenie znika,
 Umrę, jak żyłem na cudzej ojczyźnie,
 Jako sierota — w pętach niewolnika.

V.

Myślisz, że może przez bojaźń niegodną
 Lękam się trumny — ej, baśnie to, baśnie!

Tam uroczyście, spokojnie i chłodno,
Tam — ludzie mówią, że cierpienie zaśnie.
Lecz moje serce... lecz krew moja młoda —
Nie chcę umierać — bo mi życia szkoda!
Wir młodych marzeń szalony, skrzydlaty,
Któremi dusza tak żywo przejęta...
Możesz ich nie znał? lub zapomniał z laty,
Co jest nienawiść? co jest miłość święta?
Możesz z wysokiej monasterskiej wieży
Zadrżał, patrząc na słońca oblicze,
Na widok pola, kędy wietrzyk świeży
Orzeźwił twoje piersi zakonnicze?
Widziałeś może w potrzaskanym murze,
Jak młody gołąb, cudzy i nieznany,
Z dalekiej strony zapędzon przez burze,
Trzepiąc w skrzydełka tuli się do ściany?
To cóż, że świata rozkoszne powaby
Dziś twego serca skrzepłego nie wzruszą?
Ty dzisiaj siwy, zgrzybiały i słaby
Odwykłeś pragnąć i pożądać duszą.
To cóż, żeś martwy? — lecz żyłeś na świecie,
Masz coś pamiętać, coś zapomnieć przecie...
I ja żyć mogłem — a umieram w kwiecie.

VI.

Ty chciałbyś wiedzieć me wrażenia młode,
Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
Widziałem niwę szeroką, wesołą,
Widziałem góry, a na górach drzewa,
Co się zebrawszy w przyjacielskie koło,
Szumią pieśń bratnią, kiedy wiatr powiewa.
Widziałem czarną, chropowatą skałę,
Co wrzący potok rozerwał na dwoje —
Czy wierzysz, starcze, że marzenia moje
Odgadły smutki i myśli jej całe?
Bóg mi objawił ich tajemię z wysoka,
Całą ich żądzę i modlitwę biedną:
Oto rozdarta na dwoje opoka
Zlaćby się chciała i zespolić w jedno.
Tęskne kamienie na każdym urwisku
Podają sobie ręce do uścisku.

Płyną dni, lata, — lecz z dwojga wybrzeży,
Skała ze skałą nigdy się nie zbieży.
Widziałem głazy i pieczary górne,
Dymiące nakształt ofiarnych ołtarzy,
A pogarbione w kształty tak potworne,
Jak myśl człowieka, kiedy się rozmarzy.
A nad ich głową, w rozigranym biegu
Białe obłoki ciągną się uroczo,
Z tajemniczego powstawszy noclegu,
W długich się kłębach ku wschodowi toczą,
Na sinem niebie jakby biała ściana,
Jakby wędrownych ptasząt karawana.
Dalej widziałem przez zasłony mgliste
Gór kaukaskich osiwniałe czoło.
Tam wpajam oczy... i czuję zaiste,
Że sercu jakoś lekko i wesoło!...
Głos tajemniczy wciąż mi przypomina,
Że to znajoma... znajoma kraina,
Że ja tam żyłem w ominionej dobie.
Jak senne widmo, jako mglista baśnia,
Przeszłość się żywiej a żywiej wyjaśnia...
I tak począłem przypominać sobie.

VII.

I przypomniałem mego ojca chatę,
Rodzinny aul, rozrzucony w jarze.
Zdaje się, słyszę: wawozy garbate
Zawrzały życiem w wieczornym rozgwarze;
W wiosce gromada psów znajomych szczeka,
Tabun powraca i tętni z daleka,
A pasterz stado do pośpiechu nagli.
Zdaje się, widzę naszej chaty wnijście,
Kędy na dworze staruszkowie smagli,
W noc księżycową gwarzą uroczyście;
Czytać odwagę na zgrzybiałem licu,
Pochwy kindżałów błyszczą przy księżycu,
Wszystko to, wszystko, jakby senne dziwy,
Snuje się w mojej wyobraźni świeżej...
I widzę ojca, bohater, jak żywy,
Zbliża się do mnie w bojowej odzieży;

Błyszczący wspaniale jego strzelba długa,
Brzęczy na piersiach druciana kolczuga,
A harde oko iskrami się żarzy.
Widzę drużynę, memu sercu bliską:
Siostry ze słodkim uśmiechem na twarzy
Śpiewają pieśni nad moją kołyską.
A tam się kręcił i spadał z opoki
Strumień gwałtowny, ale nie głęboki.
Tam z piaskiem żółtym i czystym, jak złoto,
Chodzę bywało bawić się w południe;
Śledzę, jak czarne jaskółki przed słońcem
Ponad strumykiem przelatują cudnie;
Jak się ptaszyna nad wodą kołysa,
Szybuję lotem — że aż piersi zmoczy...
I znowu widzę, nasza chatka cicha,
A w chacie ogień pali się uroczy.
A przy ognisku o wieczornej chwili
Słyszę rozhovor i piosenki wieszczce:
Co to bywało? jak to ludzie żyli?
Kiedy świat stary dzielniejszy był jeszcze.

VIII.

Ty chciałbyś wiedzieć, jako czas mój wiode,
Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
Ja trzy dni — żyłem... i trzech dni to dzieło,
Zem poznał świata pięknego powaby;
Bez nichby życie smutniej upłynęło,
Niż twoja starość, samotniku słaby!
Dawno już, dawno mój zamiar się tworzy
Wybiec, obaczyć, czy piękny świat Boży?
W czas grzmiącej burzy zręczność się nadarza:
Kiedy noc czarna zdawała się piekłem,
Gdyście leżeli w cerkwi u ołtarza,
Modląc się trwożnie, ja wtedy uciekłem.
Czułem, że żyję — na braterskie łono
Chciałbym przytulić chmurę rozognioną;
Śledziłem drogi tajemniczej chmury,
By złowić piorun, wyciągałem pięście...
Powiedz mi, starcze: wasz klasztor ponury
Czemby mi takie wynagrodził szczęście,
Gdy się zespoli przyjaznym łańcuchem
Szalona burza z niespokojnym duchem?

IX.

I biegłem... biegłem... lecz dokąd, sam nie wiem;
Ani mi gwiazdka życzliwem zarzewiem
Dróg nie oświeca, nieba nie ozłoci.
Byłem czemś lekkim, wesołem, skrzydlatem,
Gdy pierś, schorzała w klasztornej wilgoci,
Mogła się poić leśnym aromatem.
Biegłem... czy długo? i dokąd? nie zgadnę.
Ustałem — bieg mój obezsilniał rychły.
Słucham, — i w trawę wysoką się kładnę,
Nikt mnie nie goni — grzmoty już ucichły;
Tylko jutrzienka szeroko i długo
Błądą na wschodzie rozciąga się smuga,
Tylko przy brzasku świeżego poranka,
Z pomiędzy ziemi i nieba sklepiska,
Jak czarne zęby, jak wzorzysta tkanka,
Widnieją góry z daleka i z bliska.
Ja w trawie leżę — a rozkosz jedyna
Słuchać, jak szakał odzywa się dziki,
Patrząc, jak z zielska błyszcząca gadzina,
Sycząc, przepelza pomiędzy kamyki.
Patrzę i słucham — lecz strach mię nie bierze,
Bo wiodę z niemi wspólne obyczaje:
Sam jak gadzina, sam jak dzikie zwierzę,
Obcy dla świata, czołgam się i czaję.

X.

Pode mną potok, wezbrany w ulewie,
Szumiał, warkotał i bił się o skały,
Jakby sto głosów w nieprzyjaznym gniewie
Słowa złorzeczeń i groźby miotały.
Ja zrozumiałem te potoku świsty
I jego walkę ze stosem kamieni, —
Bój niedoleżny, a jednak wieczysty,
To srogo ryknie, to się w jęk zamieni;
Choć się rozpryska i ginie w swej pianie,
Tłuc i podmywać skały nie przestanie.
A już we mglistej nad mą głową chmurze
Chór rannych ptasząt szczebioce i śpiewa,
Błysnęła jutrznia w złocie i purpurze,
I wiatr w przemokłe zaszeleścił drzewa,

Jam witał dzionek wśród wysokiej trawy,
Podniosłem głowę, spojrzałem dokoła...
I poco taić? — zadrżałem z obawy.
Jam był nad brzegiem straszliwej czeluści,
W niej czarne fale szumiały okropnie,
Po skałach wejście; lecz któż się tam spuści?
Jeden snadź szatan przechodził te stopnie,
Gdy walczył z Bogiem, gdy go Boża siła
Z niebios w podziemne przepaści strąciła.

XI.

Wkoło zapuszczam wzrok cichy, młodzieńczy:
Kwitnie las, piękny jakby ogród Boży,
Liście migocą kolorami tęczy,
Którą na rosie blask słoneczny tworzy.
Owdzie łątorośl kędzierzawa winą
Po bliskich drzewach wije się i wspina.
Gałąź, w zielone ustrojona liście
I winogronem soczystem bogata,
Ku samej ziemi zwisa uroczyście
I nęci ptastwo, co na żer przylata.
Czułem, że w raju, że w niebiosach jestem;
Padłem na ziemię — słuch natężam cały
Ku drzewom, krzakom, co z cichym szelestem
Coś tajemniczo szeptać się zdawały,
Jak gdyby gwarząc wyrazy dziwnemi
O tajemnicach niebiosów i ziemi.
Wszystko się Panu na modlitwę sili,
Gdzie jeno oko, gdzie ucho otworzę.
Tylko, niestety! w uroczystej chwili
Głosu człowieka nie stawało w chorze.
Com jeno marzył, co czułem w tej dobie,
Zbiegło z pamięci, jak woda ze strugi;
A chciałbym wszystko wypowiedzieć tobie,
Aby choć myślą odżyć po raz drugi.
Niebiosa były tak czyste dokoła,
Że mógłbyś na nich śledzić lot anioła.
Któż tę pogodę lazuru określi?
Ten blask, po ziemi roztoczony cudnie?
Pasłem urokiem i oczy, i myśli,
Aż nim nadeszło gorące południe.

Wtedy, stracony z mych dumań obłoku,
Czując pragnienie, biegłem do potoku.

XII.

Ze stromej góry, jako dziecię małe,
Czepiąc się krzaków, choć praca mozolna,
Albo stąpając ze skały na skałę,
Począłem w przepaść zapuszczać się zwolna.
I czułem więcej rozkoszy, niż trwogi,
Kiedy mi kamień wymknie się z pod nogi,
I ryje ziemię, i kurzawę nieci,
I warczy, skacze, nim się na dół spuści;
Patrzę ciekawie, kiedy już doleci,
Buchnie z łoskotem do wodnej czeluści.
I ja swawolnie wisiałem nad wodą,
Gdy giętkich krzewów czepiała się ręka;
Lecz męstwo grzało moją duszę młodą,
A młoda dusza śmierci się nie lęka.
Ledwie się spuścił po urwistej ścianie,
Świeżość wód górnych orzeźwia mię żywo,
Wiatr chłodny wionął na moje spotkanie,
I piłem wodę piersią pożądliwą.
Wtem głos... i szelest — w pustej rozpadlinie...
Ja w mgnieniu oka skryłem się w gęstwinie.
Dreszcz mię przebiegnął od stóp aż do głowy,
Podniosłem w górę bojaźliwe oczy,
I słucham pilno — to głos ludzkiej mowy...
Zbliża się... zbliża... dźwięczny i uroczy.
To głos Gruzinki, żywy, nieuczony,
Co jeno w słodkie rozlewa się tony,
Co jakby insze nieznane mu dźwięki,
Oprócz wyrazów miłości, przyjaźni.
Był to głos prostej gruzińskiej piosenki, —
Lecz tak się wpoił do mej wyobraźni,
Że go aż dotąd, gdy szara godzina,
Duch niewidomy wciąż mi przypomina.

XIII.

Z konwią na głowie, po wąskiej drożynie
Gruzinka z góry szła nad brzeg potoku;
Zbiegając na dół, gdy się krok powinie,
Pustą wesołość czytałem w jej oku.

Sute wyloty swej biednej czamary
W tył odrzuciwszy, szła lekko i śmiało.
Jej twarz, jej piersi barwą ogorzałą
Powlokły słońca upalnego skwary,
A ogień życia promieni się w twarzy,
Z jej ust oddycha, na oczach się żarzy;
A w czarnych oczach taka głąb i siła,
Tak wznieca miłość gorącą, tajemną,
Że moje dumki dziecinne spłoszyła.
Jam zadrżał, zdrętwiał — i co było ze mną,
Nie wiem... nie pomnę... tylko słuch pamięta,
Jak brzękła woda konwią zaczerpnięta,
I szelest kroków... Gdym ochłonął z szału,
Gdy krew ostygła, co mi serce pali,
Już jej nie było... widziałem z oddali,
Jak wraca w góry lekko, choć pomału,
I choć pod konwią schylona jej głowa,
Wzniosła jak topól, tych lasów królowa.
Widzę za mgłami dwie chatnie mieściny,
Jakby przyrosłe do skalistej bryły,
Jednym się dachem bratersko pokryły;
Z pod płaskiej strzechy dym sący się siny,
I w jednej chacie ponad skałą krętą
Drzwi się otwarły... znowu je zamknięto...
Lecz czego tęsknię i o czym ja roję,
Przed tobą, starcze, i mówić daremno;
Ty nie zrozumiesz... O, wspomnienia moje!
Niech one raczej umierają ze mną!

XIV.

Po nocnych trudach sen zamknął mi oczy,
I Bóg mi cudne marzenia przysyła:
Widziałem obraz Gruzinki uroczy;
Znowu pierś moja słodko zatęskniła.
Chciałem westchnieniem zwalić kamień z siebie,
Alem się ocknął, wyężdżając płuca.
Noc była jasna, a gwiazdy na niebie,
Księżyc jużienne łóżysko porzuca;
Za nim widziałem chmurkę tajemniczą,
Pędzi się, skrada... jakby za zdobyczą.

Ciemność i cisza władały na ziemi,
Tylko śnieg błyszczał, co na górach leży,
I tylko potok takty mierzonymi
Uderzał silnie o skałę wybrzeży;
Tylko w znajomej chacie ogień pała,
Iskrzy się... bucha... gaśnie przytajony...
Chciałbym wejść do niej — lecz dusza nieśmiała,
Mój cel — uciekać na rodzinne strony.
Cierpienia głodu przemagam, jak mogę,
I biegnę prosto, gdzie noga poniesie;
Ale po górach miarkując mą drogę,
Gdym stracił góry, zabłądziłem w lesie.

XV.

Napróżno moja ręka rozpaczliwa
Rwie krzaki cierniów i splątanych bluszczy —
Nic się nie przedrze, nic się nie odkrywa,
Oprócz głębokiej, wiekuistej puszczy.
Za każdym krokiem ścieżka mi się węż;,
Ze strachu nogi chwieją się pode mną,
Milionem oczu z za każdej gałęzi
Pogląda na mnie nieprzedarte ciemno.
Chcę zbadać drogę, czepiam się na drzewa,
Patrzę daleko... aż do krańców świata:
Za mną, przede mną, na prawo, na lewo,
Leśnych wierzchołków powierzchnia zębata.
Więc krzycząc wściekle, zrozpaczonem czołem
Padłem na ziemię i gryźć ją począłem.
Lecz z moich oczu — nawet łzy się leją,
Spadają bujną i gorącą rosą.
Możem się krzepić tajemną nadzieją,
Że ludzie przyjdą, pomoc mi przyniosą?
O! nie... nie, starcze... ja nie chciałem ludzi,
Ja, obcy dla nich, jak stepowe zwierzę...
A gdybym wiedział, że to litość wzbudzi,
Anibym jęknął, — przysięgam ci szczerze;
A gdybym jęknął, to w tej samej dobie
Pieszczony język wyrwałbym sam sobie.

XVI.

Kiedym był dzieckiem, to mnie nic nie wzruszy, —
Wszak nie pamiętasz mych łez ni rozpaczy;

A teraz mogłem pofolgować duszy:
Płakałem rzewnie, bo któż mię obaczy?
Las ciemny świadkiem moim był jedynie,
I jasny księżyc, co po niebie płynie.
Przedemną była polanka wśród dziczy,
Drzew niebotycznych ogrodzona ścianą;
Nieco oświecił księżyc tajemniczy
Jej ziemię, piaskiem i mchem zasypaną.
Cień po niej mignął... z daleka coś błyska,
Jakby dwie iskry, jakby dwa ogniska:
Straszny rosomak wyskoczył z gęstwini,
Tarza się w piasku... niegłodzien już pono,
Bo wesół mruczy i zabawkę czyni,
Trzymając w paszczy kość niedogryzioną;
To włos najeży, to znowu podskoczy,
To wlepia w księżyc swoje krwawe oczy.
Ja, kij sękaty ujawszy jak włócznie,
Czekam, by mężnem postawić się czołem;
Krew moich przodków zadrgała widocznie...
Gorącej bitwy i krwi zapragnąłem!
Choć życie moje niedołęźnie płynie,
Lecz się pasując ze zwierzęciem dzikiem,
Poczułem, starcze, żem w ojców krainie
Mógł nieostatnim zostać bojownikiem.

XVII.

Czekam... rosomak zawietrzył po niwie,
I odkrył wroga, i zawył płaczliwie,
I ryje piasek gniewnemi pazury,
I krwawem okiem iskrzy nieprzytomnie;
Przyległ do ziemi, podniósł się do góry,
I znowu przyległ, i poskoczył do mnie.
I jużbym zginął, lecz przytomność skora
Uprzedza wroga: żwawe ręce moje,
Mój kij sękaty, jak ostrze topora,
Łeb napastniczy roztrzaskał na dwoje...
Jęknął jak człowiek... i padł — lecz za chwilę,
Choć zakrwawiony i z robotą głową,
Zwierz powstał, skoczył, i wznosił się na sile,
I bój śmiertelny zakipiał na nowo.

XVIII.

Padł mi na piersi, ale mu do pyska
Wpycham mój oszczep i przebijam gardło.
Rzucił się, zawył... i nigdy w uścisku
Dwóch się przyjaciół tak szczerze nie zwarło,
Jakośmy z wrogiem, obadwaj, zajadli,
Walcząc w ciemności, na ziemię upadli,
Ja straszny byłem w morderczym zapasie,
Jakby rosomak dziki i zawzięty,
Gryzłem, piszcząłem, jakby wilczę zda się,
Wyhodowane z wilczemi szczeniętą.
I głos zwierzęcy na puszczy jałowej
Wstąpił w me piersi — tak straszliwie wrzeszczę,
Zda się, że ludzkiej nie umiałem mowy,
Żem jej nie słyszał od kolebki jeszcze.
Lecz wróg mój słabnie, choć rzuca się do mnie...
Oddycha wolniej... walczy nieprzytomnie...
Zdławił mię jeszcze... przytoczył ogromem
I raz się zachwiał i na nowo ożył...
Groźnie zabłysnął okiem nieruchomem...
Potem je zamknął i już nie otworzył...
Lecz chobrze walczył i mężnie umiera,
Jako przystało na zgon bohatera.

XIX.

Czy widzisz ślady? patrz na piersi mojej!
Ta rana świadczy o zwierzęcej sile:
Szarpnięcie krwawe — ale to w mogile,
W surowej ziemi, łącno się zagoi.
Śmierć ranę sklepi, jak lekarz, jak matka, —
O niej pamiętać nie było mi czasu;
Ja wątłej siły dobywszy ostatek,
Włokłem się w gęstwie niedostępne lasu.
Daremnie z dolą walczyłem, daremnie!
Zła moja dola uraga się ze mnie.

XX.

Wyszedłem z lasu — już dzionek zabłyska,
Gwiazdy pogasły, wiatr jęknął po ziemi,
Góralskie chaty i noclegowiska
Już wybuchnęły dymy porannemi,

Puszcza szumiała swój rozhovor stary.
Usiadłem słuchać — i ścichły jej gwary.
Ciekawem okiem spojrzałem dokoła...
Strona znajoma, czy mi się wydaje?
Tutaj monaster... nie pojmuję zgoła,
Jakim sposobem wróciłem w te kraje?
Jakbym chciał ulec przed mej doli władzą,
Wrócić, gdzie znowu w ciemnicy osadzą.
Tylem dni sterał w pustyni i borze,
Tylem przecierpiał, przemarzył radośnie!
Poco to wszystko? aby w życia wiośnie
Wrócić w niewolę, gdzie głowę położyć?
Piers rozognioną złożyć w grób ponury,
Kiedy ku światu ledwie oczy wznoszę,
Kiedy na łonie swobodnej natury
Zdołałem poznać swobody rozkosze?
Czyż to na zawsze nadzieja mi zginie
I moja tęskna dumka po rodzinie...
Jeszcze nie wierzył, roilem z pociechą,
Że to nieprawda, że to sen mnie straszy,
Że się obudzę, — gdy śpiżowe echo,
Jak grom, z dzwonnicy ozwało się waszej.
Obrazy śmierci już mi w oczach stoja,
Ten dzwon już nieraz był torturą moja,
Ten dźwięk bywało, moje szczęście płoszy:
Oczy dziecinne gdy do snu zasklepię,
Marzę o braciach i w błogiej rozkoszy
Hasam w swobodnym macierzystym stepie,
Lub widzę piękne wśród skał bojowiska,
Gdziem ja zwycięzcą, gdzie mój miecz połyska
Nad wszystkie miecze... Do innego świata
Ten dzwon mię strącał, — i teraz w pomroce
Zda się z mej piersi to echo wylata,
Zda się żelazem ktoś mi w piersi grzmoce,
I jasno prawda stanęła złowroga,
Że do rodziny — zamknięta już droga!

XXI.

Tak! jam zasłużył na cios, co mię boli:
Bo weź rumaka ze stepu, z daleka,
Zdaj go na ręce cudzego człowieka,
A zwierz potarga trenzle swej niewoli,

I zrzuci jeźdźca, otrząśnie się z siodła,
Puści się cwałem przez błonia, zagony,
I nie pytając, gdzie droga powiodła,
Trafi do swoich — na swój step rodzony.
Ja, niedoleżny, cóż ja przed nim znaczę?
W mem sercu żądze i tęskne rozpacze,
Ogień bezsilny, zapal chorowity,
Igraszka marzeń i upadek duszy,
Stempel niewoli, na czole wybity,
Co myśli chrobre smutnemi zagluszy.
Jak kwiat, co w murach, od światła z daleka,
Między kamieniami i cegły wyrośnie,
Nie puszcza liści, poblednie żałośnie,
I ciągle słońca, jak zbawienia, czeka;
Tymczasem długie, długie dni ubiegły,
A kwiatek więdnął od ciemna i chłodu,
Nim ktoś go wyjął z rumowiska cegły
I między róże zaniósł do ogrodu;
Zewsząd go życie owionęło nowe,
Ale na słońca południowym skwarze
Wkrótce opuścił i liście, i głowę, —
Spalił się kwiatek, chowany w pieczarze...

XXII.

I ja... gdym wybiegł za klasztorne wrota,
I mnie spaliła słoneczna spiekota.
Naprawdę czoło tuliłem do trawy,
By mnie przytulić chciała miłosiernie,
Bo trawa zwiędła — liść szorstki, chropawy
Wpijał mi w głowę swe kolce i ciernie.
Nawet od ziemi, gdy do niej przypadnę,
Czuję gorąco i płomienie zdradne.
Skała wyziewy zabójczemi bucha,
Świat snem rozpaczy zasnął nieudolny;
Choćby dla ulgi, dla pociechy ducha,
Ozwał się chróściciel albo konik polny,
Choć gdyby rybka plusnęła w zatoce!
O, gdzie tam! straszno pośród skał urwiska,
Po suchym łomie żmija się szamoce,
Żółtemi pręgi zdradziecko połyska,

Jak gdyby. na nich był napis złowrogi;
Pełnie ukradkiem i straszy sykanem,
I żółty piasek rozsypując z drogi,
Wije się w skręty, przewala się na nim.
Pieści się, igra... ale jednym razem,
Gdym ją chciał witać mową przyjacielską,
Jakby dotknięta gorącym żelazem,
Rzuca się ukryć w niedostępne zielsko.

XXIII.

Jasny i cichy był widnokrąg cały:
Z za mgły... daleko... dwie góry czerniały.
Jedna z nich dobrze znajoma mi góra:
Na niej nasz klasztor z basztami i wieże,
U dołu rzeki Aragwa i Kura,
Srebrzystem pasmem obwiwszy wybrzeże
I na swych wyspach podmywając krzaki,
Biegły wesole ku mnie jednakiej.
Daleko od nich — powstać nie masz mocy!
Wszystko się kręci przed memi oczyma.
Chciałem zakrzyczeć, zawołać pomocy,
Lecz w piersiach zaschło, i głosu już niema,
Język oniemiał, głowa mi opadła,
Czułem przedśmiertnej gorączki widziadła.

Zdaje się, leżę próżen opieki
Na dnie wilgotnem głębokiej rzeki,
A mgła tajemna krąży w oddali,
Me piersi wieczne pragnienie pali,
A jak lód zimna i czysta woda
Leje się z piersi, szeleści, syczy.
Nie chciałem zasnąć, bo była szkoda
Takiej rozkoszy, takiej słodyczy.
A nad mem czołem wśród błogiej ciszy
Fala po fali wciąż się kołyszy;
Przez kryształ wody, przez fali drganie
Widziałem słońca lubie świtanie.
Z jego promieniami rybkom zabawa,
W świetle igraszkę mają przyjemną;
A jedna rybka, nad inne żwawa,
Jakże uprzejmie pieści się ze mną!

Na niej się błyszczy złocista łuska,
Ona me czoło z pieszczotą muska;
W zielonych oczkach widziałem pewno
Głęboki smutek i czułość rzewną.
A miała głosik słodki, człowieczy;
Dźwięczniej od srebra, dźwięczniej od złota,
Szeptwała dziwne, dziwne mi rzeczy!
To się uciszy, to znów szczebiota:

Tu, dziecino, zostań, młoda,
A zamieszkaj głębię wodną,
Tutaj szczęście, tu swoboda,
Tak spokojnie, tak tu chłodno!

Zbiorę rybek wiele, wiele,
Płasać będziem na przemiany,
Ja twe oczy rozweselę,
Uspokoję duch znękany.

Zaśnij! — miękkie twoje łoże,
Przezroczyste twe przykrycie,
Wpółśród marzeń śpij, nieboże,
Lata, wieki, całe życie.

Ty, mój luby, nie wiesz wcale,
Że o tobie tylko roję:
Kocham, jak swobodną falę,
Jako własne życie moje.

Ja słucham, słucham, wciąż mi się marzy,
Że do mnie mówi przyroda cała,
Że dźwięczna fala to samo gwarzy,
Co mi złocista rybka szeptała.
Alem odrętwiał: jak pustka głucha,
Świat Boży ściemniał, urwał rozmowę,
I już w bezsilnem znużeniu ducha
Zamarły moje sny gorączkowe.

XXIV.

Jakeście zbiega z klasztoru szukali?
Jak mię znaleźli? i co było dalej?

Ty sam wiesz, starcze. Skończyłem me dzieje;
Wierz mi lub powiedz, że zmyślam widocznie,
Mało się troszczę. Nad jednym boleję,
Że trup mój w ziemi rodzinnej nie spocznie,
Że smutna powieść męczarni mej duszy
Tu od kamiennej odbija się ściany,
Żadnego serca współczuciem nie wzruszy,
Zginie nieznana — jak i ja nieznany.

XXV.

A teraz żegnaj! daj mi rękę, stary!
Czujesz, jak ogniem moja ręka pała?
Wiedz, że ten ogień, te straszne pożary
Ja w mojej piersi tailem od mała.
Teraz, gdy iskrze żywiołu nie dano,
Przepala swoją ciemnicę kościaną,
A wybuchnąwszy w ostatnim pożarze,
Kiedy śmiertelna pokrzepia go siła,
Wraca do Boga, co w słusznym wymiarze
Ludziom cierpienia i spokój przysyła.

XXVI.

Kiedy ja będę umierał zboląły,
(Niedługo, starcze, doczekasz tej chwili),
Niechby mię wtedy w ogrodzie złożyli,
Kędy dwa krzewy akacyi białej.
Jeszcze na gęstą popatrzećbym trawę,
Gdzie świeży wietrzyk, gdzie liście złotawe
Igra ze słońcem... Raz ostatni jeszcze
Niech mię tam niosą z twojego rozkazu,
Niechaj się dzionkiem słonecznym popieszczę,
A stamtąd widzę góry Kaukazu!
A może kraj mój z gór swoich wyżyny
Znak pożegnalny sierocie uczyni,
I ze swym wiatrem w tutejsze zacisze
Przyśle ostatnie pożegnalne słowo;
Rodzinne słowo przed śmiercią usłyszę,
I pełnem życiem odetchnę na nowo.
Pomyślę sobie, że to ludzie moi,
Że tu przyjaciel, że tu brat mój stoi,

Liczy ostatnie mego serca bicie,
Ściera pot zimny, co mi z czoła płynie,
I głosem cichym, że nie posłyszycie,
Śpiewa piosenkę o mojej rodzinie...
Wtedy ja umrę... ja usnę tak błogo,
Nie przeklinając nikogo... nikogo!...

Październik, 1852. Załucze.

PRZYJACIEL LUDZKOŚCI.

Myśl z Nekrasowa.

Świat coraz nowej nabiera zalety:
Na przykład dzisiaj — już są komitety,
Gdzie starzec, wdowa, sierota, kaleki
Liczą na wsparcie, doznają opieki.
Nawet magnaci już w dzisiejszej chwili
Dobłą z Paryża modę sprowadzili,
Bo nie przez druki, radą lub przestrogą,
Lecz samym czynem wspierają, jak mogą.
Czy wiesz, mospanie? to pocziwa moda!
Ale co dawniej — to i mówić szkoda!
Słuchajcie tylko, bo Pan Bóg mi świadek,
Że dziwny w życiu raz miałem przypadek.

Niech mię Najwyższy od tego zachowa,
Abym miał gadać samochwalcze słowa;
Ale co prawda, to wyznać potrzeba!
Byłem pocziwym... i nie miałem chleba.
Mówili wszyscy, że jestem bogaty;
Intratny urząd... ale bez intraty.
Dać się przekupić, coś nie spełnić ściśle,
Aż strach bywało, gdy o tem pomyśle.
Była drożyzna — żyj tu groszem z miasta!
Płaca nie wielka, a dziatwa podrasta;
Więc się bez chleba obchodzimy, jak możemy,
Mając pod strażą magazyn ze zbożem.

Hardy z mej nędzy, prawilem z wysoka,
Że własność kraju — to żrenica oka,

Że zbrodniarz tylko z urzędu korzysta,
Słowem: bluźnięm, jak liberalista.
Teraz, jak słyszę, szczerze czy nieszczerze,
Taka zasada już cześć nawet bierze;
Wtedy przekupstwo było wszystkich hasłem —
Połknąć kubana, to jak chleba z masłem.
Ludzie mówili: Masz rodzinę przecie!
Ej, będzie kręto! z torbami pójdziecie!
Rzuć, panie bracie, te fochy złowieszczę!
A jam nie słuchał, urągał się jeszcze!

Ludzie, zwyczajnie, mściwi i zawzięci,
Z politowania przyszli do niechęci.
Poczęto śledzić, a w moim wydziale
Już się... to, owo, znalazło niedbale.
Przyszła mi bura, potem druga taka,
Nareszcie z kwitkiem puszczonego biedaka.
Tak tedy w jednej ziściło się chwili
Wszystko, co ludzie pocziwi wróżyli:
Za jednym razem, jakby z deszczem spada
I głód, i zimno, i przyjaciół zdrada.
Myśmy zostali, jak żebracy szczerzy,
Ja sam w rozpacz, dziatwa bez wieczerzy,
A żona, z nędzą dać nie mogąc rady,
Klnie moją pychę i brzydkie zasady.
A ja, bywało, wstaję... gdzie przede dniem!
Troskam się pilno o życiu powszedniem,
Jak wół pracuję. — wciąż nędza i nędza,
Grosz, co zarobię, grosza nie dopędza,
Zdaje się, pękne pod nieszczęścia siłą;
Bóg mię strzegł tylko, że się nie rozpilo.

Alem na trzeźwo, a wiernie mej cześci,
Do dna wychylał mój kielich boleści...
Jak tam bez miejsca, bez chleba, w rozpacz
Dziesięć lat przeszło? Bóg to wiedzieć raczy!

Kiedy z dnia na dzień masz byt taki samy,
Niespodziewanie pismo odbieramy:
Że naszych nieszczęść skończyła się proba,
Że jest w stolicy szlachetna osoba,

Mąż znakomity, jakby anioł nowy,
Pięknego serca i potężnej głowy,
Co swoje pióro i umysł bogaty,
Oddał na korzyść krajowej oświaty,
Wydał pięć tomów prześlicznych powieści,
Gdzie wykład nauk fizycznych się mieści,
Dziełko dostępne, popularne, tanie,
By elektryczność pojęli włościanie.

Więc ja to dzieło sprowadzam w zacisze:
Jak tam moralnie, jak tam pięknie pisze!
Samego siebie widzę jak na dłoni,
Moje ubóstwo wstydem mię nie płoni,
Moje łachmany — to obraz jaskrawy,
Żem nieprzedajny, że byłem człek prawy;
Więc chlubna radość w oczach mi jaśnieje,
Wolnoż mi przecie mieć dobrą nadzieję,
Gdy ta osoba zacna, znakomita,
W sercu biedaka tak wyraźnie czyta.

Mówię do żony z radosnemi łzami:
Pan Bóg się wreszcie zlitował nad nami,
Zesłał ochroncę, człeka dobrej woli,
Co nasze dzieci od nędzy wyzwoli.
Pójdę do niego — tam nasza osłoda:
On mię zrozumie, on mi rękę poda!

Słowom otuchy uwierzyła żona;
Już nasza dola jakby polepszona,
A człowiek, w przyszłość wierząc całą siłą,
Zapomniał biedy, jakby jej nie było.
Więc rada w radę... marzenia i plany —
Ostatni zapas na drogę zebrany,
Ze trzysta złotych — i otwarta ścieżka.
Więc rozpytawszy: kto? gdzie i jak mieszka?
Marsz do stolicy!

Tam mieliśmy krewną, —
Ta w swoim domu przyjmie nas zapewno;
Ale z krewnymi sam czart piwo warzy:
Przyjęła zimno, wstydząc się nędzarzy.
Więc myślę w duchu: A Bógże tam z tobą!
Nie chcę się z moją nabijać chudobą;

A choć nam w serce boleśnie coś bodzie,
Nająłem numer w zajezdnej gospodzie.

Całą noc Bożą, nim słońce zaświeci,
Modlą się za mnie i żona, i dzieci,
A ja raniutko do zbawcy wychodzę,
A serce bije niespokojnie srodze.
Idę ulicą, i drżący jak listek,
Myślę, co powiem? jak żywot mój wszystek
Pokrótce skreślę?

Powiem mu najprościej:
Panie! ja ginę z głodu i starości!
Mogłem coś zebrać; ale cnotę cenię,
Bo wiem, co znaczy i Bóg, i sumienie.
Gdy tysiąc potrzeb na głowę się kupi,
Myślałem sobie: O głupi ja głupi!
Inaczej myśląc, dziś zebrałbym krocie,
I złorzeczyłem mojej własnej cnotcie!
Lecz twoje dzieło! twoje złote dzieło!
Czystą mi prawdę w oczach rozwinęło:
Jam chlubny z siebie... ale żyć nie łatwo,
Alem ja nędzarz i z żoną, i z dziatwą!
Ty, co pojmujesz, jak to serce boli,
Szlachetny mężu, ratuj mię w niedoli!

Rzecz ułożyłem i wchodzę do sali:
Uprzejmi słudzy już znać o mnie dali.
Wyszedł mąż zacny, — spojrzałem i drgnąłem,
Pot mi kroplami wystąpił nad czołem,
A mowa moja tak rzewna, tak czuła,
Całkiem się z biednej pamięci wysnuła.
Jąłem bełkotać ogólniki, frazy,
Trę głupie czoło i raz, i dwa razy,
Nic nie przypominę, Pan Bóg wie, co prawię,
A wszyscy na mnie patrzą ciekawie.
Czego pan żądasz? — spytano uprzejmie.
Lecz znowu przestrach mowę mi odejmie:
Ja żądam... żądam!... Tutaj myśli nawał,
Co człowiek marzył, co w życiu doznawał,
Wszystko, co cierpiał, co ma cierpieć jeszcze,
Stało się widmem i szpony złowieszcze

Wpiło do serca... a nogi się słonią...
Ja, stary głupiec, czoło cisnąć dłonią,
Ryknałem płaczem, nie pomnąc, co robię,
Przy znakomitej a ważnej osobie.

Ten płacz był śmieszny, — na moim mundurze
Barwa spłowiała i dwie plamy duże;
Więc dobroczyńca, opiekun ludzkości,
Że jestem pijak wnioskował najprościej,
A pokojowiec wziął burę od pana,
Że tutaj weszła postać podejrzana.
Chciałem coś mówić, lecz pan tupnął nogą;
Czułem, że skargi, że łzy nie pomogą!
Gdybyż przynajmniej użył ręki swojej,
I raczył wypchnąć sam ze swych podwoi!
Lecz nawet takiej nie udzielił cześci:
Gdym się posłonił z wstydu i boleści,
Przyszli hajducy, a szarpiąc mię srodze,
Wzięli pod rękę, wlekli po podłodze;
Gdy się szamocę, gdy wyrywam ramię,
Pchnęli ze schodów, żem upadł przy bramie.

Zlany jak wrzątkiem, zhańbion tak dalece,
Biegłem ulicą nie pomnąc, gdzie lecę,
I nóg nie czując... Wkońcu wiatr zimowy
Jakoś przytomność wrócił mi do głowy.
Rzucam oczyma naokoło siebie:
Tu niosą jakieś mary po pogrzebie,
Tu na tablicy czytam piwownię.
Tam lwa zobaczyć tłum ludu się garnie,
Tam cerkiew, cmentarz, rajszuła i szkoła,
Szpital, wekslarnia i mury kościoła,
Magazyn mody, drukarnia, a za nią:
Tu różne trunki sprzedają się tanio!

Zajdę... czy raczej wstrzymam się na wodzy?...
Wszedłem... Cóż dalej?... Bracia moi drodzy!
Już od gawędy zachrypło mi gardło...
Od lat trzydziestu uczucie zamarło...
Na co uczucie? dla kogo w tej chwili?...
Dzieci pijaka ojca opuścili,

Żona wróciła w swe rodzinne strony,
Na jej mogile tkwi krzyżyk omszony;
Choć całe życie nie było w niej złości,
Klęła przed zgonem świeczniki ludzkości.

Dziwniż to ludzie! o sto mil dokoła
Za dobroczyńców ludzkość ich obwoła,
Piszą, drukują, o postępie gwarzą;
Lecz zbliż się do nich, twarz zetknij z ich twarzą,
Och! jakże na nich zawiedziesz się srogo!
Pijaka z głodnym rozróżnić nie mogą!

1855. Borejowszczyzna.

NA WOŁDZE.

(DZIECINNE LATA WALEŻNIKOWA).

Z Nekrasowa.

I.

Psie mój! co ciebie do pośpiechu skłania?
Skaczesz na piersi, a sierść ci się jeży;
Dość jeszcze będzie czasu do strzelania...
Dziwno-ć, żem przyrósł do Wołgi wybrzeży.
Już od godziny spoglądam na wodę,
Chmurny, bezwładny, jako głąz na grobie
Przyszły mi na myśl moje lata młode,
Niechże tu w ciszy przypomnę je sobie.

Jestem jak żebrak, który idąc drogą,
Jeszcze się waha i sam siebie pyta:
Tu dom ubogi, tutaj grosz dać mogą,
Tu dom bogaty, jałmużna sowita.
Ale stróż domu bogatego czleka
Nie dał jałmużny, a więc poszedł dalej.
Jeszcze bogatszy dom widzi z daleka, —
Stamtąd go ledwie kijmi nie wygnali.
Gdy tak przechodził od chaty do chaty,
W całej go wiosce chybiła jałmużna;
Co miała przyjąć zasilek bogaty,

Wisi u boku jego sakwa próżna.
Wtedy do chaty ubogiej powraca,
Co pogardliwie minął w pierwszej chwili.
Tutaj przynajmniej nie zawiodła praca:
Skórkę mu chleba suchego rzucili.
Jak pies go schwycił lękliwą paszczką,
I poszedł gryźć go daleko od drogi.

Tak ja, wżgardziwszy, co było pod ręką,
Z młodu rzuciłem rodzicielskie progi,
I nadaremnie byłem wstrzymywany:
Za nic głos braci, łzy matki rześiste,
Daremnie szumiał mój las ukochany,
Że niemasz niebios nad niebo ojczyste,
Nigdzie nie gości taki spokój błogi,
Jak na rodzinnym zagonie lub łące!
Też same słowa przyjaznej przestrogi
Mówiły fale tutejsze, szumiące;
Lecz nie wierzyłem głosom tajemniczym,
Bo mię znudziła rodzicielska strzecha,
Tutejszy spokój, niekupiony niczem,
Wcale się sercu memu nie uśmiecha.

Czy niepotrzebny, z mą chęcią usługną,
Sterałem siły w daremnej fatydze?
Lecz wiem, że życie zabiłem na próżno,
Sam dawnych marzeń przed sobą się wstydzę.
Gorące serce poraniłem srodze,
Straciłem siły w rozprawie najżywszej;
Dziś z pola życia zawstydzony schodzę,
Sobie i bliźnim nic nie uczyniwszy.
Powracam nazad i kołacę z trwogą
Do drzwi, gdzie młodość przepędził ubogą.
Nie wspominajcie nitki marzeń złotej,
Co duch zuchwały wysnuł pokryjomu;
Nie wspominajcie łez głupiej tęsknoty,
Które wylałem, że mi nudno w domu.
Może znajdziecie jakie szczęście stare,
Niechaj wspomnienia czemkolwiek umilę;
W samego siebie gdym utracił wiarę,
Tylko dziecinne nie przykre mi chwile.

II.

Żyłem, jak wielu, wpośród głuchoj dziczy,
A wielka rzeka była od nas blisko,
Gdzie czasem kulik na błocie zakrzyczy,
Lub oczeretem zaszumi bagnisko.
Sznurem, łańcuchem, jakieś ptactwo białe
Poważnie sobie siedziało nad rzeką,
Poza wodami spojrzenie wytrwałe
Dostrzegło góry, co gdzieś tam daleko...
Las nieskończony, ciągnął się las siny,
Zasłaniał zachód, gdzie jutrenka blada,
Gdzie słońce, ziemskie obiegłszy krainy,
Na wypoczynek do snu się układa.

Bojaźń mi była od dziecka nieznana,
Bom wszystkich ludzi uważał za braci,
I nie wierzyłem w obecność szatana,
Który się snuje w widomej postaci.
Raz mi troskliwa piastunka powiada:
— Nie biegaj w nocy... bo wilków bez liku;
Nie chodź do sadu, tam czartów gromada
Po całych nocach hula przy strumyku!

Tego mi potrzeba: ledwie noc nastanie,
Już ja do sadu pobiegłem ochoczy.
Nie iżbym wielce smakował w szatanie,
Ale mi pilno oglądać go w oczy.
Idę odważnie... lecz noc coś się sroży,
Coś mi z pomroki groziło widocznie,
Coś mi się zdało, że cały świat Boży
Patrzy, co dziecię bezrozumne pocznie?
Ale też była wyprawa nieskora,
I stygła w sercu żarliwa ochota.
Wrócę do domu, póki jeszcze pora,
Bo szatan może zaciągnąć do błota,
I każe mieszkać na głębinach wody.
Lecz nie zraziły strachy tajemnicze:
Po nad strumieniem igra księżyc młody
I w jego nurtach przegląda oblicze;
W odbiciu wody powisłe nad darnią
Czernieją drzewa w posępnej pomroce;
Ale szatanów, choć szukaj z latarnią,

Żaden nie piśnie, ani zachichocze.
Obszedłem strumień raz, drugi i trzeci,
Ale szatana jak niema, tak niema;
Patrzę, w gałęziach może okiem świeci,
Albo się w zielsku wybujałem trzyma?
Gdyby się ukrył z jakiegokolwiek strony,
Czyżbym po rogach nie poznał go właśnie?
Niemasz nikogo... odszedłem zgryziony,
Słuchając jeszcze, że może gdzie szasnie.
Gdym się tak pilnie przypatrywał czartu,
Cała noc Boża przeszła nadaremnie.
Lecz gdyby wtedy dla płochego żartu
Wróg, czy przyjaciel, zakrzyknął nademną,
Lub gdyby puszczyk, czy sowa obrzydła,
Którą spłoszyłem krokami mojemu,
Nad moją głową zaszumiała w skrzydła; —
Trupaby mego znaleźli na ziemi.
Tak przez gorącą ciekawość dziecinną
Próżne obawy we mnie się tłumiły.
Takich walk serce staczać nie powinno,
Bo nazbyt wiele wydzierają siły.
Tak zmarnowawszy cały wiek mój młody,
Czułem, jak we mnie natura się zmienia:
Już nie szukając zawad i przeszkody,
Szedłem spokojnie drogą nawyknienia.
Ta mię na wszystkie prowadziła strony,
I nieraz szedłem po bezdrożu dzikiem,
Aż niewolnikiem człowiek urodzony,
Znowu na starość został niewolnikiem.

III.

O matko Wołgo! teraz mi wypadło
Po tylu leciech powitać twe fale.
Jam się odmienił, a ty jak zwierciadło
Po dawniejszemu wyglądasz wspaniale,
Po dawniejszemu długa i szeroka.
Klasztor na wyspie przechował się jeszcze...
Łzy młodociane płyną mi do oka,
I w sercu czuję młodociane dreszcze...
Po dawniejszemu stary dzwon kołata,
Wszystko tak samo... a gdzie tamte lata?

Blisko południe... a słońce tak pała,
 Że stopą w piasku wytrwać niepodobna.
 Zdjęła rybitwów drzemka ocieżała,
 Na brzeg się skupia ich drużyna drobna.
 Polne koniki strzekocą na trawie,
 Przepiórka czasem wyszczebioce słowo,
 Ale tak cicho, jak gdyby w obawie,
 Że przerwą Wołgi dumkę południową.
 Bajdak z towarem pomalutku płynie,
 Tam młody flisak szczerze a po prostu
 Stroi zaloty ku pięknej dziewczynie,
 Uciekającą goni wzdłuż pomostu,
 I z całej siły pędzi za dziewczicą,
 I głośno krzyczy, poklaskując w dłonie:

— Poczekaj tylko!... czekaj swawolniczo!
 Otóż dogonię... dogonię... dogonię!
 Ot i dogonił... ujął postać drogą,
 Dźwięknął ognisty całusek nad wodą.
 Nie całowałem tak w życiu nikogo,
 Choć i ja miałem swoją przeszłość młodą.
 Miejskich piękności całunki pieszczone
 Nigdy tak duszy nie upoją błogo.
 Usta rumieńcem krasnym namaszczone
 I dźwięków takich wydobyć nie mogą!
 Wśród takich marzeń, czując życie nowe,
 Jam się zapomniał, uniesiony szaleń,
 Sen i znużenie obciążyły głowę,
 Wtem koło siebie jęki usłyszałem:
 Orszak bajdacznej czeladzi ponury
 Ciągnie, ku ziemi pochyliwszy głowę;
 Nogi ich grube opasują sznury,
 Zamiast obuwia sandały lipowe.
 Ponuro w uszach jęczały ich słowa,
 Gdy się do pracy naglili wzajemnie;
 Była to, zda się, pieśń pogrzebowa...
 Młode wspomnienia znów zagrały we mnie.

O Wołgo moja! moja ty kołysko!
 Jak ja cię kocham, jak myślami pieszczę!
 Zaledwie jutrzni zapłonie ognisko,
 Ja się ocykam, gdy wszyscy śpią jeszcze.

Ledwie bywało na błękitnej fali
Złotem i różą światelko zaświeci,
Już mię nad rzeką rodzinną zastali.
Pomagam ciągnąć rybakom ich sieci,
Lub z rybakami hulam na czółenku,
Lub na ostrowach z karabina palę.
Pnać się po krzakach, sił nie mając w rękę,
Nieraz na żółty piasek się powalę,
A podrzucając kamyki po wodzie,
Śpiewałem piosnkę, całą piersi siłą.
Rzucać tej strony ani mi się śniło:
Tutaj sądziłem że wiek mój ubieży
Na żółtym piasku, albo na czółenku.
Ale uciekłem od Wołgi wybrzeży,
Od biednych flisów nędzarskiego jęku.
Dawno go moje nie słyszały uszy,
Jakby wołania przeszłości dalekiej...
Och! raz, pamiętam! tak straszy, tak głuży,
Żem chciał go zbadać i szedłem wzdłuż rzeki.
Znużeni flisi w południowej chwili
Przynieśli kociel, by zgotować strawę;
Na stosie łomu ogień naniecili
I taką z sobą prowadzą rozprawę.
Jeden z nich mówi: Ej, doloż ty nasza!
Prędkoż my w Niższym staniem Nowogrodzie?
Daj Boże dobrnąć na dzień Eliasza,
A może zresztą i dopchniemy łodzie.
Drugi odpowie: Och, jak to niemiło,
Gdy w drodze rany rozjątrzać się zaczną!
Gdyby mi tylko ramię się zgoiło,
Jak niedźwiedź szlejkę ciągnąłbym bajdaczną!
A gdyby jutro umrzeć sobie ładnie,
To jeszcze lepiej byłoby dla człeka...

Tak mówiąc, na wznak na ziemi się kładnie.
A jam nie pojął, na co on narzeka.
Ale ów nędzarz, co jęczał daremnie,
Znekany pracą, złamany chorobą.
Już nie odstąpił swem widmem ode mnie:
Oto i teraz widzę go przed sobą.

Na nim świeciły ubogie łachmany,
Od wszystkich ludzi wyglądał inaczej,
Na twarzy widać ból niepokonany,
A w oczach skarga spokojnej rozpacz.

Późnym wieczorem do domu przychodzę,
Czapkę gdzieś w piasku zostawiwszy z głowy,
A kogom spotkał w domu, czy na drodze,
Pytam, co znaczą te flisów rozmowy?
Przez sen bredziłem ranniejse widziadła...
Niechaj cię Pan Bóg trzyma w swej opiece,
Zostań! — mówiła piastunka wybladła,
Lecz ja nazajutrz już byłem na rzece.
I Bóg wie wtedy, co się ze mną stało:
Rodzinnej rzeki nie poznałem zgoła,
Szedłem po piasku stopą ocieślała,
I moja wyspa nie była wesoła.
Nad brzeżne śpiewy znajomego ptaszka
Brzmia, jakby nuta ostra i fałszywa,
A ulubiona fal cichych igraszka
Muzyką wdzięczną już się nie odzywa.
I ciężki kamień zawalił mi łono,
I łzy do oczu lunęły nawałem,
I po raz pierwszy mą rzekę rodzoną
Rzeką boleści i smutku nazwałem.

Co ja marzyłem wpośród nocnej głuszy,
Com ja przysięgał w tajemniczej chwili,
Niechaj na wieki zamiera w mej duszy,
Bo jeszcze ludzie śmiechemby okryli.
Myśli dziecinne!... gdyście próżna mara,
Czemu was ludzie zapomnieć nie mogą?
Czemu wasz wyrzut, jakby zbrodnia stara,
Nad sercem naszym pastwi się tak srogo?

IV.

Pochmurny flisie, z pochyloną głową!
Jak niegdyś dzieckiem marzyłem cię we śnie,
Tak samo teraz widzę cię na nowo:
Zawsze mi śpiewasz jednostajną pieśnię,
Zawsześ zaprzężon do swej ciężkiej szlei,
Zawsze na twarzy jakaś bladość chora,

Zawsze ten samy uśmiech bez nadziei,
Zawsze... bez końca ta sama pokora.

Przez lat czterdzieści w pocie swego czoła
Snuł się nad Wołgą po piasków obszarze,
A umierając, sam nie wiedział zgoła,
Co swojej dziatwie w spuściźnie przekaże...
Ani twój ojciec, ni ty, nie myślicie,
Bajdacznej szlei gdy naciska pęto,
Czemby na świecie gorsze było życie,
Gdyby twych cierpień trochę ci ujęto?
Jako twój ojciec, tą samą koleją
Bez żadnej wieści ty zejdziesz ze świata,
I pamięć twoją złe wiatry zawieją,
Jako na piasku twój ślad się zamiata.
Dokąd ty dążysz, nieszczęsny człowieku,
Zakuty w jarzmo, jak więzień w kajdany?
Też same słowa powtarzając z wieku:
Raz!... dwa!... — posuwasz krok niezmordowany,
Jęcząc boleśnie: — Ej biada mi, biada!
A głowa twoja w smutny takt opada.

1860. Wilno.

C M E N T A R Z.

Z Nikitina.

Zgasły promienie jasnego dzionka,
Po sinem niebie księżyc się błąka,
Wiejski kościółek widać z pomroki,
A na cmentarzu spokój głęboki.

Żadnego gwaru nie słyhać z dali,
Żaden się ogień we wsi nie pali,
A matka ziemia do siebie garnie
Wszystkie tęsknoty, wszystkie męczarnie.

Snem wiekuistym śpią w ziemi starzy,
Dawna gromada wiejskich nędzarzy;

Śpi wasza dola, dziady, naddziady!
Pokój wam, kości sielskiej gromady!

Wiatr śmierci zawiał nad waszą głową
Ciszej, niż gasi świeczkę woskową;
A krzyż swój krwawy dzielniemi siły
Wyście donieśli aż do mogiły.

Pokój wam, pokój, stare niezgody!
Wieczna łzom pamięć! — wiek idzie młody,
Nową swobodą, nową nadzieją
Pola i lasy niech nam zawieją!

Płonie iskrami jutrzienka błada,
Już się w dziczynę głuchą przekrada,
Wesoło pieją na polnym łanie,
Słychać na stepie jej powitanie.

1860. Borejkowszczyzna.

PRZEKŁADY Z MAŁORUSKIEGO.

(Z SZEWCZENKI).

P E R E B E N D A.

Perebenda stary, ślepy,
Jego dobrze znają stepy,
Bo się dziad ten wszędzie włóczy
I przy kobzie pieśni mruczy.
Naród Boży słucha dziada
I za pieśni dzięki składa;
On im pieśnią wzmacnia siły,
Choć samemu świat niemiły.
Pod czeremchą lub kaliną
Dni i noce jego płyną,
Bo zła dola tak go trzyma,
Że i własnej chaty niema.
Choć nad starą dziada głową
Pożartował los surowo,
On nie zważa, siedzi, śpiewa:
Ej, nie szumcie w lesie, drzewa!

Gdy mu piosnka sercem miota,
Kiedy wspomni, że sierota,
To potęskni i znów śpiewa
Pod cienistym dachem drzewa.

Tak na świecie żył nasz stary,
A piosenek miał bez miary,
To o Czałym dumkę grzmoce,
To Turkawkę zaturkoce,
Wśród dziewczęcej pohulanki —
Śpiewa Hrycia lub Wiośnianki,
A młodzieży przy kwaterce
Szynkareczką zrywa serce,
A mężatkom śpiewać woli
O złej teści i topoli,
A na rynek kiedy zbacza,
Gra Łazarza i bogacza,
Lub z westchnieniem i goryczą
Nad kozacką płacze Siczą,
By wiedzieli ludzie młodzi,
Skąd upadek jej pochodzi.
Taki duch był w Perebendzie,
Pieśń i kobzę włóczył wszędzie,
A jak pieśnię przysposobi,
To co zechce z sercem robi,
Pożartuje, jak umyślnie,
Potem krwawą łzę wycisnie.

Przez szerokie polne łąny
Wieje wicher rozhulany,
Kobzarz siedzi na kurhanie,
I gra piosnkę nieprzerwanie.
Step, jak dojrzy ludzkie oko,
Legł błękitno a szeroko,
A mogiła przy mogile,
A w mogiłach zmarłych tyle!
Wicher głąska starowinę
W siwe wąsy i czuprynę,
To do ziemi aż przypada,
By posłuchać pieśni dziada:

Jak nuta grzmi radością, lub czarną rozpaczą,
Jak mu się serce śmieje, ślepe oczy płaczą...
Posłuchał i poleciał...

Bo z pieśnią proroka
Dziad ukrył się na stepie od ludzkiego oka,
Aby wiatr dumkę rozwał na przestrzeń stepową,
Aby nikt jej nie słyszał, bo to Boże słowo.
Już to mówi modlitwę Bogu i naturze,
Już to dumka w kraj świata żegluje na chmurze,
Albo, jak orzeł, piersią uderza w pierś słońca
I silnemi skrzydłami w błękit niebios trąca.
I zapyta się słońca: jakie zbiegło kraje?
Gdzie swoją noc przepędza, a gdzie ze snu wstaje?
Zapyta fali morskiej, o czem ona gwarzy?
Zapyta cichej góry, o czem dumki marzy?
Pogada i znów leci w nadobłoczne kraje,
Bo ziemia, choć szeroka, przytułku nie daje.
Och! bo ten, co przeczuje, ten, co wszystko zbada,
Gdzie się słońce niebieskie na nocleg układa,
Co gwarzy fala morska z towarzyszek swemi, —
Ten już nigdzie przytułku nie znajdzie na ziemi.
On, jak słońce, sam jeden krąży na swej osi;
Ludzie niby go znają, bo go ziemia nosi,
Lecz gdyby się dowiedział sąsiad od sąsiada,
Że on śpi na mogile, że z falami gada,
Wyśmianoby dar Boży, co mu zaległ łono,
Głupcemby go nazwano i precz odpędzono.

Dobrze czynisz, ojczyźnie,
Że od świata skrywasz dziwy,
Że natchnione twoje chwile
Odprawujesz na mogile.

Ej, gołąbku! czyń swe dzieło,
Póki-ć serce nie zasnęło,
Czyń swe dzieło w mogił ciszy,
Niech go człowiek nie posłysz;

By nie śmiała się gromada,
Potakiwać jej wypada:
Skacz, jak kaza, pan zapłaci,
Wszak panowie są bogaci...

Tak na świecie żył nasz stary,
A piosenek miał bez miary;
Pożartuje, jak umyślnie,
Potem krwawą łzę wycisnie.

D U M K A.

Rzeka ciągle, choć powoli,
Wpada w sine morze;
Szuka kozak swojej doli,
A znaleźć nie może.
Szedł, gdzie wicher go powionie,
Gdzie poniosą oczy,
Rozgrało się serce w łonie,
Szeptał duch proroczy:

Poco gonisz się za marą,
Gdzie cię oczy wiodą?
Rzucasz ojca, matkę starą
I dziewczynę młodą.
W cudzej stronie — cudzy wszędzie
Wiarą i językiem;
Tam zapłakać z kim nie będzie
I pogwarzyć z nikim. —

Fale morskie! płyńcie w pole
I brzegami trzęście:
Kozak marzył spotkać dołę,
A spotkał nieszczęście.
Już zórawie powracały,
W domu wytchnąć mogą;
Kozak, płacząc, poszedł dalej
Swą ciernistą drogą.

D U M K A.

Poco u mnie czarne brewki?
Poco oczy gdyby żar?
Poco w sercu grają śpiewki?
Poco w głowie tyle mar?
Moje lata, moje młode
Giną marnie z dnia do dnia;
A oczyma gdzie powiodę,
Zawsze z oczu lunie iza.
Dusza boli, nudzę światem,
Jak zamknięty w klatce ptak.
Poco ludzie zwią mnie kwiatem,
Dobrej doli gdy mi brak?
Świat obmierzle w oczach stoi,
Niema nawet pięknych snów;
Ludzie swoi, jak nie swoi,
By przemówić kilka słów.
Nikt nie spyta w całym domu,
Czemu oko w ciągłej łzie?
Rozpowiedzieć niema komu,
Czego biedne serce chce.
Jak gołębek ciągle grucha,
Ciągle grucha w noc i w dzień;
Ale jęku nikt nie słucha,
Nie uważa serca drgnień.
Nieciekawe obcych grono,
Bo i na cóż obcym znać?
Cierp, sieroto! bo-ć sądzono,
Młode lata marnie trać.
Płaczcie, serce — płaczcie, oczy,
Nim zamkniecie się do snu.
Niech się w stepie jęk roztoczy,
Niech przyleci wicher tu,
Niech zanieśie te napiewy,
Aż gdzie morze brzegi rwie,
Niech zdradliwy czarnobrewy
Ma po h y b e l w mojej łzie.

KATARZYNA.

I.

Ej! kochajcie, czarnobrewki,
Ale nie Moskala:
Moskal tylko serca zrani,
Dusze porozżala.
Swem kochaniem, czy udaniem,
Pożartuje srogo,
Pójdzie w swoją Moskiewszczyznę,
A ty giń, niebogo!
Nicby jeszcze, gdyby sama
Skamieniała głazem,
A to nieraz stara matka
Musi ginać razem.
Nieraz, nieraz serce pęka,
Choć się pieśni nuca;
Ludzie serca nie spytają,
A kamieniem rzuca.
Więc kochajcie, czarnobrewki,
Tylko nie Moskala:
Moskal tylko serce zrani,
Potem się przechwala.
Katarzyna ojca, matki
Głosu nie rozumie,
A Moskala pokochała,
Jak tam serce umie.
I do sadu z młodym chodzi,
I na pierś się garnie,
Póki swojej biednej doli
Nie zgubiła marnie.
Ot, bywało, matka woła:
Córko! na wieczerzę!
Ona syta ze swym lubym,
Ani sen jej bierze.
I ta miłość jawna była
W oczach całej wioski,
I poczęli już źli ludzie
Puszczać złe pogłoski.

A niech sobie źli tam ludzie
Co ich wola plotą:
Ona kocha — serce pełne,
To i mniejsza o to!
Zabębnili, zatrąbili
W wojskowej komendzie:
Moskał poszedł w Turecczyznę, —
Cóż z dziewczyną będzie?
A choć serce się pokryło
Jakby kirem grubym,
Miło czasem i zaśpiewać,
I tęsknić po lubym.
On się zaklął, zaprzysięgał
Swojej Katarzynie,
Że powróci, jeśli w bitwie
Kula go ominie.
On tak kocha! onby nie chciał
Zwodzić mię w obludzie;
A tymczasem, co ich wola,
Niech gadają ludzie.
Katarzyna łązy ociera,
W sercu jej swobodniej,
Choć dziewczęta na ulicy
Coś tam stronią od niej.
Katarzyna myśli sobie:
Bóg wie, co im chce się?
O północy wiadra bierze
I wody przyniesie.
Niech wrogowie nie zobaczą,
Wszak blisko krynica.
Stanie sobie pod kaliną,
I zaśpiewa H r y c a.
Aż kalina się rozplącze,
Kiedy ją wysłucha.
Ona wraca, niewidziana
Od żywego ducha.
Katarzyna błogo marzy,
Do snu się układłszy,
Lub ubrana w białą odzież
Przez okienko patrzy.

Minął miesiąc, minął drugi,
Minęło półrocze,
I krwią czarną okipiało
Jej serce ochocze.
Przyszła boleść... ciężka boleść,
I po krótkiej chwili
Takie piękne, jak aniołek,
Już dzieciątko kwili.
Już sąsiadka jedna, druga,
I matce docina:
Wy za piecem hodujecie
Moskiewskiego syna.

.

Katarzyno! Katarzyno!
Nieba cię skarały:
Co ty biedna poczniesz w świecie
I sierotka mały!
Ty bez męża... on bez ojca,
Co wy uczynicie?
Ojciec... matka... cudzy ludzie,
Ej! niedobre życie!

Wyzdrowiała Katarzyna,
Przejrzała po świecie;
Patrzy w okno na ulicę,
I kołysze dziecię.
Wyjdzie w ogród, by popłakać,
Do ziemi przypadłszy;
A zły człowiek przez częstokół
Z urąganiem patrzy.

Tam w ogródku zielenieją
Czereśnie i wiśnie;
Wyszła biedna i niemowlę
Do swych piersi ciśnie.
A w ogródku już nie śpiewa
Piosenek swobody,
Jako wtenczas, gdy przychodził
Jej kochanek młody.

Już nie śpiewa w cieniu wiśni
I ciemnej kaliny,
A tymczasem źli wrogowie
Szarpia cześć dziewczyny.
Co ma począć nieszczęśliwa,
Że jej serce rania?
Gdyby miły wrócił z drogi,
Ująłby się za nią.

On daleko za górami
Gdzieś się w boju trudzi,
Ani też jej nie zobaczy,
Ni śmiechu złych ludzi.
Może leży za Dunajem
Między zabitemi,
Albo może kocha inną
Na moskiewskiej ziemi.

Nie... jej luby nie zabity
Na żadnej wojence...
Gdzie on znajdzie takie oczy,
Takie brwi dziewczęce?
Choćby schodził na kraj świata,
Opłynął kraj morza,
Jedna tylko jest na świecie
Katarzyna hoża.

Dała matka czarne brewki
I czarne oczęta;
Lecz przy brewkach — jasnej doli
Dać jej nie pamięta.
A bez doli, piękne lice,
Jak piękny kwiat bywa:
Przyjdzie słońce i zapali,
Wicher poobrywa.

Myjże łzami białe lice
I jęcz pokryjomu,
Bo Moskale inną drogą
Wrócili do domu!

II.

Siedzi ojciec w końcu stołu,
Na rękach pochyły,
Ciężko duma, bo staremu
Boży świat nie miły.
A opodal siedzi matka
Na dębowej skrzyni,
Cichym głosem gromi córkę
I wyrzuty czyni:
Kiedyż przyjdzie, moja córko,
Wesele do chaty?
Gdzie są drużki, starostowie?
Gdzie weselne swaty?
Idź na Moskwę, tam cię czeka
Godowa gromadka;
Ale nie mów dobrym ludziom,
Żem ja twoja matka.
O! przekłeta ta godzina,
Co cię na świat zsyła!
Czemum ciebie z jasnym wschodem
W rzece nie topiła?
Nie przyszłoby na niesławę
I na hańbę w świecie...
Moja córko! moja córko!
Mój różany kwiecie!
Hodowałam, jak ptaszykę,
Jak krasną jagodę;
Na cóż teraz, na cóż przyszedł
Twoje lata młode?
Idź na Moskwę szukać teści,
Idź sobie za morze!
Nie słuchałaś mojej rady,
Jej posłuchasz może.
Idź, przywitaj, — oni ciebie
Przyjmą najgoręcej;
Idź na Moskwę, bądź szczęśliwa,
Lecz nie wracaj więcej.
Ruszaj sobie w cudzą stronę,
Na kraj świata Boży...
Lecz któż tutaj moją głowę
Do trumny położy?

Kto zapłaczę łzami dziecka
Nad matką rodzoną?
Kto posadzi na mogile
Kalinę czerwoną?
Kto choć jeden pacierz zmówi
Za mą grzeszną duszę?...
Och!... idź, córko nieszczęśliwa;
Ja wyrzec się muszę!
Kończy mówić, łzy ociera,
Coraz bardziej błada,
Błogosławi... i na skrzynię
Bezprzytomnie pada.
No — powiada ojciec stary, —
Gotuj się do drogi!
Katarzyna, rycząc, padła
Pod ojcowskie nogi:
Och, przebaczcie nierozumnej
Młode jej swawole!
Przebacz, ojcze, mój gołąbku,
Mój jasny sokole!
Niech twa dola dobrych ludzi
Do litości wzruszy!
Módl się, córko, i idź z Bogiem,
Będzie lżej na duszy!
Córka wstała, pokłon dała,
Wyszła milcząc z chaty;
Już sierotą stara matka
I ojciec brodaty.
Wyszła z chaty i do Boga
Modlitwę posyła,
I rodzinnej szczyptę ziemi
W szkaplerzu zaszyła.
Och, nie wrócę... och, nie wrócę
Ani tutaj blisko!
W cudzej stronie cudzy ludzie
Dadzą przytulisko.
Swojej ziemi choć garsteczkę
Ja zabiorę rada:
Niech o mojej gorzkiej doli
Ludziom rozpowiada.

Nie mów, synu, gdzie się zwrócę,
Szanuj me ukrycie...
Ot kto powie! — sad wiśniowy,
Żem ci dała życie.
Ja ucieknę, wpadnę w rzekę
Zalać piersi strute;
Ty sieroctwem za me grzechy
Odbędziesz pokutę!
Idzie wioską nieszczęśliwa
Szukać doli w świecie;
Na jej głowie biała chusta,
A na ręku dziecię.
Wyszła z wioski — iść potrzeba
O chlebie żebraczym...
Obróciła nazad oczy
I ryknęła płaczem.
Wyszła w pole — i stanęła,
Jak samotne drzewa,
I jak rosa przed jutrzeńką,
Łzami się zalewa.
A dziecina jak aniołek,
Nie zna swej niedoli,
Jedną rączką piersi szuka,
A drugą swawoli;
Słońce zaszło za dąbrowę,
Niebo pokraśniało, —
Ona z łez otarła oczy
I wędruje śmiało.
A na wiosce, jak na świecie,
Bajali co chcieli:
Ale ojciec, ale matka
Tych słów nie słyszeli.
Tak na świecie, na tym świecie
Bywa zawsze prawie:
Ludzie ludzi rzną i topią,
I gubią na sławie.
Za co? za co, miły Boże,
Te brzydkie obmowy?
Świat szeroki — ale niema
Gdzie przytulić głowy.

Jeden w świecie ma obszary
Szerokie i szumne;
Drugi miejsca tylko tyle,
Gdzie zakopać trumnę.
Gdzież ci ludzie, co to serce
Dla nich się odsłania,
Żyćby chciało, bić ogniście
I topnieć z kochania?
Jest na świecie wola,
Ale któż ją zbada?
Jest na świecie wola,
Lecz któż ją posiada?
Są na świecie ludzie,
Którym świat się dziwi,
Syci srebra, złota,
Ale nieszczęśliwi.
Żupan ich podszyty
Ciernistemi igły,
Szarpie ból ukryty,
Ale łyż zastygły,
Bierzcie srebro, złoto,
I bądźcie bogacze;
Dla mnie żal z tęsknotą,
Ja tylko zapłacę.
Zatopię niedolę
Moją łą niebogą,
Zadepcę niewolę
Moją bosą nogą!
Bogatszym od króla,
Próżność mię nie łechce,
Kiedy serce hula,
Jako samo zechce.

III.

Krzyczy sowa nad lasami,
Iskrzy niebo gwiazdeczkami,
A gdzie droga, a gdzie niwa,
Konik polny pobrząkiwa,
A po chatach dobrzy ludzie
Spoczywają po swym trudzie.
Czy kto płaczem piersi znużył,
Czy kto szczęścia swego użył,

Dla każdego jednakowa
 Ciemna nocka wszystko schowa.
 Gdzież ukryła Katarzynę?
 Czy w lesistą gdzie gęstwinę?
 Czy ją w chatę ludzie zową?
 Czy pod kopą śpi zbożową?
 Czy na kłodę gdzieś przypadłszy,
 Wilczych oczu pilnie patrzy?
 Oczki czarne z ognia siłą!
 Bogdaj nigdy was nie było,
 Jeśli przez was — dobre nieba!
 Tyle klęski zażyć trzeba.
 A co potem jeszcze czeka?
 Będzie bieda niedaleka.
 Trzeba przebyć żółte piaski,
 Ludzkie łaski i niełaski,
 Trzeba przebyć białe śniegi,
 Na pustyni mieć noclegi,
 I to jeszcze zgadnąć sztuka,
 Czy się znajdzie kogo szuka?
 Czy on biedną pozna przecię?
 Czy przygarnie swoje dziecię?
 Przy nimby się zapomniały
 Piaski, śniegi i trud cały:
 Nicch matczynem sercem wita,
 Po bratersku zdrowia spyta!
 Zobaczymy... daj to, Boże!
 Ja tymczasem kobzę złożę
 I rozpytam się po przedzie,
 Gdzie na Moskwę droga wiedzie?

 Tam za Dnieprem, za Kijowem,
 Tam za borem, za sosnowym,
 Tam drużyna szła czumacza,
 Wyśpiewując pieśń P u h a c z a.
 Tamże młoda szła niewiasta,
 Z kijowskiego pewnie miasta,
 Gdzie do cerkwi i Pieczary
 Szła odprawiać swe ofiary.
 Lecz ma postać niewesołą,
 Pochyliła smutnie czoło,

A jej odzież to łachmana,
A przez plecy torba lniana,
W jednej ręce kij pielgrzyma,
A na drugiej dziecię trzyma,
Gdy się zeszła z karawaną,
Kryje dziecię w szmatkę lnianą!
Dobrzy ludzie, ej dla Boga!
W Moskiewszczyznę gdzie tu droga?
W Moskiewszczyznę?... tam do kąt
Ej, to jeszcze kawał świata!
W samą Moskwę... wskażcie drogę
I obdarzcie czem niebogę!
Miedzianego dali szaha.
Brać, czy nie brać? dłoń się waha;
Snadź żebraczka jeszcze dzika
Do jałmużny nie przywyka.
Bo i na cóż grosz niebodze?
Ale dziecię karmić w drodze,
Trzeba kupić mu kołaczy,
Trzeba przenieść wstyd żebraczy.
Więc dziękuje za ich dary,
Spieszy na noc na Browary,
A w Browarach, broniąc głodu,
Kupi dziecku kołacz z miodu.
Tak wędrując dni, tygodni,
Pyta drogi u przechodni;
A powolny chód jej pieszy, —
Gdy do wioski nie dospiesz, —
Często, gęsto pod jedliną
W polu nocleg ma z dzieciną.

Ot do czego czarne oczy!
Aby płakać na uhoczy.
Ej! dziewczęta niebożęta,
Niechaj każda to pamięta,
A za przykład zlej podróży
Katarzyna niech wam służy.
Nie pytajcie, czemu tłuszcza
I do chaty jej nie wpuszcza,
A nie skarżcie wyrzutami,
Bo nie wiedzą ludzie sami:

Oni tylko są szafarze,
Kiedy Pan Bóg kogo karze.
Bo to człowiek, jak wierzbina,
Gdzie wiatr wieje, tam się zgina;
A sieroce złe koleje,
Słońce świeci, lecz nie grzeje.
Gdyby mogli ludzie mili,
Toby słońce zasłonili,
Żeby promień jego złoty
Nie osuszał łez sieroty.
Jakaż winą tej niebogi?
Za co dla niej świat tak srogi?
Nienawiścią jakąś pała,
Chce koniecznie, by płakała.
Nie płacz... nie płacz, Katarzyno!
Niech przy ludziach łzy nie płyną;
A kiedy się płakać zdarzy,
Niech nie widzą twojej twarzy.
By ci lice nie zmarniało,
Zmywaj łzami twarz twą białą;
Ale idź, gdzie puszcza skryta,
Póki słońce nie wyświta:
To i ludzie nie zobaczą,
Nie poszydzą nad rozpaczą;
A nim oczko się wyszłocho,
To odpocznie serce trocha.

Przenocuje przy jedlinie,
Trochę piersi da dziecinie,
I jak tylko siły wzmoga,
W kraj Moskiewski idzie drogą.
Idzie smutna — a wtem baczy,
Że z daleka coś majaczy.
Boże! wojska idą rotą!...
Zamarł w piersiach duch sieroty...
Serce kipi... rwie się z łona!
Bieży naprzód, jak szalona,
I żołnierzom prawi dziwy:
— Gdzie mój Janko czarnobrewy?
Czy on tutaj służy z wami?
Czy nie zginął pod Turkami?

Powiadają jej Moskale:

— My nie znamy Janka wcale.
I zwyczajną drogą swoją
Gorzkie żarty z biednej stroją.
Zuchy nasze!... oto sztuka!
Kogoż żołnierz nie oszuka?
Której dziewczki, w jakim siole,
Nie wywiedzie żołnierz w pole?
Katarzyna z bolem rzecze:
— U was serca nie człowieczel!...
Cyt, mój synu! pójdziem dalej,
Będziem jeszcze go pytali,
Aż w moskiewskie pójdziem bramy,
Może jeszcze go spotkamy.
Oddam ciebie, dziecko lube,
Sama pójdę na zagubę.

Zamieć w polu kręci, miecie,
Nic nie widać w Bożym świecie,
Katarzyna stojąc w polu,
Nie folgując serca bolu.
Wzmógł się wicher tajemniczy,
I gdzieniegdzie tylko ryczy.
Katarzynie dusza pała,
Lecz już wszystkie łzy wylała;
I na łzami złane dziecko,
Jak na złane rosą kwiecie,
Obróciła smutne oczy,
A gadzina serce toczy.

Naokoło cisz cmentarna,
A dokoła puszcza czarna,
A przy drodze wedle boru
Majaczeje dach futoru.
— Chodźmy, synu, zmierzch na dworze,
Do tej chaty wpuszczą może,
A nie wpuszczą, Pan Bóg z niemi,
Na wilgotnej zaśniem ziemi.
Gdzież ty będziesz spał, Iwanie,
Gdy na świecie mię nie stanie?
Po igraszkach, po zabawie,
Z psem przyleżesz gdzieś na trawie!

Z psami jednak lepsza rada:
 Choć pokąsa, nie ogada,
 Nie narazi na obmowę
 Nieszczęśliwą twoją głowę.

.

IV.

.

Wicher jęczy w różne tony,
 Łamie drzewa w lesie,
 Jak po morzu sine fale,
 Śnieg po polu niesie.
 Karbowniczy wyszedł z chaty,
 Obejść swoje knieje:
 — Ale gdzie tam!... ani rady,
 Wicher gdzieś zawieje.
 Niechaj puszcze lichy bierze,
 Wróć do komina.
 Ale cóż tam? ćma żołnierzy
 Zbliżać się pocyna.
 Co za chmara!... co za chmara!
 A jak broń ich błyska!
 Niby pilno im doprawdy
 Przysiąść do ogniska.
 Niczyporze! — rzekł do syna —
 Patrz, Moskale jada,
 A jak śnieg ich poubierał...
 Jak łabędzi stado!...
 U nich w chacie Katarzyna
 Nie śpi nieszczęśliwa,
 Słyszy całą ich rozmowę
 I szybko się zrywa.
 — Co! Moskale? gdzie Moskale?
 Przy okienku stanie,
 Jak szalona, bezprzytomna,
 Leci na spotkanie.
 Snadź Moskale jej we znaki
 Dali się nielada.

Bo i przez sen tylko wzdycha,
Tylko o nich gada.
I przez chwasty, przez zasypy
Zadyszana leci,
I stanęła na gościńcu
Wśród wichrów zamieci.
A żołnierze konno, rzędem,
Jadą według hasła:
Katarzyna ich ujrzała
I w ręce zaklasła.
A po przedzie starszy jedzie
Okryty szarugą:
— Iwan!... Iwan!... och, mój luby!
Gdzieś bawił tak długo!?

I do strzemion mu przypada
Szalona dziewczyna.
Iwan spojrzał — i konika
Ostrogami spina.
— Czy uciekasz?... cóż to znaczy,
Iwanie jedyny!
Czyż ci z głowy pamięć wyszła
Swojej Katarzyny!
Spojrzyj tylko... to ja... to ja,
Twoja ulubiona;
Poco gniewne marszczysz czoło
I targasz strzemiona?
On udaje, że nie zważa,
I chce pędzić dalej, —
I Marsz na przód! groźnym głosem
Mówi do Moskali.
— Ej, Iwanie! ej, sokole!
Nie opuszczę ciebie!
Jestem twoja Katarzyna,
Tak jak Bóg na niebie!
— Daj mi pokój, szalenico,
Hej, weźcie ją z drogi!
Jeszcze gniewniej zmarszczył czoło
I szarpnął ostrogi.
— Co Iwanie!... ty się rzucasz?
Węzeł się rozprzęga?

A gdzież twoje dobre słowo?
Gdzie twoja przysięga?
— Precz mi z drogi! Hej, żołnierze,
Zwleczcie ją do rowu!
Katarzyna, za strzemiona
Chwyciła go znowu;
— Ze mną czyn, jak twoja łaska,
Ja zniosę męczarnie;
Ale dziecię!... nasze dziecię...
Czyż zaginie marnie?
Nie gub, Janku, nas oboje,
Tak być nie powinno!
Ja ci będę najemnicą,
Kochaj sobie inną.
Kochaj sobie choć świat cały,
Niech się co chce stanie,
Ja zapomnę dawne lata
I nasze kochanie.
Tylko przykryj moją sławę
Imieniem twej żony:
Bo syn będzie nieszczęśliwy,
Świat Boży zgorszony.
Nie porzucisz syna, luby,
Nie porzucisz przecie...
Pozwól... ja ci go przyniosę...
Co za piękne dziecię!
I od kolan się odczepia,
I do chaty bieży,
Niesie dziecię, otulone
W podartej odzieży.
— Patrz, Iwanie!... patrz na syna!...
Iwan już z daleka!...
— Czyż doprawdy swej dzieciny
Ojciec się wyrzeka?
Poczekajcie... poczekajcie,
Sokoły-żołnierze!
Niech z was który mego syna
Do siebie zabierze!
Czy oddajcie go starszyźnie
Waszego szeregu,

Bo jak ojciec bezlitośny,
Rzucę go na śniegu!
I z rozpaczny wściekłym krzykiem
Przeklina Iwana:
Grzechem, synu twa godzina,
Grzechem była dana.
Rośnij, rośnij na śmiech ludzki,
Sierocino mała!
Zostań tutaj szukać ojca:
Jam długo szukała!

I przy drodze dziecię kładzie,
Sama w las ucieka,
A Moskali już za górą
Nie widać z daleka.
A niemowlę dogorywa,
W niebogłosy krzyczy...
Szczęściem, krzyki ze swej chaty
Posłyszał leśniczy.

Katarzyna biega, wyje,
Klnie swego sokoła,
I wybiegłszy na pagórek,
Po imieniu woła:
— Wróć się, wróć się, drogi Janku,,
Tak powinnoś każe!
Ale tylko leśne echo
Odzywa się w jarze.
Obląkana bieży jarem,
Łapać echo może,
I stanęła bez pamięci
Przy wielkiem jeziorze:
— Przyjmij, Boże, moją duszę, —
Ty, wodo, me ciało!
I na wodzie pod krą lodu
Coś zapluchotało.
Ot i kara, że nie słucha
Matczynej porady...
A wiatr dmuchnął po jeziorze
I zagładził ślady.
Mały wichur, co rwie dęby
I sośniny chyli;

Lżejsza boleść chować matkę,
W jej starości chwili;
Nie sieroty małe dzieci,
Co pogrzebły nianię:
Na mogiłach dobra pamięć,
Jeszcze pozostanie.
Lecz cóż temu pozostało
Do życia ostatka,
Kogo ojciec ani widział,
Wyrzekła się matka?
Ani chaty, ani rodu,
Ani dobrej sławy;
Nikt do niego nie zagada,
Nie dzieli zabawy.
Szłochy, płacze całe życie,
Żal się Panie Boże!
Na co jemu twarz udatna
I spojrzenia hoże?
Aby ludzie powiedzieli,
Patrzac w jego lice:
— Lepiejby go od kolebki
Pogrzebli rodzice!

V.

Do Kijowa szedł ubogi,
Na spoczynek siadł u drogi;
A prowodyr z drugiej strony,
Torebkami oczepiony,
Na słoneczku małe chłopię
W żółtym piasku dołki kopie.
Stary kobzarz pieśnię pieje
O Jezusie z Galileje;
A kto idzie, ten nie zbacza,
Ten da grosza, ten kołacza,
A niewiasty kromkę sera
Dla młodego prowodyra.
Rozważają chłopca losy:
Chłopak piękny, nagi, boży,
Wziął po matce wzrok sokoli,
Ale nie wziął dobrej doli.
Z szumem pańska grzmi kolaska,
A woźnica z bicza trzaska,

A w kolasce pan i pani,
A na drodze pył tumani.
Przy żebraku niespodzianie
Pozłocisty powóz stanie.
Dziecię bieży do kolaski,
Grosz dostało z pańskiej łaski.
Pan popatrział na Iwanka...
Jakby jakaś niespodzianka,
Jakby coś mu myśli mroczy,
I odwraca w strony oczy.
Piękna pani wzrok wyteża
Na Iwanka, to na męża.
Och! zły ojciec poznał syna,
Z oczu matkę przypomina;
Ale milczy, rusza głową.
Pani spyta: Jak cię zową?
Zwą mię Jankiem — Ładnyś mały!
I rumaki poleciały,
Piękny powóz w żwir się kopie
I kurzawą przykrył chłopię.
I włóczęgi torby biorą,
Przeżegnali się z pokorą,
I kijowskim bitym szlakiem
Kobzarz powlókł się z chłopakiem.

NAJEMNICA.

PROLOG.

Chmurny ranek był w niedzielę:
Ponad polem mgła się ściele
Na mogile wpośród pola
Coś się chysta, jak topola.
To niewiasty postać blada
Coś do łona ciśnie rada,
Coś z rannemi mgłami gada.

Mgły wy gęste, mgły jutrzniane,
W srebrnych iskrach rozsypań!
Czemużeście mię życzliwie
Nie pogrzebły na tej niwie?

Czemu, widząc los nieczuły,
Biednych piersi nie zatrąły?
O! pogrzebcie mię w mogile!
O nie! .. jeszcze... jeszcze chwilę...
Tylko skryjcie mię głęboko,
Gdzie nie dojrzy ludzkie oko.
Jam nie jedna na tym świecie,
Ojca, matkę mamże przecie,
Mam i braci... jest rodzina,
Mam pieśczoćkę... och! mam syna;
Ale jego główkę młodą
Nie polano chrzestną wodą.
O mój synu!... o nadziejo!
Niech ci główki nie poleją:
Ja bez chrztu zostawić wolę,
Niż cię ochrzcić na niedolę.
Cudzy ochrzczę cię kumowie,
Ale żaden się nie dowie,
Kto ty jesteś. . jak ci miano?
Mnie bogatą nazywano...
Nie przeklinaj mię, dzieciño!
Moje modły w Niebo płyną.
Wysłuchają modłów w Niebie
I otoczą szczęściem ciebie.

I rwąc piersi w takie słowa,
Za najgęstszą mgłę się chowa,
I zachodzi się boleśnie.
I o wdowie śpiewa pieśnię:
Jak tam wdowa nad Dunajem,
Staroświeckim obyczajem,
Żwir na oczy synów sypie
I zawodzi pieśń na stypie:
Och! tam w polu mogiła,
Och! tam wdowa chodziła!
Zamiast polną rwać rutę,
Rwała zielska zatrute.
Nie skutkowały ziela,
Bóg dwóch synów udziela.
W kitajkę je obwiła
I za Dunaj posyła.

— Och, Dunaju! ty rzeko!
Nieś me dzieci daleko.
Niech pobawią się mali
Pięknem cackiem twej fali.
A ty, piasku i trawko,
Bądźcie dla nich zabawką.
Piasek bawi... pobawi...
I kołyskę im sprawi;
Nad kołyską — opona
Będzie trawa zielona.

I.

Przy jeziorze, na futorze,
Mieszkał sobie dziad z babulą:
W każdym miejscu w każdej porze,
Jakby dziatki, tak się czulą;
Jednym śladem i przykładem,
Dziadek z babką, babka z dziadem.

Od dziecinnej razem chwili
Paśli owce na ugorze,
A potem się poženili,
Futor, stawek, młyn nabyli;
A w futorze, przy jeziorze,
Zasadzili ogród różą
I pasiekę mieli dużą.

Wszystko dobrze... tylko dziątek
Na pociechę im nie dano.
Któż przytuli na ostatek
Głowę, wiekiem skołataną?
Kto zapłacze? kto pochowa?
Kto rodziców spełni słowa?
Nie masz, nie masz na tym świecie,
Jak rodzone własne dziecię!
Ale gorzej w gmachu świetnym,
Jak sierota żyć bezdzielnym,
I zebrane mienie w trudzie
Między obce oddać ludzie,
Co za życia gonią za niem
I zmarnują z urąganiem.

II.

Dziadek i babka jednej niedzieli
Na niskiej przyzbie sobie siedzieli,
Ubrani biało, aż patrzeć miło;
A na niebiosach słońko świeciło,
Ani chmureczki, ani wietrzyka,
Rajska pogoda duszę przenika.
Bolesne dumki i smutek chory
Gdzieś się ukryły, jak zwierz do nory.

W tak pięknem życiu, w tak cudnym czasie,
Czegoby starzy tęsknili, zda się?
Czy dawne lichy, czy myśl o śmierci
Jak gdyby robak po piersiach wierci?
Myśl jakaś tęskna, jakaś niemila,
Jakaś wczorajsza rana odżyła.
Bóg raczy wiedzieć, co im nie płuży?
Może o wiecznej marzą podróży;
A do podróży na ten szlak Boży
Któż im w karawan konie założy?
— Nastko-gołąbko! — powiada stary —
Kto nas po śmierci włoży na mary?
— Ojczy serdeczny — babka odpowie —
To mi się dawno snuło po głowie,
I dawno sobie daję pytanie:
Komu chudoba nasza zostanie?

Cyt! ale słuchaj... słyszę w tej chwili,
Coś za wrotami. jak dziecko, kwili.
Pójdziem zobaczyć, co to za sztuka?
Bo coś niedarmo serce mi puka.

Więc kiedy starców ciekawość miota,
Wsparci na kijach spieszą pod wrota,
Spieszają pod wrota, i pod przełazem,
Milcząc, oboje stanęli razem.
Bo w lichą płachtę i w starą switę
Leży pod płotem dziecię spowite; —
Snać tylko matce szmaty dziurawe
Starczyło dziecku dać na wyprawę.
Uradowani starcowie szczerze,
Kiwali głową, mówiąc pacierze.

Drobna dziecina, lekko ściśnięta,
Jeszcze wyciąga ku nim rączęta,
A popłakawszy, po krótkiej chwili,
Już tylko niemem kwileniem kwili.

— A widzisz Nasto! dusza mówiła,
Że Bóg nam z Nieba pociechę zsyła.
Bierzże ją prędzej... zimno na dworze,
W miękkie pieluchy owiń niebożę,
Owiń w pieluchy, zanieś do chaty,
A ja... jak niegdyś dawnemi laty,
Skoczę na konia, aż wiatr zaświszcze,
Poprosić kumów na Horodyszcze.

Och! dziwno jakoś na świecie bywa:
Jeden na syna przekleństw przyzywa,
Wypędza z chaty, zębami zgrzyta;
Drugi, gdy w chatę syn mu zawita,
To krwawym potem, w kośbę czy żniwa,
Woskową świeczkę zapracowywa,
By ją z modlitwą nieść do ołtarza,
Że Bóg go drogim skarbem obdarza.
Zapala świeczkę, łączy rzewne leje,
Za swoje szczęście, za swe nadzieje.
Cieszyć się Bóg wie, czy było poco,
Ale bez dziatwy — jakoś sieroco.

III.

W Horodyszcze leciał stary,
Zebrał kumów aż trzy pary,
I pod wieczór chrzestną wodą
Książdz dziecinę polał młodą.
Dano dziecku imię Marka,
A serdeczna dziadów parka,
Na wzrost jego patrząc krzepki,
Złotej chciałaby kolebki.
Już dla Marka, dla pieśczozy,
Już kolebki mało złotej;
Stary dziadek z babką chorą
Już mu cacek nie dobiorą,
I po drugiej, trzeciej wiośnie,
Wypieszczony Marko rośnie,

I wyrasta na młodziana,
Jak jagódka, jak rumiana...
Wtem jednego w polu żniwa
Nowa gościa im przybywa:
Czarnobrewka — dziewczę hoże,
Przyszła w najmy żąć im zboże.

— A cóż, Nasto? — Cóż, Trochimie?
Trzeba żniejki, niech się przyjmie.
Z starej ręki babki, dziada
Sierp żniwiarski już wypada,
A i dziecku będzie słodziej,
Bo mu niańka nie zaszkodzi.

— Tak, tak, Nasto! — Trochim powie: —
Już nie służy wiek i zdrowie,
A pod starość wielka zmiana,
Zdarłem nogi po kolana.
Nam potrzebne ręce młode...
Co chcesz, dziewczę, za nagrodę?

— Ja chcę służyć w waszej chacie,
A przyjmuję co mi dacie, —
Rzecz dziewczka kłopotliwa.
A staruszek brodą kiwa:
— Krzywdzić ciebie? nam to na co? ,
Lecz ty waż się ze swą pracą,
Bo mówili ludzie starzy,
Że ten nie ma, kto nie waży.
Ty nas nie znasz, a my ciebie;
Żyj na naszym teraz chlebie;
A jak dobrze pójdzie proba,
Jedno drugich upodoba,
Jak pobędziesz w naszej chacie,
Pomówimy o zapłacie.

— Och! już wy mnie nie skrzywdzicie,
Ojczy-serce, matko-życie!
Mieszkać będę w waszej chacie,
Wezmę płacę, jaką dacie.
Weszli w chatę, i dziewczyna
Nową służbę rozpoczyna,

Tak szczęśliwa, taka rada,
Na sto koni jakby wsiada,
Jakby dola biednej dana
Wyjść za pana, za hetmana.
O poranku i wieczorze
Ona w chacie i na dworze,
I w oborze, i w stodole,
I na żniwo idzie w pole.
Lecz najmilej czas jej płynie
Nad kołyską przy dziecinie,
Że i matka i rodzona
Tylu trudów nie dokona.
W dzień powszedni, czy w niedzielę
I pościółkę mu uścielę,
I koszulkę włoży białą,
I rozczesze główkę małą,
I piosenki wyśpiewywa,
I wystruga wóz z łuczywa.
Cóż dopiero, gdy w dni święta
Inszą pracą niezajęta?
Przez dzień cały, przez dzień Boży,
Z rąk chłopięcia nie położy.
Aż się dziwią staruszkowie,
Nie pomieszczą tego w głowie,
Błogosławią jak rodzice
Swą pocziwą najemnicę.
Lecz gdy w nocy posną starzy,
I dziecina się rozmarzy,
Ona patrzy na pacholę
I przeklina swoją dolę.
A jej żalu i rozpaczy
Nikt na świecie nie zobaczy;
Jeden Marko — lecz, niebożę,
On zrozumieć jej nie może:
Czego płacze nieszczęśliwa?
Poco łzami go obmywa?
Czemu, zszedłszy gdzieś w oddali,
Całunkami aż go pali?
Nie dojada kęska chleba,
Byle Marko miał co trzeba?

Czasem ze snu coś wyszepce
Lub przewróci się w kolebce:
To już ona kłopotliwa
Z najtrwarszego snu się zrywa,
I przeżegna w nocną ciszę,
I kolebkę zakołysze.
Ona czuje aż z za ściany
Oddech dziecka rozespany;
A gdy z rana oczki przetrze,
Rączką chwyta za powietrze
I rączkami opowieje
Pochyloną niani szyję.
Czasem nie wie co wygada,
Imię matki nianice nada,
I jak dąbek rość poczyną,
I kraśnieje, jak kalina.

IV.

Ej! niemało, niemało
Wód się w rzece przelało,
I zła dola surowo
Puka w chatę dziadową.
Baba Nasta w mogile,
Dziadek upadł na sile,
Ani rady już niema
Uratować Trochima.
Wreszcie uratowali,
I bieda poszła dalej,
I na cichym futorze
Szczęście zakwitło Boże,
Z ciemnych gajów na nowo
Przyszło w chatę dziadową.

Już i Marko dziecina
Wyrósł bujno, jak trzcina,
Krzepki, nakształt jawora,
Że i żenić już pora.
Starzec w myślach się gubi,
Kogo chłopak zaślubi?
Słuchać ludzi nie wadzi,
Najemnicy się radzi.

Ta posłałaby swaty
Do królewnej bogatej;
Lecz królewna daleko,
A tu lata uciekają.

— Niech sam radzi w tej mierze,
Niech sam żonę wybierze.

— Dobrze, córko — rzekł stary, —
Niech wyszuka już pary,
A jak parę wyszuka,
Posłać swatów nie sztuka.

Rozpytali, radzili,
Panów swatów prosili.
Przyszli swaty za wolą,
Przyszli z chlebem i solą,
I ubrani sowito,
I z rusznicą nabitą.
Dobrze poszło swatanie:
Piękna panna w żupanie,
Taka hoża i młoda,
Że i starań nie szkoda,
Kwiatek krasny i wonny, —
Sam pan hetman koronny
Takie dziecko pieszczone
Chętnie wziąłby za żonę.

— Dzięki, dzięki, swatowie! —
Rozczulony dziad powie —
Lecz rozbierzmy w gawędzie,
Gdzie i kiedy ślub będzie?
Jak w weselu zaradzę?
Kogo matką posadzę?
Nastę wzięto na mary...
Ot i spłakał się stary.
Rozrzewniona najmita
Drzwi oburącz się chwyta,
I mdlejąca się tarza,
I coś mdlejąc powtarza,
Mówi cicho a z rzadka:

— Matka!... matka!... gdzie matka?...

V.

Minął tydzień, družki młode
Korowaj miesiły;
Stary ojciec, jeżąc brodę,
Krzętał się co siły.
To podwórko swe przykrasza
Z pracą i zachodem.
To podróżnych wciąż zaprasza
Na gorzałkę z miodem.
Na wesele sprasza gości
W wesołym zapale;
Naturbował stare kości,
A nie czuje wcale.
Na co biednej stać chudoby,
Wskazał jak na dłoni;
Na dziedziniec wnieśli żłoby
Dla gościnnych koni.
Obcy czyszczą ściany chaty;
Gdzież się dziewczka chowa?
Ona wzięwszy kij sękaty,
Poszła do Kijowa.
Na modlitwę chęć ją bierze
Z pielgrzymów gromadką,
Choć jej starzec, prosił szczerze
Być na ślubie matką.
Błaga Marko, aby przecię
Powstrzymała drogę.
— Przebacz, Marko! drogie dziecię.
Ja tu być nie mogę,
Oni ludzie hej! bogacze,
A ja sługa licha,
Między nimi, cóż ja znaczę?
Śmieliby się z cicha.
By was Pan Bóg miał w opiece,
Pójdę do Kijowa,
Wszystkim świętym was polecę
I powrócę zdrowa.
Służyć będę choć bez płaty
Całe moje życie,
Nie porzucę waszej chaty,
Chyba wypędzicie.

I dziadkowi pokłon dała,
I weselnej rzeszy,
Przeżegnała, zapłakała,
I w pielgrzymkę spieszy.
Rwą podkówki, grzmi muzyka
W gwarze weseliska;
Krażą czarki u stolika,
Miód, gorzałka tryska.
Dziewka idzie w czarnej szacie
Gdzie ją oczy wiodą,
Aż w Kijowie, w miejskiej chacie,
Stała gospoda.
Najęła się wodę nosić
Wiadrem sporej miary,
Byle grosza stało dosyć
Na Mszę u Barbary.
I chodziła do spowiedzi,
Czcila Świętych twarze,
I dla Marka obraz z niedzi
Kupiła w Pieczarze,
I czapeczkę poświęconą,
Świętego Iwana;
Biła pokłon przed ikoną,
Zginała kolana;
A dla młodej Marka żony,
Jak obyczaj stary,
Krzyż kupiła poświęcony
I pierścień Barbary.
Gdy w domowych stronach stanie,
Dopełniwszy wota.
Wybiegł Marko swoją nianię
Spotkać aż za wrota.
Wyszła żona Katarzyna,
Wiodą w chatnie progi,
Postawili miodu, wina,
By ugościć z drogi.
I pytają o Kijowie,
Cieszą się, weselą,
I troskliwi o jej zdrowie
Miękką pościel ścielą.

— Za co dla mnie to kochanie?
Tak mię czei to stadło?
Ot już może niespodzianie
Serce ich odgadło!
Ej! nie zgadli tajemnicy,
Ale dobre dzieci!
I w sierocej jej żrenicy
Jasna łąza zaświeci.

VI.

Już trzy razy lody krzepły,
Topił lody wietrzyk ciepły;
Najemnica już trzy razy
Przed kijowskie szła obrazy.
Jakby z matką Katarzyna
Z nią pielgrzymkę rozpoczyna;
Przeprowadza na szlak znany,
Aż na pole za kurhany,
I modlitwy swe zasyła,
Aby prędzej powróciła.
Bo tu bez niej dniem i nocą
W chacie pusto i sieroco.

W dzień Najświętszej Panny Zielnej
Przywdział Trochim strój niedzielny,
Siadł na kłodzie wedle ulla,
Przy nim wnuczek z pieskiem hula.
Wnuczka matki odzież wkłada,
Niby w gości szła do dziada.
Serce dziada się zaśmiało.
I przywitał wnuczkę małą,
Pyta jakby u dojrzałej:

— Gdzieś podziąła kołacz biały?
Czyś nie wzięła, sniesząc rano?
Czy ci w lesie odebrano?
Albo zjadłaś. idąc droga?
Ejże wstyd ci, wstyd, niebogo!

Gdy tak stary wnuki cacka,
Hanna zjawia się znienacka;
Dobra Hanna. żywa, zdrowa
Powróciła od Kijowa.

Starzec zerwał się na nogi,
Najemnicę witać z drogi;
Ale ona idzie drogą.
Nie uważa na nikogo,
Pyta, robiąc piersią szparką:

— Gdzie jest Marko? gdzie jest Marko?...

— Gdzie jest Marko? Ha! w podróży...

— A mnie siła ledwie służy.
Biegłam umrzeć w waszej chacie,
Wy mię szczerze pochowacie.
Tutaj umrzeć... by mię w dali
Cudzy ludzie nie chowali,
I nie poszła marnie praca...
Niechże Marko prędzej wraca!
Tak mi słabo do ostatka!...

I w swej sakwie szuka szmatka,
I dla wnuków różne dziwa
Na gościniec wydobywa:
I z mosiadzu krzyżyk gładki,
I medalik Bożej Matki.
I obrazki, co na ścianę,
Złotą folgą nabijane,
Świec jarzących pek wyklada
Katarzynie i dla dziada.
Lecz dla Marka nic nie chowa,
Nie przyniosła nic z Kijowa,
Bo jej groszy już nie stało,
A zarobić sił za mało.

Ot pozostał u pazuchy.
Tylko jakiś kołacz suchy!
Więc go łamie po połowie:
Jedzcie, dzicci!... to na zdrowie...

VII.

Dziadek, wnuki. Katarzyna,
Wszystko krzątać się poczyną,

I do chaty gościę wiodą,
I omyli nogi wodą,
I na końcu stołu sadzą,
I połudeń wczesny dadzą;
Lecz zmęczona i wybladła,
Nic nie piła i nie jadła.

Katarzyno! Katarzyno!
Dwa, trzy dzionki gdy przeminą,
Wtedy cerkiew niech otworzą,
I zakupcie służbę Bożą,
A przed Spasem i Mikołą
Ponastawiać świec wokoło.
Bo coś Marko bawi dłużej,
Zachorował gdzieś w podróży.

Gdy to mówi — traci zmysły,
Jak z krynicy łyzy jej trysły.
A gdy pierwsze łyzy przeminą:
Katarzyno! Katarzyno!
Już ja nie ta, co przed chwilą,
Oczy mylą, nogi mylą.
Trzeba umrzeć — och! nie znacie,
Co to umrzeć w cudzej chacie!

Zaniemogła nieszczęśliwa.
I kapłana już przyzywa.
I odprawia spowiedź szczerze,
I oleje święte bierze.
Stary Trochim w łez powodzi
Po dziedzińcu smutnie chodzi.
Katarzyna ani w stronę,
Oczy w chora ma wlepione.
A tymczasem gospodyni
W dzień i w nocy czuwa przy niej,
I zapala świeczkę dużą,
Ale świeczki źle coś wróżą:
Ciemne światło bije z knota,
A schorzała wciąż się miota.

Katarzyno! rzuć oczyma,
Czy z powrotem Marka niema?
Gdybym pewna była tyle,
Że go ujrzę choć na chwilę,
Toby jeszcze przyszła siła,
Tobym śmierci przemodliła,
Tobym jeszcze miała wolę
Ucałować me pacholę...

VIII.

A w czumackiej Marko rzeszy
Powraca wesoly,
Do swej chaty ani spieszy,
Bo popasa woły,
Wieżie kubrak dla swej żony,
Co oczy zachwyci,
A dla starca pas czerwony.
Wskroś z jedwabnych nici.
Najemnicy — dar sowity,
Żupan nad żupany,
Żupan krasny, złotem szyty,
Srebrem przetykany.
Dzieciom trzewiczki z podróży
Przywiózł w upominek,
I orzechów zapas duży.
I słodkich rozynek.
A dla wszystkich sporą miarę
Z Carogrodu wina.
Mniema zastać szczęście stare
W chacie u komina.
Jego sercem nic nie miota.
Nic nie trudzi głowy.
I otworzył rzeźwo wrota
W dziedziniec domowy.
Zobaczyły go obiedwie
W tejże samej porze:
Och, наконец! — Och, zaledwie!
Dziękuj Tobie, Boże!

Stary poszedł wyprząc woły,
I uprzęże składa;
Jak przed rojem w ulu pszczoły,
Krząta się gromada.
Słychać krzyki uroczyste,
Radość nieustanną:
Ach, Ojczy nasza!... Jezu Chryste!
Ach, Najświętsza Panno!
A gdzie Hanna. Katarzyno?
Gdzie się Hanna chowa?
Pokaż prędzej mą jedyną.
A czy żywa? zdrowa?
Jeszcze żyje... duszę chroni,
Ale bardzo chora;
Chodźmy, Marko! chodźmy do niej!
Oto jej komora!
Marko ledwie poznać zdoła,
Gdy ją ujrzał z progu.
Chodźże prędzej! — ona woła —
Dzięki-ż Panu Bogu!
Pochwalona Pani nieba,
Przenajświętsza Matka!...
Katarzyno! mnie potrzeba
Mówić z nim bez świadka.
Wyjdź z komory choć na chwilę!...
Wyszła Katarzyna.
Widzisz, Marko! ledwiem w sile
Przemówić... do syna.
Oto, synu, spowiedź skryta
Moich dni ostatka:
Jam nie prosta tu najmita,
Ale twoja... matka...
I osłabła, i złamana
Padła na wezgłowie.
Marko upadł na kolana,
A ona znów powie:
W cudzej chacie... tu, jak w grobie,
Zeszła młodość cała...

Byle tylko być przy tobie,
Jam pokutowała...
Marko zemdłał... zbladło lice,
Zbiegli się doń chatni...
Gdy się ocknął — pokutnicę
Ujął sen ostatni.

IWAN PODKOWA.

I.

W Zaporozu grzmi armata,
Przed panem Iwanem.
Zaporożec w dawne lata
Potrafił być panem.
Panowali, zdobywali
Swobodę i chwałę:
Ledwie świadczą ich z oddali
Kopce pozostałe.
Oj! wysoko się wznosiły
Na polu kurhany,
Gdzie legł kozak do mogiły
W kitajkę przybrany.
A mogiła kształtem wzgórza
Aż obłoki bodzie,
Wiatrom żale swe wynurza,
Szepce o swobodzie.
Pradziadowskiej świadek sławy,
Powiadają młodzi;
A wnuk słucha jej ciekawy,
I piosnkę wywodzi.
Och! szalano w Ukrainie,
Licho daj go czartu!
A w gorzałce, w miodzie, w winie
Nabywano hartu.

Dobre niegdyś było życie
W ukraińskiej stronie.
Może sercu coś ulżycie,
Gdy je wam wydzwonię.

II.

Czarną chmurę wichur niesie
Z Limanu wybrzeży,
Sine morze, jak zwierz w lesie
Ryczy, to się jeży.
Gardziel Dniepru już rozlany, —
Chłopczy! hej! do wiosła!
Siądziem w czajki, pójdziem w tany,
Byle woda niosła!
Wypłynęło Zaporozie,
Aż Liman czernieje.
Grajże teraz, sine morze,
Niechaj wiatr zawieje!
Bije fala. płyncie zdrowi,
Ni ziemi, ni nieba,
Aż drży serce. . Kozakowi
Tego tylko trzeba!
Wiosło taktem gra wesołym,
Wykrzykują radzi.
Pan ataman płynie czołem.
On wie, gdzie prowadzi.
Chodzi z hulką po swej łodzi
I rozmyśla bacznie:
Gdzie uderzyć mu przychodzi?
Skąd robotę zacznie?
Skręcił wasy z gęstą miną.
Czajkom stanąć każe,
Podniósł kołpak, wstrząsł czupryną:
Zguba tobie, w r a ż e!
Hej, młodocy! droga znana,
Ja Carogród minę;
Lecz w Carogród do sułtana
Pójdziemy w gościnę.
Dobrze ojcie atamanie.
Zagramy w Bosforze!

Dzięki, chłopcy! niech się stanie!
I znów kipi morze.
Pan ataman lulkę kurzy,
Na brzegu usiadłszy,
Na niebiosach bada burzy
I na falę patrzy.

D U M K A.

Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!
Bo nie weźmie nikt w opiekę,
Chyba z góry wskoczyć w rzekę.
Jużbym skończył dni te moje,
Lecz się kary Boskiej boję;
Jużbym dawno zgnił w topieli,
Jużby ludzie zapomnieli.
U jednego dobra dola,
Bujne kłosa zbiera z pola:
Moja dola tylko mamą,
Gdzieś się błąka za morzami.
Dobrze temu bogaczowi,
Co go wszyscy znać gotowi:
Gdy kto spotka mnie nędzarza,
To i na twarz nie uważa.
Bogatego, choć szkarada,
Otacza pochlebstw gromada:
Ja choć wzdycham do dziewoi,
Ze mnie tylko żarty stroi.
Czyż ja, dziewczę! nie dość młody?
Czy mi pięknej brak urody?
Czy nie kocham cię z zapalem
Czy ja z ciebie żartowałem?...
Kochaj sobie, kochaj śmiało,
Kogo serce twe wybrało;
Lecz poszanuj me kochanie,
Gdy ci kiedy w myślach stanie.

A ja pójdę w cudzą stronę
Jątrzyć serce rozżalone,
I tęsknotą serce spalę,
Jako listek na upale.

Smutny kozak poszedł drogą,
Nie zostawił tu nikogo;
Szukał doli, co popieści,
I zaginął gdzieś bez wieści.
Umierając ludzi pyta,
Gdzie tam Boże słonko świta?
Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!

1860--1861. Borejkowszczyzna.

PRZEKŁADY
POETÓW ŁACIŃSKO - POLSKICH
EPOKI ZYGMUNTOWSKIEJ.
(WYJĄTKI).

P O E M A T A
KLEMENSA JANICKIEGO.

E L E G J A.

*Do Jędrzeja Krzyckiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego,
gdy go po raz pierwszy widział.*

Non adeo fuit ulla dies mihi clara sub illo tempore...

Dni w mojem życiu szczęśliwszych nie liczę
Nad dzień dzisiejszy, co błysł niespodzianie,
W którym raz pierwszy, najwyższy kapłanie,
Widziałem twoje dostojne oblicze.

Widziałem z bliska to szanowne czoło,
Co blaskiem mitry promieniście słyńcie;

Uczciłem męża wielbionego wkoło,
Co zacnej polskiej przodkuje krainie.

Bo czy uważasz dostojność niemалą,
Ród znakomity, złączon znakomicie,
Czy własne dzieła uwieńczone chwałą,
Którymi piękne przyozdabia życie:

Tu szczyt, gdzie męża wynosi się głowa
I w gronie ziomeków promienieje świetnie,
Tu mądrej myśli zacność umysłowa,
Jednak skromnością przykryta szlachetnie,
Nic tutaj losom — w szczęściu i boleści
Mądra się głowa nie ugnie, nie zetrze.

Rzadko kto zniesie, kiedy los go pieści,
Szwankuje okręt na zbyt wolnym wietrze.

Gdy Aleksander podbił ludy wschodnie,
Synem Jowisza obwołał się razem,

Własnego ojca wyparł się niegodnie
I w pierś Klitona ugodził żelazem,

Przymuszał wypraw swoich towarzysza
Kłękać przed sobą, wolą czy niewolą.
I Klearch, szczęsną oślepiiony dołą,
Przyswoił sobie synowstwo Jowisza.
Nie wspomnę Brenna, co chlubny wygraną
Zagrażał bojem już Apollinowi.
Nie wspomnę innych, co za dobrą zmianą
Karne swe żądze wyuzdać gotowi.
O zacny Krzycki! kusząca bogini
Płochę w twem sercu myśli nie wylęła;
Ona, co tylu niewolników czyni,
Do twego jarzma sama się zaprzęła.
Już się nie wyrwie — znam po twej naturze
Jak święcie ważysz twoje powinności;
Łacno to widzieć — i niepłonno wróżę,
Że cnota twoja bez końca uroście;
Że lubo codzienną dank odbierasz świeży,
Nie zwolnisz jarzma szlachetności twojej;
Że cię łaskawość twoja nie odbieży,
Co wielkim duszom tak pięknie przystoi;
Że zawsze będziesz cierpliwym i względnym,
Bardziej niż Jowisz w starodawnej bajce.
Ileż on razy w swym gniewie zapędnym
Dał żreć płomieniom swoje winowajce!...
Gniew za występki rodzi się w twej duszy,
Ale się zaraz rozmiękczy widocznie:
Jowisz nikogo nie wyrwie z katuszy,
Nie pożałuje, gdy raz karać pocznie.
Karcisz występnych, ale w słuszną miarę,
Bo prędko w serce zakolata łaska;
Ona przestrzeże, upomni ofiarę,
Ale w nią nigdy piorunem nie trzaska.
A lubo-ć w gniewie złe myśli nadbiegą,
Jednak miłością zwyciężasz je skoro;
Jest to zwyciężać lwa Herkulowego,
Jest to panować nad dziką potworą,
Jest to gruchotać dzikiego bawoła,
Jest to ucinać złym gadzinom głowy.
Otwarta dobroć przemawia ci z czoła,
Słynnyś pogodą twarzy i rozmowy.

Jednak, choć dobroć jest twoim nałogiem,
 Umiesz być srogi, gdy potrzeby każą.
 Zawsze pobożny, cnotliwy przed Bogiem,
 Wiare i miłość pod pilną masz strażą.
 Małaż to praca walczyć z różnowierce,
 Bronić od wilka Chrystusa owczarnię?
 Małoż tu trudu dać krajowi serce
 I plon ojczysty zbierać w pięknem ziarnie?
 Któż po Zygmuncie najwięcej dał pracy?
 Kto w naszej łodzi siadywał przy sterze?
 Cieszcie się zatem, waleczni Polacy!
 W Krzyckim ojczyzna pierwszą chlubę bierze.
 Biercie otuchę, ludy tej krainy!
 Was najświętsze czekają nadzieje;
 Już wam nie zamrą wielkie ojców czyny,
 Kiedy je Krzycki nadobnie opieje.
 Jak niegdyś Grekom za sprawą Homera,
 Albo Rzymianom przez pieśni Marona,
 Tak wam dziejowa rozjaśni się sfera
 W pieśni Krzyckiego, co nigdy nie skona;
 Bo pierwiej zginać Herodota pracy,
 Trudom Padewca podlegnąć zagubie...
 Cieszcie się zatem, waleczni Polacy!
 Otwarte wrota narodowej chlubie.
 Pierwszy dank służył Auzońców imieniu,
 Albo gdzie Renu czyste wody płyną...

.

W polu cię bitwy sąsiady poznały,
 Dzisiaj muzami zasłyniesz na świecie —
 Krzycki ci doda nowy rodzaj chwały.
 Za jego wzorem nasza młódź ojczysta
 Pospieszy muzom dać ofiary święte;
 O! młódź nie tylko ze wzoru skorzysta,
 Lecz ma od niego opiekę, zachętę.
 Tak za Krzyckiego staraniem ochoczem,
 Polsko! potęga i sława cię czeka.
 Niepłonna wróżba — bo jest widzieć po czem,
 Co się snadź święci z takiego człowieka.
 Skoro się wróżba na przeszłości wspiera,
 Dobra to wróżba — spełni się niedługo:
 Łatwo wywróżyć było bohatera,

Gdy młody Herkul gniółł hydrę maczugą.
 On spełnił świetne swej matki nadzieje,
 Ty, Krzycki, spełnisz nadzieje Polaków;
 Bo lud, co wróży z nieomylnych znaków,
 Im więcej widzi, więcej się spodzieje.
 Wy zaś, Sarmaci, drużyno krajowa,
 Szanujcie czoło, które was uświecnił!
 Módlcie się Panu — niech go nam zachowa,
 Niech mu pomyślność świeci długoletnia,
 Niechaj od niego wolnym krokiem idzie
 Śmierci posępnej widziadło surowe,
 Niechaj się zrówna wiekiem Neleidzie,
 Niech żyje lata Laomedontowe.
 A potem z niebios jak anioł w ochronie
 Wyciągnie k'Polsce przyjacielskie dłonie.

ELEGJA.

Poleca swej muzie, aby mu zjednała Stanisława Hozjusza.

Ergone semper eris turpi taciturna timor Musa?...

Czemuś, o muzo! milcząca i trwożna?
 Niech się wieśniacza bojaźń przezwycięża;
 Nabierz odwagi — tu śmiała być można,
 Staniesz przed okiem uczonego męża.
 Wejdz doń i powiedz z winnem pozdrowieniem:
 „O mężu w świetne ozdobion zaszczyty!
 Znany zacnością, nauką, imieniem,
 Gwiazdo i chlubo ziemi rodowitej!
 Nie miej za płochosć, że tutaj przychodzę,
 Lubo nieznana — między świetne duchy.
 Jabym nie śmiała, ale w mojej drodze
 Przyszła mi w serce myśl dobrej otuchy.
 Orlik, co ledwo z łusek się wydziobie,
 Nie śmie w słonecznem patrzeć się przezroczu:
 I ja nie śmiałam, nie ufając sobie,
 Ku twej jasności skierować mych oczu.
 Ale poeta, niecierpliwy zwłoki,
 Rzekł do mnie słowo sprzyjającej wróżby,
 I kazał tutaj skierować me kroki...
 Możem za wcześniej przyszła na twe służby?

Oto pół roku upływa bez mała,
Jak w pięknym grodzie Krakusowym goszczę;
Dość Janickiemu przyjaciół zjednała,
Jednego dzisiaj pragnę i zazdroszczę:
Hozjusz tylko brakował mi zacny,
Którego najprzód skarbić należało.
Mówiono o nim, że przystęp doń łacny,
Że próżen dumy i z duszą wspaniałą.
Im kto naukę zamięłował szczerzej,
Tem serce jego skłonniejsze do łaski:
Wielki mąż własnym zaletom nie wierzy,
Choć słyszy wkoło pochlebne oklaski.
Względny dla wszystkich, na siebie się sroży,
Każdego z sobą porównać ochoczy:
Dobra otucha! on nam drzwi otworzy,
On skrzydłem swojej opieki otoczy,
Gdy drzwi otworzył i gdy nas ośniela,
W niewielu słowach cała prośba nasza:
Weź Janickiego za swego czciciela;
Dawno się o to u niebios doprasza.
Weź Janickiego i daj mu łaskawie
Cząstkę w twym sercu i przyjazne słowo.
Wielka-ć to prośba, lecz śmiało ją stawię,
Boś nie zwykł smucić przeczącą odmową.
Im się kto większym dłużnikiem nazowie,
Tem o wdzięczności przemyśliwa ściślej:
Młody on jeszcze, lecz w młodzieńczej głowie
Niema już lekkich i przelotnych myśli.
Jak stary wiekiem, na łaski pamięta,
I umie cenić prawicę pomocną.
Różdżka, niedawno z gałęzi odcięta,
Jednak do gruntu wkorzenia się mocno.
Gdy młode ziarno posiejesz na roli,
Nie zwiedzie pewno nadziei żniwiarzy...
Lecz cóż ci mówić? już czytam na twarzy
Pomyślną wróżbę dla mej przyszłej doli.
Więc, co cię nadto uwielbić nie może.
Kochaj młodzieńca, i żegnaj cię Boże!"

D J A Ł O G
O NIESTAŁEJ ROZMAITOŚCI ODZIEŻY
U POLAKÓW.

WŁADYSŁAW JAGIELŁO, KRÓL POLSKI,
I STANISŁAW MOROSOPHUS.

KRÓL.

Już Wołoszę i Węgry zły Turczyn zwycięża,
Już do mego królestwa zbliża się pożoga.
Wstaję z grobu — niech moi przypaszą oręża,
Wspomogę ich choć radą przeciw siłom wroga.

MOROSOPHUS.

Ha! to król... dziad królewski, przechwala się srodze;
A sam broni nie nosi... cała Polska taka.
Chodzi w owczym kozuchu, nie w królewskiej todze...
O! trudniej podbić Turka niżeli Prusaka!
Znam... to stary Jagiello... ten głos i ta mina...
Przystąpię: Dokąd, królu, i skąd, jeśli wola?

KRÓL.

Do was z grobu!

MOROSOPHUS.

A poco?

KRÓL.

Zwyciężyć Turczyzna.

MOROSOPHUS.

Ha! to sroga bestya, nie dotrzymasz pola!

KRÓL.

Lecz bywa zwyciężoną.

MOROSOPHUS.

Ej, nierówne siły!

KRÓL.

Bóg za tym, kto na siłę nierówną uderza.

MOROSOPHUS.

Dzisiaj pokój trzymamy.

KRÓL.

Nie trwóż się, mój miły,
Niema u mnie z Turkami świętego przymierza.

MOROSOPHUS.

Niema? kogóż uzbroisz?

KRÓL.

Prawnuków Polaków,
Przez których w moje czasy Krzyżak był odparty.

MOROSOPHUS.

Chcesz ich widzieć?

KRÓL.

Potrzeba.

MOROSOPHUS.

Patrz na tych wojaków!

KRÓL.

To jacyś cudzoziemcy, poniechaj te żarty!
Pokaż mi mych Sarmatów, moje wierne strażę.

MOROSOPHUS.

Kiedy? gdy się odrodzą?

KRÓL.

Nie! zaraz, w tej chwili!

MOROSOPHUS.

Oto stoją! patrz na nich, jacy są, pokażę.

KRÓL.

Szanuj mię i zaniechaj głupich krotchwili!

MOROSOPHUS.

Tyś sam głupiec, że nie wiesz, iż czas wszystko zmienia.

KRÓL.

Ale wszystko odmienia w kształty jednakowe,
A tutaj tysiąc kształtów, postaci, odzienia.
Nie!... ja tych ludzi nigdy mymi nie nazowę!

Za mną była ozdoba i odzież jednaka,
I serca jednostajne w miłości i zgodzie:
Po piórach zwykle ptaka odróżniasz od ptaka.
Po piórach zwykle sądzisz o wewnętrznej przyrodzie;
Tak chce Bóg i natura. O! zwątpilem znacznie,
Już mię zwyciężyć Turka nadzieja nie głaszcze.
Jak tu bić się — z żołnierzem strojnym tak dziwnie?
Lecz co widzę? tureckie przyjęście płaszcze!?
Widać, że Turczynowi sprzyjają te duchy!
Zły znak!...

MOROSOPHUS.

Owszem najlepszy, bo to nasza młodzież
Nosi łupy tureckie — znak dobrej otuchy,
Gdy łup nieprzyjacielski wystarcza na odzież.

KRÓL.

Daj Panie! lecz cóż znaczy ten płat jakiś duży
Od szyi aż do głowy? to jakieś dwuroże?

MOROSOPHUS.

Jeśli trzeba uciekać, a wiatr k'temu służy,
Ten ubiór bieg przyspieszy i uciec pomoże.
Lecz uciekać nie sposób, bo się but nie poda
Dychtowany żelazem, dłuższy od kolana.
Nie pobieżysz w tych sztylpach, lecz inna wygoda:
Można brodzić po wodzie lepiej od bociana.

KRÓL.

Żałuję ja tych ludzi — dobrowolnie nogi
Krępują kajdanami...

MOROSOPHUS.

Już uzwyczajeni.

KRÓL.

A toż pewno dla brzęku sążniste ostrogi?

MOROSOPHUS.

Brzęczą, gdy w polu bitwy wiele jest kamieni.
Przyśpieszają bieg koni, a ich brzękotanie
Straszy nieprzyjaciela, jako rolnik ptaki.

KRÓL.

Patrz na tych długonogich, co w krótkim kaftanie?

MOROSOPHUS.

Nazywa się żołnierskim każdy kaftan taki,
Stratictica po grecku, to odzież jedyna,
Wszystkim dobrym żołnierzom najlepiej przypadnie,
Bo nie obciąża ramion, ku ziemi nie zgina,
A rzekę w niej przebywać wygodnie i składnie.

KRÓL.

Niemcy! Włochy! Francuzy!

MOROSOPHUS.

Nosim strój ich z młodu,
Bo rzemiosło wojenne kwitnące w tych krajach.

KRÓL.

Lecz z tej tłuszczy nie złożysz żadnego narodu,
Nie wniesiesz o ich rodzie, sercu, obyczajach.

MOROSOPHUS.

Prawda! gdyż, Bogu dzięki, lud sarmacki stary
Rozrodził się w narody — garstka ich nie marna,
Rozrodził się — rozumiesz? — bez końca, bez miary,
Ot! jak z jednej makówki niezliczone ziarna.

KRÓL.

Lecz ziarna zawsze mają swój kształt macierzysty,
A tu jak poznać ojców po tym stroju sroczym?

MOROSOPHUS.

Zmienna odzież nie serce — patrz! senat ojczysty!
Czy widzisz tam na lewo? ty płaczesz? a po czym?

KRÓL.

I ci się przekształcili, pozmieniali skóry,
Jak naród, jak rycerstwo, — oplakana strona!
Nosi senat wenecki jednakie purpury,
I Rzecz tam Pospolita stoi niewzruszona.
A toż ojce ojczyzny! ten w butach, ten w zbroi,
Temu świetne sandały złotem się migocą,
Ów nosi lekki pancerz, ów w żupanie stoi!

MOROSOPHUS.

Zrzedzisz tylko, a łajesz sam nie wiedząc o co!
Potępiasz, czego nie znasz: ten strój, to obuwie,
Przywdziali, aby błysnąć powagą i władzą;
Ludowi trzeba blasku... — ale ci mężowie
Dla Rzeczypospolitej i gardła podadzą,
I dadzą się rozszarpać choćby od siepaczy
Za ojczyznę, za wiarę, za króla, za cnotę.

KRÓL.

O! powracasz mi spokój! — ale cóż to znaczy?
Na co im te sygnety, te łańcuchy złote?

MOROSOPHUS.

Straszny jesteś gawęda, gderasz nieprzyjemnie;
Nie mam czasu napróżno, aby gwarzyć szerzej.

KRÓL.

Słowo jeszcze!

MOROSOPHUS.

Daj pokój, wojuj i beze mnie,
Lecz sprowadź nieboszczyków sobie za żołnierzy!

KRÓL.

Powiedz, kto jesteś?

MOROSOPHUS.

Żołnierz!

KRÓL.

Znaczno, po zakroju,
Bo dobrze o żołnierce rozprawiasz, mój zuchu!
Jak ci na imię?

MOROSOPHUS.

Żołnierz!

KRÓL.

Nie zgadłbym po stroju!

MOROSOPHUS.

Jak w tobie nie znać króla po owczym kozuchu!

KRÓL.

Czyż królowi nie wolno mieć skromnej odzieży?
Czyż koniecznie potrzebny okazały zbytek?

Ale cóż to za zbroja pod suknią ci leży?
Worek wełny czy siana? jaki stąd użytek?

MOROSOPHUS.

To mój grzbietowy puklerz — dobrze z tym puklerzem,
Bo my kijmi częstokroć swe nagrody bierzem.

EPITALAMJON

NAJJAŚNIEJSZEMU KRÓLOWI POLSKIEMU
ZYGMUNTOWI AUGUSTOWI.

NA ZAŚLUBINY TEGO KRÓLA Z ELŻBIETĄ AUSTRIACKĄ w r. 1543.

Czterowiersz na Orla, godło królewskie.

Ptak-li to Jowiszowy ulata nad męża?
Rozbija nieprzyjaciół w wojsku nieprzebranem,
Broni swoich — pierś jego staje za pawęża —
Bezpiecznoż ci żołnierzu, pod takim hetmanem!

.

Do Zygmunta Augusta, króla polskiego.

Siodłać lotne rumaki! jedź, pogoni chyża!
Auguście! oto rzymska królowa się zbliża:
Wyjedź na jej spotkanie; ta dziewczica łoża
Godna być uczestniczką królewskiego łoża;
Z takiego bowiem domu, z takiej krwi pochodzi,
W jakiej ci jeno szukać małżonki się godzi.
Urodą tak kształowna, tak piękna, że pewnie
Żadna z niewiast nie zdoła dorównać królownie.
Nie słowom cudzym wierzę, lecz własnej żrenicy,
Bom ją widział przed laty w wiedeńskiej stolicy;
Widziałem, jak dziecina wspaniale przybrana,
Szła z matką do świątyni świętego Szczepana.
Z oczu jej promień strzelał, a skromność dziewczica
Szkarać miała jagody pięknego oblicza.
O! nie tak piękną była, mimo ród swój boski,
Kiedy szła córka Łedy w przybytek ojcowski!
Ale cóż ci powiadać? co słać jej lica?
Sam ujrzysz i zaświadczysz, co to za dziewczica!

Krasna dziewo! ochoczo wędruj z tak daleka,
Znakomity i piękny małżonek cię czeka...
Masz się z czego pochlubić, bo niemało waży
Piękna postać młodzieńca i wdzięki na twarzy.
Pięknie, gdy świetne cnoty zdobią duszę młodą,
Pięknie, gdy się nad innych celuje urodą,
Pięknie się naszym oczom i duszy przymila,
Atryda Homerowa, Askani Wirgila.
Gdy dwaj męże u murów pergamskiego grodu
Walczyli o małżonkę i o cześć narodu,
Pryman, Agamemnona spostrzegłszy z daleka,
Zapytywał synowej o pięknego Greka:
— Powiedzże mi jako mam zwać Greczyna tego,
Co to pleców szerokich a wzrostu słusznego?
Drudzy, widzę, są, co go głową przerównają,
Ale tak podobnego oczy me nie znają,
Ani tak poważnego — tuszę, że jest królem.
Maro słodko nad pięknym rozwodzi się Julem.
Więc gdy piękność w monarchach jest wielkiej zasługi,
Bądź pewien twojej chwały, o Zygmuncie Drugi!
Boś jest majestatyczny, jak posłannik nieba.
Lecz nie dzisiaj te rzeczy wyśpiewywać trzeba;
Przyjdzie czas, kiedy muza głos dla cię wyteży,
Opiewając triumfy sarmackich oręży.
Wiem, że staniesz się godnym opiewania rymem,
Bo już dobrą nani wróżbę dałeś pod Chocimem,
Dałeś chlubę ojczyźnie, wrogom starłeś głowy, —
Błogoż tak rozpoczynać zawód pierwiastkowy!
Leszek — swój piękny zawód zbyt rozpoczął rano,
(Co go Białym, dla białych kędziorów przezwano);
Gdy dzieckiem pragnął bić się mężnemi rękoma,
A senat mu przedstawiał, że bezpieczniej doma:
— Pocóż mię — rzekł — trzymacie swojemi przestrogi?
Czyż mi jeszcze nie pora pokonywać wrogi?
Czy ja mieczem nie rąbnę? czy w sercu ostygnę?
Czy ja nie mam ramienia? włóczni nie podźwignę?
Malowany proporzec nikogo nie zgniecie,
A wy jednak proporce na wojnę bierzecie!
Obiecujące dziecię! za szlachetne czyny
Winienesz nosić imię wodza Kartaginy,
Który, gdy jego rodzic szturmem Sagunt bierze,

Dziewięcioletnie dziecko, walczył jak rycerze.
I ty, zacny Augustie, wróż dobre koleje,
Świetny los twego ojca na ciebie się zleje.
Wzięłeś już po nim imię, wzięłeś panowanie,
Więc i dalsza spuścizna przy tobie zostanie:
Weźmiesz serce, i cnotę, i męstwo w potrzebie,
Tylko przykład ojcowski postaw wedle siebie,
Jako dawni Rzymianie, co w domowej sali
Swoich przodków woskowe posągi trzymali,
Jako Egipcjanie u domowych składów
W szklanych trumnach chowali prochy swych naddziadów,
Aby, mając na oku ich przykład i życie,
Wedle wzorów kształtować siebie przyzwoicie.
Nie trzeba ci posągów namaszczonych woskiem,
Bierz twe wzory na żywym przykładzie ojcowskim:
Niechaj cię opanuje szlachetna tęsknica
Sprostać wielkim przykładom twojego rodzica;
A jeżeli podobna, przewyższaj go raczej, —
Wierz mi, serce ojcowskie wdzięcznie to przebaczy.
Filipie macedoński! pełniąc wielkie dzieła,
Ostateczna twa żądza na synu spoczęła;
Rzekłeś: Równać się ze mną wszystkim nadaremnie,
Lecz pragnę, aby syn mój był większy nade mnie!
Spełniło się, co chciałeś w twem żądaniu szczerem:
Syn twój został zaiste wielkim bohaterem;
A jeśli twoje ramię silnie Greki bodzie,
Aleksander zwyciężył cały świat na Wschodzie.

Zwykła modła ojcowska wysłuchana w niebie,
Bóg, co dał wiele ojcu, więcej da dla ciebie;
Pełń jeno sprawiedliwość — żadnej cnoty niema
Spodobańszej w mocarzach przed niebios oczyma;
Miej troskliwość o wiarę w twem sercu, w twej głowie,
Jako czynił twój ojciec i twoi przodkowie.
A kiedy gwoli sądu zasidziesz na wiece,
Miej karę dla występku, miej cnotę w opiece;
A pilno pędź od siebie rój, co skusić gotów,
Co jeno gębie płuży, pilnuje zalotów.
Wszelki trefniś, pochlebca, narajca od złego
Niech od ciebie z przestrachem, jak zbrodniarze, biegą.

Są ludzie godni chwały, są męże szlachetni,
Garnij ich, bo się przez nich twe berło uświetni;
Dawaj im wszelki zaszczyt i w pięknym widoku
Pierwsze radne ławice przy królewskim boku.

Patrz pilno na strażniki granice podolskiej,
Którą często najeżdża nieprzyjaciół Polski;
Między temi strażnikami znajdziesz kogoś, tuszę,
Co godzien, by pozyskał twą królewską duszę,
Co w bojach spędził życie, zahartował serce,
Którego z młodu ojciec wytrawił w żołnierce.
Nie na puchu dziecinna prawica się słabi,
Nie znał on, co to miękkie wezgłowie z jedwabi,
Spał na darni zielonej i jesień, i lato,
Jak na łożu puchowem usłanem bogato.
Zamiast łaźni, deszcz rzęsny pluskał mu na głowę,
Zamiast puharów wina, pił wody zdrojowe,
W takt surmy miasto śpiewów wywijał swe tańce,
Goniąc w taniec morderczy spłoszone pohańce.
Ma u siebie wszelkiego łupu podostatek,
Łup ten, wzięty na wrogu, nie z nędzarskich chatek;
Nauczył się przestawać miernemi użytki,
I nie dał swego serca na chciwość, na zbytki.
Ten, co doma tak dzielny, a cóż z niego będzie,
Gdy stanie na wysokim publicznym urzędzie?
Na wojnie czy w pokoju, kto mędrszy, kto szczerzy,
Między pierwszymi męże stanie się najpierwszy.
Kto poda lepszą radę, gdy wystąpisz zbrojnie?
Niż ów, co całe życie przebywał na wojnie?
Kto poradzi, gdzie obóz rozstasować snadnie,
W jakim czasie i miejscu zwycięstwo przypadnie?
Nie przytoczy ci z dziejów wypadek daleki,
Nie powie: że przed laty tak czyniły Greki, —
Bez przykładów Ulissa, przysypanych pyłem,
Rzecz: „Jam to doświadczył — ja sam tak czyniłem!
I w święty dzień pokoju, można ufać radom
Męża, który obrotu wojennego świadom,
I w wątpliwych zdarzeniach łatwo on rozstrzyże,
Jakie podać warunki w pożytecznym mirze.
Świadom, jak służy szczęście Pospolitej Rzeczy,
Wedle tego jej losy snadno zabezpieczy,

Już to bacznie się wszystkim przypatrzywszy stronom,
Każe miecze zawiesić, dać folgę ramionom,
I wykrzesywać młodzież — kształtem bojowiska
Sprawować pożyteczne rycerskie igrzyska.
Ukształtuje, rozdzieli i szykownie sprzęże
Owdzie jezdne rycerstwo, owdzie piesze mężę;
Jak Sparta, jak Rzymianie, pod nim młódź ojczysta
Ze spokojnych dni miru szczęśliwie skorzysta.
We włócznie i koncerze, nie w puhary brzęknie,
Głowę w hełmy, nie w kwiaty, przyozdobi pięknie.
Bo od takiego mistrza i młodzież, i wodze
Nigdy się nie ośmiela przyzostać na drodze;
Świecąc własnymi czyny i cnotami duszy,
Mistrz łąco wszystkie serca do cnoty poruszy.

Lecz nie samo Podole ma gwiazdę zaszczytną:
Królu! szeroka Polska, i cnoty w niej kwitną.
Rolnicy naszych wiosek, co nad biedną miedzą,
Żadnej sławy nie pragną, o pysze nie wiedzą,
Jak ów mąż znakomity, co mu Rzym niepłochy
Powierzał swoje losy, wezwawszy od sochy.
Znajdziesz, przyzwij ich k'sobie, złącz w twój orszak drogi,
Powierz im, niech pilnują twoje pańskie progi!
Królestwo ci zakwitnie, i chwała cię spotka,
Dorównasz i prześcigniesz niejednego przodka, —
I nie tylko obecność mile ciebie wspomni,
Lecz wieki cię poznają, uwielbią potomni;
Każda chwila ci zejdzie zaszczytnie, korzystnie,
W każdy dzień nowy promień z korony ci tryśnie.

Kochaj uczonych mężów, szanuj mądre dzieło,
Jako niegdyś szanował twój pradziad Jagiełło.
Mędracy twemu krajowi przysposobią wdzięku,
Twa sława nieśmiertelna spoczywa w ich rękę.
Co ty zdziałasz — zapiszą i wyświecą jaśnie,
Żaden czyn twego życia w przyszłości nie zgaśnie.
Znasz-li czyny Lechowe, choć pełne zaszczytów?
Był on zakładcą państwa i wodzem Lechitów;
Znasz czyny Krakusowe? choć słynął w zalecie,
Niestety! już ich pamięć zamarła na świecie!
A żyją stare Greki, masz ich przed oczyma,
Znasz Achilla — choć Troi i śladu już niema.

I stare króle rzymskie przypominasz snadnie,
I głośno o nich będzie, póki świat nie padnie.
Dobrze czynił bohater, co z rycerstwem swoim
Idąc kraje zdobywać zwycięskim podbojem,
Wiódł z sobą dziejopisy, dawał wieszczom wsparcie,
Ażebym jego czyny spisano na karcie.
Tym celem wielki Scypio, ilekroć się zdarza,
Brał z sobą na potyczki swego kronikarza;
Tak czynił (jeśli z nowych przykłady należą)
Mathias, co na Węgrzech panował tak świeżo.
Cóż cesarz? O Zygmuncie! on ci rzecz wyłuszczy.
Gdy był o to jedynie pomawian od tłuszczy,
Że uczonymi ludźmi tak pilno się troska,
Jako dziaćwą kochaną opieka ojcowska:
— Hańba ci, — wołał senat — chlubo naszej ziemi!
Żeś otoczony jedynie ludźmi uczonemi,
Co wiodą ród z pospólstwa, spokrewnieni z gminem,
Przyszli na świat pod dymnej chałupy kominem!
Cesarz na to: Tych ludzi nie otacza ciemno,
Sam Bóg dał im pierwszeństwo nad wami, nade mną,
Oni wyżsi nad wszystkich — gdy ich wielkość cenię
Cóż mię ich dom obchodzi lub ich urodzenie?
O zacny Rzymianie! jak twa mowa słodka!
Słuszna ci że pochodzisz od wielkiego przodka,
Boś szlachetne miał serce, gdy szlachetne usta.
Królu nasz! często przywódcz te słowa Augusta!
Zygmuncie, tyś Augustem narzeczony niemarnie:
Niechaj cię Augustowa i cnota ogarnie,
Niech muza w tobie swego opiekuna widzi,
Wierzaj mi, ta opieka króla nie zawstydzi;
A tak idąc w małżeństwo w zachowaniu Bożem,
Będzie ptak dobrej wieszczby latał nad twem łóżem,
Muza służyć ci będzie, jako ojcu służy,
Byleście tylko oba kwitli nam najdłużej!
Berło z berłem, król z królem zespoliwszy głowy,
Uczestniczcie na tronie chwały narodowej.
Nieba! przyjmijcie modły, wysłuchajcie czule,
Które mi ziemia polska modli się za króle.
Za króle szczodroblive w swą łaskę książęcą.
O Boże! przyjmij modły, co poddani święcą.

RYMY ŁACIŃSKIE

JANA KOCHANOWSKIEGO.

ELEGJA I.

(Księga I. Elegja 2).

Hoc dodoneas tibi dicere crede columbas.

W dodońskich synogarlic wierz prorocze słowa:
Nie zawždy się i Barses pocziwo zachowa!
Fedra, ogniem występny płomieniejąc cała,
Na głowę Hipolita klęskę wywołała.
O! jak się na zbrodnicze kwapila rozkosze,
By serce pasierbowe skłonić ku macosze!
Czy z mężem, czy bez niego, myśl ją trawi cicha,
I oko płomieniste od łez nie wysycha;
Często chadza do gajów — nie Dyany pyta,
Lecz prosi u Wenery serca Hipolita;
Wśród dnia jej wrzące myśli zgryzota zatruwa,
Wśród nocy na bezsennych rozmyślaniach czuwa.
Cóż taić żar powolny, co przegryza łono?
Tych ogniów nie zgasić, nie pokryć zasłoną;
Raczej miluchnem słówkiem wyznaj udręczenie,
Wszak on nie syn tygrysa, ani lwicy szczenię.
Twoje lice tak krasne i żadz tyle łechce.
Prostak chyba tych wdzięków posiadać nie zechce.
Zgwałcić płonne krwie związki?! i cóż za obawa?
Czyż i bogi w Olimpie szanują te prawa?
Sama powiedz mu wszystko, odkryj mu swe bole,
Nie przez zdradne służebne, ani przez pacholę;
Pacholę i służebna zniewierzyć się mogą,
A miłość za niesławę — to kupować drogo!

Więc od rozkosznych myśli szalona i wrząca,
Ani mogąc pod sercem zataić gorąca,
Modli się: Boska Wenus, pofolguj niebodze!
Wiedź mię wedle pragnienia na ponętnej drodze!
Rzekła, trwoga. nadzieją rzucana na dwoje,
Z drżącym sercem kołata w kochanka podwoje;
Weszła — oczy jej bładzą. chwieją się kolana,
Ujrzała Hipolita — i zbladła, jak ściana;

Usta drżą, niespokojne kołysze się łono,
I cicho wyszeptwała swą prośbę szaloną.
Młodzieniec się zdumiewa z tak śmiałego ducha,
Pyta, dziwi się, mówi — lecz Fedra nie słucha,
I w gwałtownych uściskach plotąc rączki hoże,
Nic więcej oprócz kochać m wymówić nie może.
Poznał pasierb występne macochy zamysły,
Zrozumiał lży namiętne, co z oczu jej trysły:
— Jakto! — rzekł — o występna! taż cię myśl prowadzi?
Czy cię furja ośmiela? czy ci piekło radzi?
O hańbo! o wyrodku! o zbrodnicza głowo!
Jam cnotliw, mnie nie skusić piekielną podmową!

Wyrwał się, uciekł prędko, — jego twardej duszy
Ani prośba nie zmiękczy, ni płacz nie poruszy.
Co czynisz, nieszczęśliwy? zgubiłeś się zgoła;
Czyż żądza zawiedziona pomsty nie zawoła?
Zaliż ciebie nie spotka hańba lub mogiła?
Wróć, klęknij Hipolicie, gdy ci głowa miła!
Nie wrócił, dopadł konia i pospiesznie znika.
Snadź nie wie, jako Wenus karze niewdzięcznika.
A Fedra? O! jej miłość, jej żądze i siły
We wściekłą się i w krwawą nienawiść zmieniły;
Bojaźń męża i sędziów, hańby i bezcześci,
Jeszcze bardziej zawściekla jej umysł niewieści.
A więc gubi pasierba, i skarży go o to,
Że chciał łoże ojcowe nabawić sromotą.
Wierzy łącny Tezeusz, przyjmuje potwarze,
I syna z rodowitej ziemi wygnać każe,
I jeszcze za wygnańcem tak przekłętwo ciska:
Ojcze mój! wielki władco morskiego łożyska!
Wszak jeszcze słowa bogów nikogo nie zwiodły,
Wspomnij, żeś przyrzekł trzykroć wysłuchać me modły,
Oto jedno z mych życzeń: niech mój syn zbrodniczy
Dzień dzisiejszy ostatnim żywota policzy!
Neptun łącno wysłuchał modły Tezejowe,
I wnet gotuje klęskę na młodzieńczą głowę;
A właśnie ponad morzem, w tymże samym czasie,
Pędził wygnany młodeń na żartkiej kolasie.
Wtem byk straszliwych kształtów wynurzył się z morza,
Rumaki przepłoszone pędzą na bezdroża,

Wóz pęka, młodzian pada, konie rwą w ubocze,
 Młodzian wleczon cugłami na śmierć się gruchocze.
 Oto jak się okropnie pomściła macocha:
 Kara godna każdego, kto niewiast nie kocha.
 Barses! nie droż się wielce, bo ucierpisz srodze;
 Niech ci ta moja powieść służy ku przestrodze.

ELEGJA II.

(Księga II. Elegja 3).

Quid me tam variis torques, amor improbe, curis?

Miłości! za cóż mię udręczasz tylu klęski?
 I tu, i owdzie pchniesz, tak silnie, tak zdradziecko?
 Gdzie moc? gdzie mężny duch? gdzie jest mój duch zwycięski?
 Gwoli rozkazom jej — korzę się, jak dziecko.
 I lekka głowa drży, jak z wiatrem splot pajęczy,
 Jako sitowia krzew, co fal i wiatrów słucha.
 Ja cierpię, leję łzy, ja widzę, kto mię dręczy,
 Lecz niścić się moich klęsk — nie umiem zebrać ducha.
 Mam-li w jej ucho nieść i żale, i wyrzuty,
 I mój wydatny grzech zmyć przez kłamliwe płacze?
 Spieszcie ratunek dać, ach! otom w więzy skuty,
 Stoję za progiem drzwi i próżno w nie kołaczę?
 Nie weznę ludzkich serc, nie przyjmę ich ofiary,
 Szalony! raczej skał o litość proszę ku mnie,
 Nie iżbym wzgardził świat, albo się lękał kary,
 Iż truję ludziom sen, wołając bezrozumnie,
 Lecz nie zna miary człek, kiedy ku zgubie idzie,
 A żadna rada dziś mych szalów nie rozbroi.
 Ciesz się, miłości, ciesz! triumfuj, zły Kupidzie!
 Oto już rozum mój w ruderach smutnych stoi.
 Tyś cały ziemski kraj, tyś morską okuł wodę,
 Tyś ciemnych piekieł król, tyś pan w Jowisza dworze,
 Tyś biedne serce me, za moje grzechy młode,
 Zagmatwał w mocną sieć, że wyrwać się nie może.
 Pod twardą wolą twą niszczało życie moje,
 Bez folgi jarzmo rznie i ciśnie kark żelazem;
 Niechże zapomnę mąk, niech serce uspokoję...
 Ja nienawidzę jej — dlaczegoż kocham razem?

Jakże rozliczna myśl w moich się piersiach tai!
 Tu pała srogi gniew, tu miłość bije w strony,
 Skrwawione wnętrze me, rozwlekłe w dziewięć stai,
 Żarłoczne sępy dwa szarpają swemi szpony.
 Pójdę gdzie wskaże wzrok, na drogę gdzieś kolczastą, —
 Bóg żegnaj, druhy, was, doznanych w złej potrzebie!
 Pójdę, bo łatwo dom, łatwo porzucić miasto,
 Lecz nie dość chyżo biec, by umknąć sam od siebie.
 Pójdę, bo muszę iść, pójdę w głębokie knieje,
 Pomrok dla smutnych dusz prawdziwą jest pociechą,
 Tam bujno wszelki kwiat i trawa zielenieje,
 Tam ptactwa słodki gwar rozlewa leśne echo,
 Tam psów i łowców wrzask zające trwożne płoszy,
 Tam osmolony dzik płacze się w sideł zdradzie...
 Ach! nieszczęśliwa pierś nie czuje w tem rozkoszy,
 Miłość u białych ust milczenia pieczęć kładzie!
 Do miasta wrócę znów, — żegnaj, zielony lesie!
 Przyp Kro mi w gajach żyć, precz wioski, precz mi zdroje!
 I miasto nudzi mię, i życie — umrzeć chce się...
 Zdradny miłości Bóg zamroczył chwile moje.

ELEGJA III.

(Księga I. Elegja 10).

Quid deploratae produco tempora vitae?

Za cóż przedłużam oplakane chwile
 I noszę bliznę na sercu tajemną?
 Wprzód zmiękcze skały i góry przychyłe,
 Niż pani serca zżali się nade mną.
 Póki nadzieje łechtały me zmysły,
 Szedłem, gdzie losy pchnęły mię swą siłą;
 Dziś złote widma pierzchnęły, rozprysły,
 Niemasz nadzieje, to i żyć niemilo.
 Cóż dłużej czekać? czy stępiały miecze?
 Dla biednej piersi czyż topieli niema?
 Starej miłości inak nie ulecę,
 Kiedy nadzieja pierzchła przed oczyma.
 Lecz wiarołomna! wara lżyć me prochy!
 Nie czyń im krzywdy swoim urąganiem:

Choć przez cię zginął zapaleniec płochy,
I ty okrutna śladem pójdziesz za nim.

Gdy Kallirhoe na imię Bachowe
Była zabita ofiarnym bułatem,
Ten, za którego dała biedną głowę,
Nie był jej krewnym, ni siostrą, ni bratem,
Jeno kochankiem — choć wzgardzon boleśnie,
W swoich ofiarach nie oznaczał granic;
Sroga dziewczica ujrzała zawczasie
Jak wierne serce uważała za nic.
Przy trupie jego ofiara złowroga
Umiera z sercem przebitym żelazem.
Ja wcześniej umrę, lecz nie ciesz się, sroga!
Bośmy za jedno, i pomrzemy razem.
Gdy mię przeżyjesz, o biada ci, biada!
Będę cię dręczył z najmiłą rozkoszą:
Gdy zechcesz spocząć, moja mara blada
I dzikie widma ze snu cię wypłoszą;
Gdy czuwać będziesz, tuż przy tobie stanie
Szkielet kościsty, otoczony w ciemno;
Będę cię wzywał przez głośne wołanie,
I zaklnę ciebie, byś cierpiała ze mną.
Złorzeczyć będziesz, żem umarł przez ciebie,
Przeklniesz twe wdzięki, twą duszę skalaną,
Zadymisz piekłem ofiarę siarczaną,
By mego ducha przebłagać w Erebie.
Lecz zapozwana o haniebne zbrodnie,
Sklonisz twą głowę przed piekielną władzą;
Tam twoja miłość uwieńczy się godnie,
Tam wedle dzieła nagrodę podadzą.

Gdzie Danaidy, mężów morderczynie,
Bezdennej stągwi napęłnić nie mogą,
Gdzie potępieniec Ikson nie ginie
Wplecion do koła, choć cierpi tak srogo,
Gdzie Syzyf kamień ku górze podchwytą,
Co wciąż odpada z góry pochyłonej,
Gdzie Tytyusza rozwlekłe jelita
Żarłoczne ptaki rwą swojemi szpony, —
Musisz w tę czarną dostać się krainę,

Pomnożyć liczbę potępieńczych cieni.
 Ja, niezmazany, nurt Styksu przepłynę,
 Dojdę pól świętych, gdzie żyją zhawieni,
 Gdzie niema trudów, gdzie nie jęczą z płaczem,
 Gdzie śpiew i taniec, gdzie w cichej ustroni
 Serdeczna Safo przed czułym słuchaczem
 Dźwięk miodo-płynny swojej lutnie roni.
 Z czołem obwitem w wawrzynowe liście,
 Tuż siedzi Orfej na lirze oparty;
 Dalej Lukrecy pieje uroczyście,
 Co się tak pięknie wsławił swemi karty;
 Za nimi cieniów tysiące zebrane,
 Których podobne i losy, i dusze:
 Tutaj i dla mnie miejsce zgotowane,
 Znam mą niewinność i dobrze jej tuszę.
 Giń z mego serca, mądrości jałowa,
 Co wierzysz w pogrzeb i ciała, i ducha!
 Ja wierzę w przyszłość, bo jej święte słowa
 Brzmiały w ziemskim życiu, jak dobra otucha,
 Ilekoć zmrokiem szmer usłyszysz rzezki,
 Lubo po grobowcu przemknie się cień chyży,
 Wtedy zapewne dobry duch niebieski
 Święty swój polot ku ziemi przybliży,
 Hamuje dufność, osładza złe losy,
 Strapionych ziemi dźwiga pod niebiosy.

ELEGJA IV.

(*Księga III. Elegja 3*).

Ullane mi est oritura dies tam candida...

Bogdaj mi jasnej chwili dozwolono,
 Gdy, krasna dziewo, przytulisz mi łono!
 Wolnoż to wróżyć i modlić się o to?
 Czy ty zostaniesz innemu pieśczętą?
 O! wprzód kamieniem zostałbym ochotnie,
 Nim ta wieść sroga w moje uszy grzmotnie!
 Niech mię los dręczy, niech w gruzy zagrziebie,
 Byłbym tylko cierpieć nie przez ciebie:
 Ta mi nadzieja w czarnej doli świeci,
 Ta kiedy zniknie, i życie uleci.

Jeden chce złota, i złotem niesyty,
Drugi dał prace na sławne zaszczyty,
Temu zwycięstwa miły triumf pusty,
Inszy zaufał w swój dar złotousty;
Moja nadzieja przy tobie została,
Tyś me bogactwo, tyś mój dank i chwała.
Miłość to męka, jej szczęście, jak we śnie,
Kiedy się serca kochanków zażyły,
Nic im nie znaczy Zodyak pochyły:
Czy zachód słońca, czy zorze pobledną,
Czy rok się kończy, dla nich wszystko jedno.
Ty! co me losy rozstrzyga twe oko,
Krasna dziewico, nie dręcz mię przewłoką!
Mnie nie uszkodzi złość lub zawieść czyja,
Gdy ty mi sprzyjasz, wnet wszystko mi sprzyja.
Znasz moje serce, bądźże mi łaskawa,
Nie nasza siła zgnieść miłości prawa.

Kochała czułe Zaryada łono
Piękną Odatę, raz we śnie przyśnioną,
I ona k'niemu wzajemnością pała,
Choć go jedynie w marzeniach widziała;
Kochali siebie, choć nie widząc w oczy,
Bo miłość serca odległe jednoczy.
Oboje wzrosli pod królewską strzechą,
Ona u ojca jedyną pociechą.
Próżno jej ręki proszą obce króle,
Król dziewosłębom odmawia nieczule,
Bo gwoli duszy ojcowskiej potrzebie
Tęskno mu córę wypuścić od siebie.
Więc szuka w dworskich rycerzy natłoku
Zięcia, co mógłby żyć przy jego boku.
Ufa w jej sercu i otuchę bierze,
Bo snów jej nie zna i łez nie dostrzeże.
Kazał we dworcu złotem obić ściany,
Zgotować ucztę, dobyć roztruchany,
Sprosić swe radne i rycerstwa wiele:

Dzisiaj — rzekł — święto, mej córy wesele!
Siedli do uczty wesołej przytomni.
Gdzież oblubieniec? król o nim nie wspomni;
Królowna, płacząc dziewiczych warkoczy

Trefi swe włosy i suknie obłoczy;
A tam przy stole puhar w puhar brzęczy,
Poeci pieją swój wiersz nowożeńczy.
A kiedy uczta zawrzała wesola,
Oblubienicy wołają do stoła.
Zadrżała dziewczka i zbladła, jak ściana,
Kiedy ojcowskim rozkazem wezwana
Weszła na pokój — i wstydem się żarzy
Na widok tylu nieznajomych twarzy,
Jako o wschodzie kraśniej z nad wody
Zaranna jutrznia, zwiastunka pogody.
Wstało rycerstwo z oznakami cześci,
Król ją przywitał, uściska i pieści,
I rzecze: Córko, na twe gody przyszli,
Uwesel serce i bądź dobrej myśli.
Patrz na tę młodzież, kwiat między rycerze;
Okiem i sercem przywitaj ich szczerze,
I nalej winem to złote naczynie:
Komu dasz puhar, mężem twym uczynię.
Wybieraj, córko!

Lecz nie chce małżonka,
Gdy Zaryadres w jej myślach się błąka.
Niedawno, kreśląc nieszczęśliwą dolę,
Wysłała k'niemu swe wierne pacholę.
On wtedy walczył nad Donem ze Scyty,
Gdy był tą wieścią, jak gromem, przebity;
Więc w mgnieniu oka, jak na lotnym ptaku,
Na swoim dobrym poleciał rumaku.
Brnie przez sumioty, przez rzeki, bez drogi,
Mknie się, jak strzała, rumak wiatronogi.

Ostatnie blaski zachodu migocą,
I szary wieczór zaciemnia się nocą,
Gdy on przyleciał nad zamkowe czaty,
I szedł w nieznane królewskie komnaty.
Tam od lamp jasno, gdyby w światłość dniową,
Poważni męże bawią się rozmową,
Na stołach czasie, a od nich migota
Lustr polerowny od srebra i złota.
Młodzież się cieszy, a tam gęśle tkliwe
Proszą Junony o śluby szczęśliwe,

A tu królewska zaplakana dziewa
Powoli wino do czaszy nalewa.
Poznał dziewicę, a serce odgadło,
Że to jest lube snów jego widziadło,
I szepnął do niej: Cóż stoisz niepewna?
Jam Zaryadres! — Spojrzała królewna:
Krasny młodzieniec, jako postać żywa
Tych drogich rysów, co we śnie widywa.
Więc mu podając czarę napelnioną,
Sama się rzuca na lubego łono.
Nim ojciec dostrzegł, nim zwarto podwoje,
Już rumak uniósł kochanków oboje.

ELEGJA V.

(Księga III. Elegja 12).

Ecquid ignotas abii diversus in oras.

Kiedy odjechać konieczność mię zmusza,
Gdym w obcej stronie, czy tęskni twa dusza?
Czy też, jak z oczu, tak z serca uchodzę,
Że ani wspomnisz o samotnym w drodze?
O! luba moja, czemu nie wiesz, czemu,
Jak tu bez ciebie ciężko sercu memu!
Jak dniem i nocą, za domem, daleko,
Im dalej, głębsze wspomnienia mię pieką!
Sen gdy mię skrzydły w utuleniu trzyma,
Wnet jakby smutna stajesz przed oczyma;
Sen tylko dla mnie! tą marą się trwożę!
Ach! dla innego rzeczywistość może!
Bo są czyhacze! bo czyliż zadrzemie,
Kto serc zdobyczą rozgłasza swe imię?
Napróżno Akryz miedzianą kuł wieżę;
Próżno ją zamek i zgraja psów strzeże;
Przemogły wszystko zakazane psoty:
Piękna Danaę przeniknął deszcz złoty.
Lecz marne złoto, marny klejnot wschodni:
Ty nie ulegniesz wiarołomstwa zbrodni!
Cierpi Helena i w pieklach sromotę,
Że dla zwodnika w obcą weszła flotę.

Jak chlubny triumf Penelopy czystej!
Okryta blaskiem chwały wiekuistej,
Sławi się dotąd! Ulisses pod Troją, —
Zalotni żonę kuszą, niepokoją,
Każdy z nich końca roboty jej czeka;
Ona podstępem zmówiny odwleka.
Ten wzór, o Juba! niech się w tobie ziści:
Nad wiarę, sławę, nie przenoś korzyści.
Korzyść to ciągnie żeglarza do zguby,
Co tonąc, głuchym wzniósł bałwanom śluby.
Gracz po zysk wyszedł; jakże mu to zganiam,
Gdy nocą, milczkiem wejdzie rozpacz za nim!
Mnie, ni sydońskie złotem tkane szaty,
Ni z mór indyjskich rząd pereł bogaty,
Lecz twarz, co obcej barwy nie pożyczą,
Lecz purpurowa wstydlivość dziewicza,
A nadewszystko, mnie twe obyczaję,
Twoja mię szczerłość władzy twej poddaje.
W tem jest miłości podnieta i trwałość;
Gdzie brak tych bodźców, razi okazałość,
A gdy niesława zada życiu plamę,
Tej nie osłonią i brylanty same.
Jeśli tem piśmem obrazić cię mogę,
Przebacz! wszak miłość rodzi zawsze trwogę.
Wiem, że w mem sercu wznieca ją daremnie,
A więc obawy podchodzą tu ze mnie:
Lęka się mąż twój, bo cię mąż twój kocha,
O! droga moja! moja ty pieszczocha!
Niech też wędrowiec przeziębły na Żmudzi,
Wzajemną pamięć w sercu tweim obudzi!
Pomnij co chwila, że w tej radbym dobie
Wrócić, że duszą tam jestem, przy tobie!

Przełożył Szymon Konopacki.

10 lipca 1847 r. Ławrynowce.

ELEGJA VI.

(Księga III. Elegja 46).

Nuntius advenio vobis, audite, quellae.

Gońcem do was przychodzę, dziewice! Słyszycie?
Nie wiem, czy słowa moje żywo was zadrasną;
Lecz co mówię, to prawda, klnę się na me życie.
Jako w nocy jest ciemno, a w południe jasno.
Oto młodzian zaszczytny, krasnego oblicza,
Dzielny piórem i słowem, znany w naszej ziemi,
Dudziec, mówca u królów, nadzieja dziewicza,
Związał się już na zawsze węzły małżeńskiem.
Jedna wzięła, co wszystkie pragnęłyście może,
Wiatr rozchwiał, jak tumany, wasze chęci skromne!
Gdzież wiara, gdzie jest stałość, gdzie są pomsty Boże
Za sterane nadzieje, kłątwy wiarołomne?
Folgujcie troskom serca, w darennej żałobie
Niech wam spokojem Wenus ukołysze głowę.
A ty, dziewico krasna, czołem, czołem tobie,
Żeś była godna posiąść serce Dudziczowe!
To serce, co bywało jak warownia mocna
Na Francuzek i Włoszech zalety figlarne,
Pozyskałaś na zawsze, dziewico północna,
Widział snadź, żeś tak jasna, jak śniegi polarne.
On dla niej wzgardził dolą bogactwa i cześci,
Bo nad cześci, nad skarby przekładał jej łono;
A ona gwoili jemu rzuca bez boleści
Uściski rodzicielskie i ziemię rodzoną.
Skądże zacz te zapaly w mężu i kobiecie?
Czyliżby prawdę starzy mawiali Grekowie,
Że ten wcale niebacznie, nierozumnie plecie,
Kto jednego człowieka całym człkiem zowie,
Bo jeno połowicę sam sobą stanowi?
Słuchajcie! Stara powieść podawa za pewno,
Że póki miłość była nieznana człkowi,
Żył jako leśne zwierzę, jak nieczułe drewno.

Bez słodyczy społecznych, ci biedni nędzarze
Przepędzali w dziczyźnie swój żywot surowy:
Na pojedynczych barkach nosili dwie twarze,
Jedną wstecz, drugą naprzód obróconą głowy;

I miewali rąk czworo ci potwory leśni,
Biegali krokiem szybszym, niż jelen lub łani;
I byli to ogromni siłacze cieleśni,
Wszechmocni w swojej woli, w chęciach wyuzdani.
I w hardej swojej pysze, jak dawne olbrzymy,
Rokosz przeciw niebiosom podjęli hałaśnie.
Więc się radzą bogowie: Co zacz uczynimy?
Jeśli zniszczym rokoszan, toć plemię zagaśnie!
Jako więc upokorzyć zbuntowane plemię,
Nie mogła się uradzić rada jednakowa;
A wtem Jupiter, ojciec i nieba, i ziemie,
Dał słyszeć uroczysty grom swojego słowa:

 Bądźcie spokojnej myśli! otuchę wam głoszę,
Bom już wynalazł środek bezpieczeństwa gwoli.
Ja i ziemię, i niebo w mojem sercu noszę,
Ziemia się nie wypłeni, a niebo wyzwoli.
Harde syny Japeta k'niebu się nie zbliżą,
Moja prawica śmiałków na dwoje rozsiecze!

 To rzekł i snom rozkazał, by leciały chyżo,
Rzucić twarde uśpienie na oczy człowiecze.
Te różdkę umoczywszy w letejskim potoku,
Deszczem usypiającym kropią ludzkie czoła.
Wnet senne odrętwienie zamżyło w ich oku,
I zastygłszy w drzemaniu, polegli dokoła.
Jako gdy bujną trawę podstrzyżesz żelazem,
Trawa się jeno chybnie i w przekosy kładzie,
Tak mężowie pośpieni układli się razem,
Sen, jako mór, przebieżał po całej gromadzie.
Tymczasem Jowisz myśli wykonywa swoje:
Z Febem obchodzi sennych, i przy każdym stawa,
I mieczem każdą postać rozplata na dwoje,
Jedną głowę, dwie ręce każdemu odkrawa.
Febus idzie za ojcem po całej gromadzie,
Jak lekarz pilno staje nad każdą poławą,
Na rzniętych tułowiszczach swoje ręce kładzie,
I namaszcza balsamem, i ulecza zdrowo.
I oto znów do życia powróciła tłuszcza;
Jowisz wzniósł się do niebios na współbogów łono,
A kiedy ludzkie ciała twarde sen opuszcza,
Zdumieli się, ujrawszy, jako ich zmniejszono.

Biegna, łączą się z sobą, trwożni i ciekawi,
 Każdy swej połowicy najtroskliwiej szuka;
 Ta żądza niespokojna dzień i noc ich trawi,
 Pokąd łaskawej Wenus nie przyszła nauka.
 Ta wszystkie dawne serca złagodziła pięknie.
 Dodała dzikiej żądy słodycz tajemniczą;
 Stąd miłość, w której dusza zdrowieje i mięknie, —
 Cóż za dziw, że miłości płci obie tak życzą?
 Człek rozkrojon na dwoje — a jakież więc dziwo,
 Że szuka swej połowy choć w miejscu dalekiem?
 I nasz Dudzicz, zaiste, winszujemy życzliwo,
 Nie jest już połowicą, ale całym człkiem.
 Znalazł drugą część siebie, przebył ostre ciernie.
 Z tej doli, jak przyjaciel, cieszę się niezmiernie.

ELEGJA VII.

(Księga IV. Elegja 3).

Quae vaga curricula, o Firleu, quae reampla theatra.

Nie amfiteatr, nie wóz zapaśniczy,
 Nasze, Firleju, zadowoli oczy:
 Nam bardziej k'sercu widok tajemniczy,
 Ponętny widok natury uroczej.
 Czyż malowidło spodoba się tyle,
 Jak kwiat, ocienion na barwy tysiące?
 Czyż mocniej błyszczą kryształ, beryle,
 Nad majską rosę, co błyszczy na łące?
 Pochyle wzgórze, lub bór gęsto-liści,
 Lub błędna fala, co w ciągłej podróży
 Nie samej jedno przyjemności służy,
 Lecz niesie piękne owoce korzyści.
 Stąd człek śmiertelny pożywienie bierze,
 Gdy krzepkim pługiem rźnie skibę na roli;
 Stąd miały paszę bydła i zwierze,
 Co wysługują człowiekowi gwoili.
 Same pustosze dzikie i nieżyzne
 Swojami skarby zadziwią najśłodziej;
 Bo niech-no oracz skarczuje nowiznę,
 Na wagę złota swój pot wynagrodzi.

Ani perłowe konchy oceanu
Nie są tak cenne, jak te sterty zboża:
Dań nieprzebraną niosą swemu panu,
Jako strumienie i rzeki do morza.
Patrz na wysoką firmamentu nawę,
Jak ci się wyda za pogodną nocą,
Kiedy Hyady, Plejady złotawe
Iskrami ogniów na stropie migocą?
Tu Oryona płomieniste kreski
Straszą żeglarzów, bo tu grozi burza;
Tu ćma gwiazd inszych; firmament niebieski,
Szparko wirując, w zachód się ponurza;
Tu zodyacalnych pięć dopatrzysz zorzy,
Tu błędne gwiazdy w ruchawym płomyku...
Z tych kołowrotów cały rok się tworzy,
I pasmo wieków bez końca, bez liku.
A w środku słońce żarzy się i świeci,
Na bystrych koniach pomyka się cudnie;
Z niego pogody, burze i zamieci,
Mroźliwa północ i skwarne południe.
Księżyc, co ciągle to stary, to nowy,
To w jasnej pełni, to w półnowiu bladym,
Nie bez przyczyny, ani bez wygody
Stworzon tak bliskim dla ziemi sąsiadem:
Aby, na twarzy mając przemian tyle,
Ściągnął na siebie uwagę człowieka,
By człowiek, w ziemskim zakurzony pyłem,
Uczył się myśleć nad niebieską rzeczą.
Poznaj sam siebie, do dawnego Greka
Czyż to źle rzekli delficcy wróżbici?
Poznaj, Firleju, przyrodę człowieka,
A dość twój umysł zajmie się, nasyci:
Jak różne kształty natura wydaje,
W jak różną postać oblekła swe dzieci,
A każda postać ma swe obyczaje,
Cóż więc dziwnego, że w tyle stuleci
Ledwo trzech drużby dojrzano oznaków?
Po różność serca zgody nie wytrzyma.
Gdzie różność chęci, gdzie duch niejednaków,
Tam perła węzła przyjaznego niema.

Czytasz, Firleju, o Sfinksach, lub Scylli,
Lub o Centaurach — nie śmiej się z tej zgrai;
Ci cudowiska, choć nigdy nie żyli,
Lecz w nich nauka treściwa się tai,
Że człek hołduje dwoistej przyrodzie.
Patrzaj na ludzi, na ich twarz namiętną:
Tego gniew burzy, tego żądza bodzie,
Gdzie tu rozwaga? gdzie rozumu piętno?
W żądy namiętnej niebaczni i dzicy,
Pamięć na siebie zatracamy w gniewie,
Jak koń szalony, zerwan z uździenicy,
Leci, ucieka, choć sam drogi nie wie,
Pędzi, cwałuje, lęka się i płoszy,
Już go nie pojąć, — i ludzka czereda,
Gdy hasa w ślepym popędzie rozkoszy,
Pewno się wstrzymać i ocuglić nie da.
Daremnie nosi człowiecze nazwisko
Ów, co hołduje popędowi chęci;
Jest to Centaur, zlepek, cudowisko,
Ciało ma ludzkie, lecz umysł bydlęci.
Czyż z tymi ludźmi w jakimkolwiek czasie
Godzi się równać wielkich mężów łona?
Czyż wszystko człowiek, co człowiekiem zda się,
Co nosi głowę, ręce i ramiona?
Nie ci są męże, co ciałem odziani,
A ducha swego zwierzęcą sromotnie;
Mąż jest — kto idzie, gdzie rozum hetmani,
Kto fałsz i prawdę rozpoznawa lotnie,
Kto z dróg występków dróg cnoty dochodzi,
I kto następność z początków obliczy,
Takiego człeka mężem zwać się godzi.
Kto się w tych rzeczach ustawicznie ćwiczy,
Narzucił jarzmo swym żądom na szyję,
U niego cnotą sprawiedliwość święta, —
Taki właściwie życiem ludzkim żyje
I na szlachetność ludzkiej krwi pamięta.
Za słońcem morzem, gdzie przestrzeń daleka,
Gdzie twarde prawa śmierci i boleści,
Gdzież jest zacniejsze zwierzę nad człowieka?
A czemuż człowiek, jak zwierz się bezczęści?!
Świat dla nas stworzon, z darami swojemi!

Zwykliśmy mówić — lecz wątpię coś dużo:
Patrz na użytek powietrza i ziemi,
Wszak to człekowi i bydłom służą.
Gdy ród stanowi te szczeble wzajemne,
Nie bierzmy jeszcze zuchwałej otuchy:
Jesteśmy wyżsi nad zwierzęta ziemne,
Lecz wyższe od nas nadobłoczne duchy.
Gdy tworząc światów Bóg łaskawy tyle,
Chciał dać pierwszeństwo człowieczej przyrodzie,
Za cóż tygrysy, lwy i krokodyle
Stworzył na ziemi gwoli naszej szkodzie?
Przecz głód nas nęka? przed zarazą drżymy?
Przecz dajem śmierci daniny ofiarne?
Mijam krainy wiekuistej zimy,
I kędy słońce promienieje skwarne;
Mijam przepaści, i morza, i skały,
Wolę godziwsze, bezpieczniejsze żniwo.
Czemuż grunt ziemski ciernisty, stwardniały,
Tak się oraczom stawia uporczywo?
Człowiek, szarpany od dzikiego głodu,
Nie szczędzi siły, nie patrzy, że praca:
Rznie suchą skibę, — ileż to zawodu!
Ileż się razy trud w niwecz obraca?
To susz lipcowa nasze morgi pali,
To deszcz rozgrzezi, to wiatr je ostudzi.
Źle więc, Firleju, źle mówią zuchwali,
Że cała ziemia stworzona dla ludzi.
Powiedzmy raczej, że Ojciec, co w niebie,
Rządząc się swoją Opatrznością Boską,
Swoje ma cele, dla samego siebie
Ulepił ziemię prawicą mistrzowską.
Ażeby wydać znakomite dzieło,
Godne swej siły, mądrości, dobroci.
Gdzież co większego nad ten cud stanęło?
Gdzie mistrz biegleszy?
On miłym okiem po całym zakresie
Swojemu dziełu przygląda się bacznie.
U nas, gdy bogacz wielki pałac wzniesie,
Już go wspaniale przyozdabiać zacznie,
By odpowiadał znaczeniu i cześci,
Świadczył przychodniom bogactwa książęce;

Stare swe skarby w komnatach umieści,
Złoto, marmury, oręż i wieńce,
Konie i służbę, od tego dom pański
Ma swą wygodę, stąd cześć jego znamy.
Tu widzisz: bogacz, jak król afrykański,
Słonie postawił na straży u bramy,
I w swoim sercu pyszni się i cieszy.
Mniema, że będzie wiekować budowa.
Śmiejesz się z niego bo czyż nie rozśmiesz
Taka chępliwa, nierozważna mowa?
Chyba opilcy śni się nie do rzeczy,
Że świat na jego stworzony wesele,
Kiedy sam rozum i natura przeczy,
I świat wskazuje, że wyższe ma cele.
Tak! wyższe cele: ten przestwór daleki,
To Boży kościół, zbudowany gładko;
A my śmiertelni i przelotne wieki
Jesteśmy Pańską służebną czeladką.
Ziemia jest Bożą, i ku Bożej chwale,
Jeno z niej zażyć na pożytek dano;
Wzięliśmy od niej rozliczne metale,
Na których służby nasze wypisano:
Żelazo czarne, jako rola czarna,
Bo niem się kroi chleborodna niwa.
Miedź różnie służy, więc w rozliczne ziarna
Jak Boże słońce jasno połyskiwa;
A srebro zasię dane człowiekowi
Wyciągać jady, dopomagać w boju.
Złoto świat rządzi i prawa stanowi,
Daje bogactwo i żywot w spokoju.
Kto bez łakomstwa, lecz jak chce przyroda,
Szuka z tych darów właściwej korzyści,
Swojej ojczyźnie prawych ozdób doda
I rozkazanie najwyższe uści.
Śmiałe nadzieje niech rokuje wcześniej,
Śmierć go postawi na prawicy Bożej;
Lecz w czyich ręku metal się zapleśni,
Chciwiec — ojczyźnie blasku nie pomnoży!
Jako czmieł w pszczołach, Pospolitej Rzeczy
Będzie szkodnikiem, cały wiek przejęczy;

A w jego trupie ropucha zaskrzeczy,
 A jego duszę furja udręczy.
 Bo nasza dusza słodko lub dotkliwie
 Na całą wieczność przetrwa w swoim bycie;
 Bo gdy Bóg żywie, sprawiedliwość żywie.
 A jednak często na ludziach widzicie,
 Że pocziw znosi dolę nieszczęśliwą,
 Że występnemu sprzyjają zamiary.
 Więc Bóg niesłuszny? — O nie! jako żywo!
 Indziej jest wieczność nagrody i kary.
 Nad żywym ciałem nie spełnia wyroku,
 Lecz kiedy ciało skazitelne złożym,
 Gdy wielka przyszłość da się widzieć oku,
 Wtedy ulegniem wielkim sądom Bożym.

PIEŚŃ ZWYCIĘSKA.

(EPINICION).

DO STEFANA BATOREGO, KRÓLA POLSKIEGO, PO ZWYCIĘSTWIE
 I ODZYSKANIU INFLANT W R. PO NAR. CHR. 1582.

Doride cum cythara et cum dulce sonantibus odis.

DWUNASTO-WIERSZ (DUODENARIUS).

I.

Weź, muzo, lirę, zgromadźmy się w chory,
 Hymn słodko-brzmiący zanuć, jak mogę!
 Oto powraca wojenny Batory,
 Więc czołobitnie zastąpmy mu drogę.
 On nie był w próżnych turniejów obozie,
 Szukać szermierskiej u Frygijców chluby,
 Nie na zwycięskim zapaśniczym wozie
 Dąży do kraju i małżonki lubej;
 Ale powracać od Dunaju musi,
 Wrogów pierzchliwych złamawszy puklerze;
 Dobywszy szturmem stu grodów na Rusi,
 Wiedzie swe wojsko na ojczyste leże.

II.

Ten mąż rycerski, ten zapaśnik Boży,
I radą wesprze dzieło przedsięwzięte,
I szczerze chrobrej prawicy dołoży.
Starłszy kły czasu ostre i zawzięte,
On starą chwałą olimpijską błyska;
Znikły istmijskie gonitwy olbrzymie,
Umarłych w Delfach Febowe igrzyska,
Nemejskich szermów nieznane już imię.
Trawą zarosły cyrki zapaśnicze;
Lecz serce mężów, co na nich walczyli,
Nie zmarło światu, — rycerskie oblicze
Jeszcze do naszej doczekało chwili.

III.

A król mój, wielki przed innemi wodze,
Tak jasny szatą bohaterskiej sławy,
Że i Mars przed nim ustąpi na drodze,
I znają męże dank jego buławy.
Ale krom tego, jak inni rycerze,
On nie pogardza i nauk przysługą:
Z nich i cześć swoją, i pożytek bierze,
One mu służą i będą na długo.
A jakaż ludzkość w tych piersiach się chowa!
Jaka łagodność przy takiej odwadze!
Gdybym przytoczył i czyny, i słowa,
Rzekłbyś, że chyba pochlebstwami kadzę.

IV.

Ani ten w wielkiej Homerowej odzie
Sławion Ulisses omijał zasadzki
Tak przenikliwie, przy wszelkiej przygodzie,
Ani tak baczenie, jako król sarmacki.
Nie tak Ulisses haczny i ochoczy,
Bieżał od morskich potworów przejęty,
Nie tak zamykał i uszy, i oczy
Na głos Syreny i na jej przynęty,
Jako nasz Stefan, co serce zawarłszy,
Gdzie wszelka rozkosz, gdzie wczas i zabawa,
Swoją prawicę i umysł monarszy
Na twarde prace ochoczo podawa.

V.

Jak, na ojczystej będąc jeszcze niwie,
Szczerze pracował w wojowniczej szacie,
Na jakich wojnach hetmanił żarliwie
W krwawym pomiędzy królami rozbracie,
I jako z pięknych korzystał przykładów
(Bo w jego rodzie wodze i książęta,
Bo on Attylów, bo wnuk Huniadów),
Kto inny może dokładniej spamięta.
Ktoś w późne wieki te dzieła wysłowi,
Pomnieć je będą i cudzy, i swoi,
Przeszłość, i przyszłość — kiedyś śpiewakowi
Wdzięczne wspomnienie do serca się wpoi.

VI.

Zwyciężyć zamach zawiści piekielnej,
Jest to rzecz godna Herkulowej siły:
Tobie jednakże, o Batory dzielny!
Tę wielką własność losy przysadziły.
Gdzie zamierzyłeś, wraz doszedłeś celu,
Dali ci serce Polacy z ochotą,
Boś w twoim kraju bogatszy od wielu,
Każdego swoją przewyższyłeś cnotą.
Dank ci złożyła Sarmacya cała,
Kiedy, po króla wybornego zgonie,
Głośnym okrzykiem ciebie zawołała
Na swój sierocy tron po Jagiellonie.

VII.

Prawa królewskie przeleliśmy na cię,
Obiór ku twojej przechylił się szali,
Panowie rada i naród w senacie
Najpierwej imię twoje zawołali.
I wszystkie ludy cnej sarmackiej ziemie
Słowo wyborców stwierdziły zaszczytnie,
I w pomazańców Bożych dyademie
Rycerskie czoło promieni się, kwitnie.
Głośno po kraju od końca do końca
Radosne wieści powtórzyły uście,
Żeś ty ogłoszon, jako nasz obrońca,
Żeś panem naszym wybran po Auguście.

VIII.

Nie będą pono winić mię ziomkowie,
Że jeno gwarzę słowy bezładnemi,
Jeżeli k'rzeczy po krótcie wysłowię,
Jaki naówczas był stan naszej ziemi.
Bo twoja dzielność wyraźniejszą stanie,
Cześć dla mądrości twojej się obudzi,
I przysła światność, o chwalebny panie!
Będzie jaśniejsza dla potomnych ludzi.
Jakież nieszczęście nad nami wyrosło!
Jak od niezgody umierała prawie
Ziemia lechicka, kiedy, wzięwszy wiosło,
Jąłeś sterniczyc na sarmackiej nawie!

IX.

W jak krótkim czasie zniszczyłeś rozruchy,
Krzepkiemi cugle osadziłeś zgraję!
Wszedłeś, jak gwiazda życzliwej otuchy,
Co, skoro błysnie, już burza ustaje,
Już płyn, okręcie, na morzu swobodnie!
Gdy berło nasze z ręki Jagiellonów .
Śmierć wytrąciła, zeszli się przychodnie
Zagarnąć spadek opuszczonych tronów;
Z kraju Francuzów przyszło księżę zacne,
Starowny Henryk — długo się kłopotą,
Aby, przemogłszy umysły nieładne,
Pozyskał na się rozdzielone wota.

X.

Siła pracował: przeciwnych niemało,
Nie wszystkie serca szły za nim spokojnie ;
Nie wszystkie dusze zarówno łechtało
Rzęsiste złoto, co rozsiewał hojnie;
Nie każdy wierzył, że wypełniać zacnie
Co przyobiecał; dosłyszałeś w kole,
Jako niemądrze i jako niebacznie
W ręce Francuza składać Polski dołę.
Lecz gdzież do tyła ostry wzrok człowieczy,
Coby w przyszłości wyczytywał snadnie?
Lub coby, patrząc na pierwiastek rzeczy,
Zdołał wywróżyć, co nadal przypadnie?

XI.

Bo w tylu klęskach dźwignionych na sobie,
Co na Sarmatów cisnął los zajadły,
Wśród niebezpieczeństw, jakowe w tej dobie
Z Walezyuszem na Polskę przypadły,
Żaden poeta lub wieszcz zawołany,
Żadnaby mądrość nie zgadła głęboka
Tego: co przyjdzie, że ów król wybrany,
Co ledwo siedział na tronie pół roka,
Nosi w swem sercu tajemne zamiary —
I w ciemnej nocy, omyliwszy czaty,
Zrzecze się berła i pańskiej tyary,
I ujdzie z tronu, jak więzień z za kraty.

XII.

Jak straszna wróżba, ten rozgłos się toczy
I w całej Polski obiega przestworze, —
Srodzy mężowie, do swarów ochoczy,
Znowu do boków przypasali noże.
Lud się rozdzielił na stronnice szyki,
Czerń w rozmaite rozrywa się strony,
Nie szczędzą mieczów i groźb zapaśniki,
Nie mogąc spoić myśli poróżnionej.
Jedni chcą losy znów ważyć na szali
I nowy obiór głosi czerń zhukana,
Gdy drudzy, w słowach i czynach wytrwali,
Sklaniają serce na dawnego pana.

XIII.

Jedni chcą sejmu, bo już klęski syci,
Drudzy upornie roją swe zamiary.
Wśród tych niesnasek pocziwi Lechici
Ojcowski zwyczaj przypomnieli stary:
Złożyli wiece — tam w rozwadze ścisłej
Jedni z Francuzem trzymają z ochotą,
Drudzy skłaniają wyborców umysły
Na dom cesarski, wsławiony swą cnotą.
Wątpliwa wszakże, czy szorstkie pokrzywy,
Czy kwiatby zeszedł na ojczyste łąny,
I jaki owoc, dobry, czy szkodliwy,
Na naszym gruncie zostały posiany?

XIV.

Siła obradnych, i młodszy, i starszy,
Za rodakami swe wota stanowi,
I radzi radę, aby tron monarszy
I dyademę przysądzić Piastowi.
Rady przeciwne — jak wichry we fladze,
Od których żagiel rozedrzyć się gotów, —
Aż inni w końcu, tusząc w swej odwadze,
Skwapliwie spieszą do twoich namiotów.
Nie śpią francuscy gromadą zuchwalczą,
Nie śpią cesarscy w tej stanowczej chwili,
Choć się wzajemnie spierają i walczą,
Choć się ich serce k'jednemu nie chyli.

XV.

Cesarz rozkazał — więc poszli w zawody,
Zebrali wojska dzierżone w zapasie...
I cóż? Sarmaci dalecy od zgody
Dwoistych królów obwołali dla się:
Jedni cesarza, chlubę Austryaków,
A drudzy ciebie, bo znając cię z młodu,
Mogli wywróżyć z nieomylnych znaków,
Jakoś sprawował berło Siedmiogrodu.
I obojej strony rozbiegły się posły,
I obu królów ubierano w togę,
I w miastach polskich jęki się rozniosły,
I wszystek naród uderzył na trwogę.

XVI.

We dnie i w nocy naród niespokojny
Drżał, wróżąc klęski na ojczystej niwie;
Obraz domowych pożarów i wojny
Lękliwym oczom stawiał się straszliwie.
Bo już z obu stron obozy wytknięto,
Z obu stron wojska gromadzi się siła,
I tu i owdzie warownie zajęto,
Miedziana surmia wojnę ogłosiła.
Struchlał po wioskach lud wojen świadomy,
A mało licząc na bezbronnej strzesie,
Zabrawszy działwę i rzuciwszy domy,
Uszedł, nie bacząc, gdzie noga poniesie.

XVII.

Tutaj widziano zacność wiekopomną,
Jakiej przykładów w dziejach nie znajdziecie:
Królu! godzienieś, by twą duszę skromną
Jak przynależy opiewano w świecie.
Gdy bowiem państwo, troskliwe o władzę
I przez zazdrosnych zabiegów niemało,
Mając ulegnąć cesarskiej powadze,
Na jego stronę swe serce skłaniało;
Ty, pełnym żaglem pływając wesoło,
Twój silny rudel wstrzymałeś na chwilę,
I sam zwolniwszy twej fortuny koło,
Chciałeś zaniechać jej obrotów tyle.

XVIII.

Widziała ziemia, jakieś w dobrej myśli
Chciał cesarzowi ustępować danku!
Gdyby on jeno szedł ku dziełu ściślejszemu,
Nad swemi prawy czuwał bez przestanku;
Ale, dość mając królewskich oznaków,
Puścił beczynn timer dalszych starań wodze,
I sam nie przyszedł po berło Polaków.
I ciebie, męzu, chciał wstrzymać na drodze.
Cieniem królewskiej władzy i imienia
Chciał puścić tuman w twe rycerskie oko:
Rychło postrzegłeś, że nie w tor sumienia.
Jedno chciał działać zdradziecką przewłoką.

XIX.

Oziębłe serce dostrzegłszy z daleka,
Nie chciałeś czekać w niewolniczym tłumie;
Bo pocóż łaski świadczyć dla człowieka.
Po którym nie znać, że wdzięcznym być umie?
Czyniłeś wszystko dla przyjaznej zgody;
Lecz skoroś widział, że przyjaźń umknęła,
Więc się ważywszy na wszelkie przygody,
Jąłeś prawicę do wielkiego dzieła.
W kierunku losów puściłeś swe nawy.
Z fortunnym wiatrem twój żagiel się śliznie,
I załatwiwszy doma twoje sprawy,
Poszedłeś, królu, ku nowej ojczyźnie.

XX.

Szedłszy nawiedzić święte progi Boże,
Serdecznieś westchnął do rodzinnej chaty,
I wzrok ostatni siejąc po przestworze,
Takeś jej mówił: O moje penaty!
Piastunko moja, rodzicielska ziemi!
Żyzna w swych plonach, bogata. gościnna,
Sławna po świecie mężami wielkimi,
Nie żal mi ciebie, o ziemio rodzinna!
A jeśli losy życzliwe pozwolą,
Że kiedyś stanę przy zaszczytnym kresie,
Sława, co wtedy będzie moją dołą.
Do macierzystej ziemi się odniesie.

XXI.

Bo żądny czynów ku chwale żywota
I marną drzemkę mający w ohydzie,
Rvstro polecę gdzie zawezwie cnota
Nie patrząc trudów, co pokonać przyjdzie!
Bedę pracował i ręką, i głową.
Bo mię wybrali cni obywatele. —
Nie gwoli biesiad, nie na taniec zową.
Widzę rozruchy, ale się nie trwożę:
One do czynu wołają me męstwo
Bo gdzie się snadniej laur zaszcześcić może,
Jako na polu, gdzie krew a zwycięstwo?

XXII.

Jak wyrzucona kostka mojej doli!
Błogosław Poże, mi iść potrzeba!
I poświęć ścieżki moim stopom gwoli!
Tak, zacny królu, wołałeś do Nieba,
To był twój pacierz. Ze słowy takimi.
Kornie klękawszy, jak syn najżyczliwszy,
Daleś całunek macierzystej ziemi;
Potem, świątynie Pańskie nawiedziwszy,
Na grzbiet rumaka poskoczyłeś rażno,
Co stojąc tętni w swe kopyta chyże,
Przeżuwa, brzęcząc swą trzęzłą żelazną,
I parska w nozdrza, i uszami strzyże.

XXIII.

I poniósł pana — znał się na swej chwale,
Czuł kogo niesie, iskry miał na oku,
I piękną głowę podnosił zuchwale,
I w pełnym ognia sadził się podskoku.
Ciebie natenczas, pożądany panie,
Otoczył orszak wybrany na sejmie;
Słyszałeś zewsząd życzliwe wołanie,
A sameś wszystkich pozdrawiał uprzejmie.
Widna życzliwość na pańskiej osobie,
Słowem i wzrokiem radowała z dali.
I tak w oznakach serdecznych ku sobie
Wciążęście długą podróż odbywali

XXIV.

Zaledwoś przebył skaliste Karpaty
I wszedłeś w pola — już gońcem po przedzie
Wieść pożądaną, że monarcha jedzie,
Po ziemi polskiej ogłosiły czaty.
I rakuszańskie nadzieje i plany
Ujrzano, jako dożyły swej straty;
Od dawna bowiem ten odgłos był znany,
Że ów zostanie panem nad Sarmaty
I w płaszcz szkarłatny będzie obleczony,
Kto pierwszy stanie na naszej granicy.
Tak mówił naród i obiedwie strony,
Tak poradzili sami przeciwnicy.

XXV.

Tyś miał przeprawy. gdzie rzeki się sączą,
Góry i skały niedostępnych szczytów;
Lecz je przebyłeś fortunnie i rączo,
I pierwszyś stanął na ziemi Lechitów.
A on, któremu przybywać tak snadnie,
Miedzowy sąsiad i tak chciwy cześci,
Nie przybył dotąd; któż jeszcze nie zgadnie,
Kogo fortuna i niebo obwieści?
Tak i cesarscy szeptali nad cudem,
Bo wyrok Boży jasno był widziany;
A ty, okolon witającym ludem,
Wchodziłeś do nas, jak gość pożądany.

XXVI.

Gdzie polska ziemia i gdzie polskie miasta,
Głośnem wołaniem przyjęto cię wkoło:
Lud obwoływał, i mąż, i niewiasta,
I rzeźwa młodzież głosiła-ć wesolo.
Skołoś się zrównał z baszty krakowskiemi,
Coraz się okrzyk powiększał ochoczy;
Wszystek lud z miasta i kwiat polskiej ziemi
Tłumnie wybieżał, by zajrzeć w twe oczy.
Tu lekkie włócznie. tam mżą się puklerze,
Tu błyszczy złoto, brylantów potęga,
Tu wylatują na koniach harcerze.
Tu piesze wojsko wije się, jak wstęga.

XXVII.

A wszystkie hufy i seciny dworskie,
Z orły, z proporce, swe rumaki toczą, —
Owdzie poważne koło senatorskie,
I stan rycerski, z młodzieżą ochoczą.
I zacna szlachta, każdy pod swym znakiem,
Na pełnych ognia dzianetach przyspiesza,
A potem wojsko — i cała ta rzesza
Z twoim podróżnym łączy się orszakiem.
I mąż wyborny ze starszyny koła.
W swych senatorskich współbraci osobie,
Wita twe przyjście, i z narodem woła,
Dziękuję Niebu, wyrokom i tobie.

XXVIII.

I prosi Boga, by twoje przybycie
Było dla ciebie fortunnem najdłużej.
By Polska stała na świetności szczycie,
Jakowej żąda i jakowa wróż.
I której wcale dobry już zadatek
Widać w narodzie za twojemi dzieły, —
I prosił Boga. by ci naostatek
Oddał chwalebna stolicę Jagiełły.
Gdzieby twa. mezu zajaśniała słowa
I cnota wyszła na widniejszy przedział.
Słuchałeś mówcy, i na jego słowa
Takeś do ludu całego powiedział:

XXIX.

Że nie dziecinna chęć k'pańskiej tyarze
Przywiodła ciebie do Krakusa grodu;
Żeś przyjął berło nie w inszym zamiarze,
Jak gwoli trudom na korzyść narodu;
Że lud tak dzielny snadź wiedział, dlaczego
Uczynił wybór, mimo tylu osób;
Że w tym wyborze narodu wszystkiego
Prawicy Bożej nie dojrzeć nie sposób;
Żeś szlachetnemu narodowi gwoli
Gotów królować na wskazanym tronie;
Nie śmiejąc Bożej przeciwieć się woli,
Ochoczo głowę poddawasz koronie;

XXX.

Z dalekiej, starej siedmiogrodzkiej strony,
Przebywszy Tatrów krzemieniste szczyty,
Żeś przybył do nas, losom ukorzony,
Stanać na czele Rzeczypospolitej.
— Bodajby (rzekłeś) dozwoliły nieba,
By nigdy Polsce płakać nie potrzeba
Mego obioru! — Rzekłeś, dobry panie,
I znów cię rada drużyna otoczy.
Ty w środku innych, jak cedr na Libanie,
Jako bohater, uderzałeś w oczy.
Takiej postaci, takich rysów dzielnych
Ledwo że który bywał ze śmiertelnych.

XXXI.

I takeś, mężu, przez bramy olbrzymie
Wszedł na szlachetną stolicę Polaków;
A lud gromadny obwołał twe imię,
Co się radośnie odbiło o Kraków.
Tu cię wwiedziono w królewskie podwoje,
Tuś sobie wytchnął, i zebrawszy myśli,
Wznowiłeś w sercu całe męstwo swoje,
I w kole stanów złączonych najściślej
Wzniesiono hymny Bogu poświęcone,
I z obrzędami w uroczystej chwili
Dyamentową i złotą koronę
Na pomazańca Pańskiego włożyli.

XXXII.

Królewska dziewa, krew po Jagiellonie,
Jeszcze zwiększyła radość pożądaną,
Godna tych pochwał, co w dalekiej stronie
Słyszałeś, królu, jak jej oddawano.
Dana-ć w małżeństwo wolą swego ludu,
Chcąc zaprzymierzyć z tobą związek ścisły,
Dość położyła zabiegu i trudu,
Aby zespolić niechętnie umysły.
Pod jedno hasło zbratać wszystkie stany,
K'jednemu skłonić wszech rodaków łono,
Wrócić krajowi spokój pożądaný,
Pod jednym berłem i jedną koroną.

XXXIII.

Choć bowiem ludzi niepomierne garstka
Za twem przybyciem obwołała ciebie,
Wszelak i strona niechętna cesarska
Przygotowała siły ku potrzebie.
Wielu z rycerstwa nieugiętych w trudzie
Nie chciało zdań swych zaniechać ochoczo;
Każdy się spodział, że cesarscy ludzie
Z niemałą siłą na ojczyznę wkroczą.
Wątpli nadzieje i występne żądze
Jeszcze ich serca trzymały w otusze;
Rozsiane wieści, sypane pieniądze
Jeszcze do reszty zatwardzały dusze.

XXXIV.

Tę nieżyczliwość i rozbrat swawoli,
Ten zapal czerni, te nadzieje tłumu
Zdołałeś ująć prawo i powoli
Mocą twojego męstwa i rozumu.
Bo niceś pysznie, niceś zapalczywie
Nie chciał brać przed się, lecz z ludem, jak z dzieckiem,
Działałeś mądrze, łagodnie, życzliwie,
Jako ów sternik, co na morzu greckiem
Zaskoczony burzą, nie tuszył w odwadze,
Nie łajał gromem i wichrom zuchwale,
Ani, pływając naprzeciwko fładze,
Na sztych swej włóczni chciał przebijać fale;

XXXV.

Lecz zwalczał burze przez umysł wytrwały:
To zwinął skrzydła rozwieszonych żagli,
To puścił okręt kędy fale gnały,
To schylił maszty, to w biegu się nagli.
I tak cudami wytrwałości swojej
Pokonał szturmy, co biły na głowę,
I jak zwycięzca zawinął w ostoję,
I wrył kotwicę w odsypy portowe.
Tym samym kształtem działając, bez szkody
Wywiodłeś Polskę, choć groźne niebiosy;
A doczekawszy słońca i pogody,
W bezpiecznem miejscu złożyłeś jej losy.

XXXVI.

Ufny w swe twierdze, lud niektórej ziemi
Słodkim twym prawom nie chciał ugiąć szyję;
Więc, zasklepiony baszty cyklopskimi,
Mniemał, że w murach od ciebie się skryje.
Wiedzieli jednak, że dobrą jest strażą,
Ale bezpieczniej gnuśnieć za okopy,
I nikt z narodu, chociaż się odgraża,
Nie wyniósł z miasta przepłoszonej stopy.
Tak żółw leniwy, ośmielony ciszą,
Z rogowej konchy wymknie się nieznacznie,
Spojrzy, że ludzie nie widzą, nie słyszą,
Wytknie pazury i przepęłzać zacznie.

XXXVII.

Lecz go znienacka ubodnij żelazem,
Zaczmycha zwierzę, nikczemne i głupie,
Przytuli głowę i upadnie głazem,
Mocno skurczone w rogowej skorupie.
Tym kształtem owi. przymknięci do ściany,
Zrzucili miecze i wojną nie grożą.
Królu łaskawy! znałeś rokoszany,
Aleś zdał pomstę na prawicę Bożą.
Nie chciałeś ludzkich cierpień i katuszy,
Aby okazać żeś król nie morderca,
I obyczajem rodzicielskiej duszy
Wszystkicheś równie przysłonił do serca:

XXXVIII.

Aby nie tylko twoi bojownicy,
Którzy przy tobie dzień zwycięstwa święcą,
Lecz i przeciwni, wyrzuci z przyłbicy
Błogosławili łaskawość książęcą.
Oto domowe dzieła twej prawicy!
Teraz, o muzo! niech się pieśń zadzwoni,
Jako rusińscy setni orężnicy
Nie mogli dotrwać pod piorunem broni,
I na ucieczkę rozpierzchli się w chwili
Od króla mego bohaterskiej stali,
I chwałę wojny jemu odstąpili,
I ziemie swoje łącznie mu oddali.

XXXIX.

Święta Pierys, co zna tamte dzieje,
Niechże swą harfą wesprze moje cele!
Nie będę gmatwał, po krótkce opieję,
Bo można w krótkce wypowiedzieć wiele.
Gdzie wielkie czyny, nic po piewczym trudzie,
Można go opiać piosenką powszednią.
I naród Lachów, i rusińscy ludzie,
Jest to krew stara, słowiańska zajedno;
Lecz insza wiara, insze obyczaje
Z dawien pokrewne rozbratały serce.
Z dawien sarmackie i rusińskie kraje
W zapamiętałej walczyły rozterce.

XL.

Z obojej strony często miecze bierzem,
Chodzim o lepszą sławy lub korzyści,
I rzadko kiedy chwilowem przymierzem
Usypia żmija starej nienawiści.
Siła bezprawi, choć powód ich marny,
Lada gniew męża uzbrajał na męża, —
I teraz ruski gospodar polarny
Żadną żrenicę ku Polsce wyteża;
A widząc dobrze, że ku naszej szkodzie
Snadno mu będzie bój odnowić stary,
Dał swoje carskie hasło po narodzie
I zebrał męża bitnego bez miary.

XLI.

Gdzie warownego grodu baszty sterczą,
 Oblężył Połock za litewską miedzą.
 Bogate miasto! dobrze o tem wiedzą,
 Wzięli je szturmem, śmieją się szyderczo,
 Bo chcą nam wydrzeć wszystko na północy.
 Inflancie żyzne łechtało go szczerze,
 Więc, korzystając z okazanej mocy,
 Z całym zamachem w te kraje się bierze,
 Przez piękne wioski, przez miasta książęce,
 Przez błogie pola, gdzie złoci się ziarno,
 Dąży Ruś mnoga i w skrwawionej ręce
 Niesie miecz rzezi i żagiew pożarną.

XLII.

Naszedł na miasta, zdobył niespodzianie,
 Zapisał leże swej mocnej załozde,
 I dalej wiedzie po wytkniętym planie
 Różne zastępy po rozlicznej drodze.
 Tak się przed laty na tej ziemi czyni,
 Tak się tu znęca ich nieprzyjaźń dzika,
 Tak za Augusta czynili Rusini
 I za krótkiego pobytu Henryka.
 Królu! tyś jeden wyzwolił od klęski
 Ziemię, po której wrogi plondrowali;
 W przecz im swój pałasz stawiając zwycięski,
 Rzekłeś: Tu koniec! nie pójdziecie dalej!

XLIII.

Już każdy z ludzi uwierzyć był gotów,
 Że Bóg poświęcił twe rycerskie łono;
 Z najpierwszych bowiem wojennych obrotów
 Dobrze o celu wyprawy wrócono.
 Gdy bowiem zaraz pod W e n d e Ń s k i m grodem
 Stała potężna Rusinów załoga.
 Ty, więcej silny umem niż narodem,
 Z małemi hufce pokonałeś wroga.
 Nie tylko wojsko lecz w jednymże razie
 Został dwoisty triumf osiągnięty:
 Hetmany wojska i najstarsze kniazie
 Wzięłeś, skowałeś żelaznemi pęty.

.

XLV.

Wzmocniono mury, osypano wały,
 Miasto nieśpiące opasano wartą,
 W obronnych basztach nabito wystrzały
 I krzepkie bramy na głucho zaparto.
 Gotują strzelbę straszną a wspaniałą,
 Tu słyhać okrzyk, a tu oręż brzęczy;
 Słowem, zebrano zasobów niemało,
 Aby wytrzymać napad oblężńczy.
 Lecz skoroś przybył, zadrgały ich nerwy,
 Bo szturm rycerski przypuściwszy biegle,
 I mierząc strzelbę armatnią bez przerwy,
 Kamienne ściany kruszyłeś po cegle.

.

XLVII.

Sprzyjał ci dalej twój oręż wyborny.
 I los ci płużył w najpierwszej jutrzence,
 Bo w tejże chwili ważny punkt odporny,
 Warownia Suza zdała się w twe ręce.
 Pomijam inne, bo i któż policzy
 Pobrane miasta, pokonane rzesze?
 Raczej napowrót (jako serce życzy)
 Za królem moim pod Połock pospieszę.
 Miasto wcielone do ojczystej niwy,
 Niechaj się samo wywdzięczy, wysłowi,
 Jako je przyjął monarcha życzliwy,
 I ile danku winno jest królowi.

XLVIII.

Z monarchą moim, gdy w harce wyruszy,
 I Ruś się może postawi do miary;
 Lecz czy się zrówna wspaniałością duszy,
 Łagodnem sercem, dochowaniem wiary?
 Bo kto nie zabił w wojennej potrzebie,
 Kto uszedł cało od pożarcia miecza,
 Stefan każdego przygarnął do siebie,
 Każdemu wolność i byt zabezpiecza.

.

LI.

Szerokie rzeki, nieuhamowane,
 Musiałeś pętać mostami i promy,
 Przechodzić góry zamglone, zawiane,
 Drzeć się na opok urwiste ogromy.
 A jeszcze zimny Akwilon szturmowy,
 Mszcząc się za swoje rodaki północne,
 Wiał ostrem zimnem na sarmackie głowy
 I ziębił dreszczem twe zastępy mocne,
 I darł proporce. — Lecz strasznyż dla cnoty,
 Strasznyż dla męstwa wypadek złowrogi?
 Zwycięsko wiodłeś twe ochocze roty,
 Jak gdyby środkiem najrówniejszej drogi.

LII.

Na samo serce północnej krainy
 Rycerską stopą nastąpiłeś śmieie.
 I tam zaniósłeś twe waleczne czyny
 I twoje szczęście w bohaterskiem dziele.
 Oto albowiem na Wieliż a ściany
 Silną prawicą dałeś cios poprzedni,
 Choć był po męsku broniony, trzymany;
 Dalej i Uświat, ich gród niepośledni,
 Uległ przed tobą, i w żyznej krainie
 Łuki schyliły swój terem kamienny, —
 Miasto obfite, jak sycylskie Enny,
 Nie mogło dotrwać szturmowej secinie.

LIII.

Tymczasem wrogi, bite naokoło,
 Skoro po klęskach dokładnie poznali,
 Że niebezpiecznie nastawować czoło
 Na silny zamach bohaterskiej stali;
 Więc układają fortelne pozory,
 By zachwiać ciebie i twoje szeregi,
 To przez pisanie, wieści, rozhowory,
 To przez obłudne posłańce i szpiegi.
 Trudno cię podejść przez fortel niewieści.
 Boś wychowaniec Marsa i Minerwy;
 Choć dałeś ucho pisanom i wieści,
 Nie dałeś folgi działaniom bez przerwy.

* * * * *

LV.

I jako letni ptaszkanie przed mrozem,
Uszli przed tobą w pierzchliwym zapędzie;
Lecz ty, zwycięsko goniąc za obozem,
Ślad swej prawicy wycisnąłeś wszędzie.
Przed tobą Newel zniżył się wysoki
I głośno wsławił twe ramię olbrzymie;
Za Newlem Oziersk bez długiej przewłoki
Poddał swą twierdzę na królewskie imię.
I ty się zdałaś, krzepka Za wo ł o c z y !
Ni cię warowne miejsce nie ustrzeże,
Ni wielka woda co się wkoło toczy,
Chroniąc i miasto, i forteczne wieże.

LVI.

Już kniaź ustąpił dla naszej korony
I snadno puścił we władanie twoje
Dźwiskie nadbrzeża po obiedwie strony,
By jeno wstrzymać twe dalsze podboje.
Ruszyłeś obóz — twa drużyna hoża
Leciała, myśląc o chwały ogromie.
Ty w nieprzyjaciół schronienia i zboża
Kazałeś puścić rozdmuchnione płomie.
Północny mocarz, co trwożeń się błaka,
W Starzycy z całą zamknął się gromadą;
Tam była jego młodziuchna małżonka
I miłe sercu ojcowemu c z a d o .

LVII.

Ujrzał, jak płomień naokoło brodzi,
Obaczył pożar przy samem swem gnieździe;
Więc przerażony siadł do bystrej łodzi,
Szukając salwy w skwapliwym odjeździe,
I w głąb swych krain ledwo uszedł zdrowo.
Twa dłoń nie słabnie, twe oczy nie drzemia,
Lotem się zwracasz na odwieczne P s k o w o ,
I jąłeś w mury kołatać olbrzymio.
Tamtejszy Ostrow, co się z wody rzecznej
Wynurzał, jako pływająca nawa.
Uczuł na sobie twój cios niebezpieczny,
Zdał się najpierwszy na zwycięskie prawa.

LVIII.

Stąd biorąc drogę do celu w pobliżu,
Pod mur przyszedłeś okolny i twardy,
Tameś podkopał swe gromy ze spiżu,
Burczące miny, moździerze, petardy,
Od których ściana pęknie i rozerwie.
Wprawdzie nie k'myśli był szturm oblężńczy,
Szedł ci oporem, lub ulegał przerwie,
Ale tuszyłeś, że koniec uwieńczy.
Żaden nie wąpił, że przed twemi szyki
Zaraz się zniży warownia poddana.
Kto widział dzielne twoje waleczniki
I przeznał serce hetmańskie Stefana.

LIX.

A jeśli zamek mocno okopany
Nie mogła dostać siła wyborowa,
I jeśli łącno nie zdały się ściany
I stare baszty bogatego Pskowa,
Jednak niemały był przepłoch w narodzie,
Ani ich mocna osłoniła cegła;
Bo Ruś, choć twardo wmurowana w grodzie,
Niejednokrotnej porażce uległa.
Wreszcie, nie śmiejąc iść szablą na szablę,
Chciała wojować fortelnemi dzieły;
Gdyż oto w nocy ich silne korable
Starym gościńcem rzeki podpłynęły.

LX.

Aleś przeniknął ich zamiary blisko,
I takeś zdradę zniweczył na szczęty,
Ze jedni w wodzie mieli topielisko,
Drudzy do brzegu przybili okręty
I tam dostali spotkanie z mogiłą.
Także zginęło od sarmackich mieczy
Lądowe wojsko, co zdradą lub siłą
Chciało się gwałtem przedrzeć ku odsieczu,
Wyzwolić miasto od nas niespodzianie.
Silny to zamach, lecz czyż się ostoją
Jakie zamachy, o zwycięski panie!
Przed szczęściem twojem i dzielnością twoją.

LXI.

Nie żaden zamach wstrzymał nas na drodze,
Nie żadna siła, ni miecz ruskich dzieci,
Lecz ostra zima i wzniecone srodze
Wichry i burze, śniegi i zamieci,
I rodak Rusi, Akwilon złowrogi,
Odjął naszemu rycerstwu korzyście;
Bo ścięty mrozem, ów ręce, ów nogi,
Ów życie stracił, zakrzepł wiekuiście,
Temu zdrętwiały powieki na oku,
Ten nos postradał, ten ucha, ten ręki,
Tego śnieg zawiał (o straszny widoku,
Rany, kalectwa i bolesne jęki!)

LXII.

Nie cięciem miecza rozbito nam głowy,
Nie ostrzem grotu ciśnięto po zbroi,
Lecz wiatr północny i mróz polusowy
Pozbawia członków i twarze nam kroi.
Nie bicie z armat zachwiewa i głuszy,
Lecz wichher wściekły bije w nas z łoskotem;
A przecież żołnierz nie upadł na duszy
I był zwycięzcą, choć nie wiedział o tem.
Bowiem tu w grudniu i słońca już niema,
I widok wkoło ciemny i surowy;
Znał nieprzyjaciół, że ta ostra zima
Płuży mu, ciężąc nad naszymi głowy.

LXIII.

Więc ośmieleni, przez bramy otwarte
Z całemi siły do natarcia biega;
Lecz nie zawiedli naszą czujną wartę,
Ani ubiegli rycerstwa polskiego.
Bo mury miejskie, bramy odemknięte,
Przez które weszli do srogiej zaczepki,
Były już naszym żołnierzem zajęte
I czuwał przy nich posterunek krzepki.
I tak, choć sidła postawiono zdradnie
Na naszą gnuśność, lecz obrona łatwa:
Żrenica bystrą zasadzkę odgadnie,
A ręka sprawców sieciami zagmatwa.

LXIV.

Starego miasta nie chcąc dać na straty,
Wróg już zaniechał fortelić nieszczerze,
I zamiast dawać od siebie traktaty,
Wolał już kornie prosić o przymierze.
Prędkoż minęły. królu pełen cześci!
Owe pogroźek nienawistnych lata:
Ruś ci groziła, że przez lat czterdzieści
Żadnym sojuszem z tobą się nie zbrata,
Ani przymierza nie zechce w umyśle,
Ani przymierza żądać nie pozwoli,
Ni posłanników do ciebie nie przyśle,
Aby czynili przyjacielstwu gwoli.

LXV.

Ale w potrzebie pycha się uchyli
I harde serce swoją hardość złoży,
Butna przechwałka w niefortunnej chwili
Bolesnym wstydem czoło upokorzy.
Pyszny się umysł napróżno wynosi,
Łada wypadek. już kornie się kłania.
Słońce rok jeden ubiegło na osi,
Już wróg podaje rękę pojednania.
Już swe zapomniał pogroźki dobitne,
Bo się o naród i kraj boi szczerze;
Oto przysyła posły czołobitne,
Wyprosić łaski, uczynić przymierze.

LXVI.

Nie tylko k'tobie, bo ci niedowierza,
Bo nadto blisko wieją twe sztandary,
Lecz i do Ojca świętego Papieża,
Na Rzym daleki śle swoje bojary,
By go prosili, aby swoim wdaniem
Zatrzymał twoje rycerskie pochopy,
Abyś je przerwał szczerem pojednaniem
I cofnął nazad twe zwycięskie stopy.
A Papież, widząc, że z pokorą przyśli,
Przyjął. uwierzył, wysłuchał w potrzebie,
Kazał wstać posłom i być dobrej myśli,
I z dobrą wieścią powracać do siebie.

LXVII.

Wybrał legata, zlecił mu staranie,
I kazał w drogę jechać bez odwołki,
A słowem Rzymu, o sarmacki panie!
Wstrzymać na Rusi twe zwycięskie kroki.
Kornie przyjąłeś apostolskie słowo,
Dzieło u końca przerwawszy, jak sędzę;
Bo już za chwilę obleżone Pskowo
Miało-ć bram swoich otworzyć wrzeczadze,
Bo głód je nęka i znękać już musi,
I twoje wojsko ścisnęło niemało.
Po wzięciu Pskowa, zrozpaczonej Rusi
Jużby ratunku pono nie zostało, —

LXVIII.

Chyba sięść w nawę, skryć kirysem czoła
I Wołgą uciec na pustynne pole.
Ale zwycięzca, dobry syn Kościoła,
Świętego Rzymu uszanował wolę,
I spełnił rozkaz. Winni ci podziękę,
Bo nie ziem cudzych pragnęło twe łono,
Nie dla zaborów wyzwaleś na rękę,
Lecz by ci twoje ziemie powrócono.
Czyż można słuszniej bojować zwycięsko
I dać warunki w szlachetniejszej mierze?
I oto swoją na Inflanciech klęską
Hospodar ruski okupił przymierze.

LXIX.

Masz tedy, królu, w bezspornej zalecie
Twojemu wojsku powinszować śmiało,
Że tak pod bronią stojąc przez trzy lecie,
Ani się razu w szczęściu nie zachwiało.
Masz co winszować — prawym obyczajem,
Chociaż walczyłeś za liwońskie niwy,
Nic się nad spornym nie znęcałeś krajem;
Lecz hetman biegły, walecznik prawdziwy,
Na ziemię wrogów obróciłeś płomień
I miecz na winną skierowałeś głowę,
I tameś zyskał w północnym pogromie
Niezaprzeczone wawrzyny bojowe.

LXX.

Czołem ci! czołem! bądź nam wysławiony!
Równego sobie nie znajdziesz nikogo.
O mieczu Marsów! o synu Bellony!
Wrogów ojczystych niedaremna trwogo!
Herkulu polski! tyś kraj znakomity
Wyzwolił z zębów straszliwego dzika,
Co w ciemnym borze niedostępnie skryty
Tylko się gwoli spustoszeń wymyka.
Pod twą maczugą uskromił już ducha,
Już mu nie myśleć o nowej łupieży;
Próżno się miota, i parska, i grucha,
I szceciniasy grzbiet kolcami jeży,

LXXI.

I kły naostrza, i oko rozżarza,
I leje pianę po rozwartym pysku,
I smolne boki po murawie tarza, —
Już mu nie leżeć w starem legowisku.
Rolny ziemianin niech spokojnie orze,
Już się doń leśny postrach nie przypyta;
Już niezmrożone na troiste morze
Płyną troistych wielkich rzek koryta.
Dniepr czarnomorski, i kaspijska Wołga,
I Don meocki niech uchylą głowę;
Niech każda rzeka w swą stronę się czołga
I tam rozpowie czyny Stefanowe.

LXXII.

Wieczna twa sława od grodów do grodów
Rozlatać będzie najszerzej, najdalej,
Twoje zwycięstwo na uścicach narodów
Na nieskończoną przyszłość się utrwali.
Kraj szczęśliw będzie, — mścicielskie ramiona
Wždy gromić będą wroga, co się zaciął;
Ojczyzna moja, przez ciebie pomszczona,
Śmielej dziś zajrzy w oczy nieprzyjaciół!
Niechaj Bóg jeno (jak się człek spodzieje)
Da ci wiek długi — i z ojcowskiej czary
Błogosławieństwo ojcowskie wyleje
Na twoją głowę i twoje zamiary!

LXXIII.

Niech jeno Parka przysporzy ci wieku,
Niech młodość z liców rycerskich nie schodzi.
Ojczysta ziemio! ach, po takim człeku
Czegoż się tobie spodziewać nie godzi?!
Może się cofniesz przed szwedzkiemi wrogi,
Coby nas doma nawiedzić ochoczy?
Lub może Scyta przez dnierzańskie progi
Na twoje grunta choćby nogą wkroczy?!
Pont, jak za dawna granicą nam stanie,
Pustoszne niwy odrodzą się z chleba,
Winna latorośl da sute zebranie,
A mury grodów wzniosą się do nieba.

Cum Stephani impositum est nomen tibi, nempe, coronae
Omen id et magni jam fuit imperii,
Idem vero hominum quod diceris ore Bathorreus,
Flumina designat consilii alta tui.

* * *

Gdyś narzeczon Stefanem, już to samo imię
Wróżyło ci koronę i państwo olbrzymie;
Zaś Batory, nazwisko twoje starożytne,
Znaczą głęboką mądrość i czyny zaszczytne.

Na weselu Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana, z Gryzeldą Batorówną, córką Krzysztofa Batorego, księcia Transylwanii, synowicą króla Stefana, w roku 1583, przy lirze śpiewał Krzysztof Klabonus, muzyk królewski.



SPIS RZECZY.

	Str.
PRZEKŁADY Z ROZMAITYCH JĘZYKÓW.	
Fragmenta z ksiąg Hioba	5
Urywki i parafrazy z Eklezjastyka	24
Z poezji Tychona Brahego	26
Adama Schrötera urywek z poematu	27
Piosenki J. P. Beranger'a.	
Król Ćwieczek	28
Pan Szczęsny Hulakiewicz	30
Wiosna i jesień	31
Trup żyjący	33
Podróż na księżyc	34
Dzień Zaduszny	36
Starość	37
Ptastwo	39
Stara kapota	40
Trzynastu u stołu	41
Kometa	42
Stary kapral	43
Alchemista	45
Nostalgja czyli tęsknota do kraju	47
Do możnych przyjaciół	48
Stary włóczęga	50
Poezje Goethe'go.	
Z kantaty „Rybacka”	51
I. Król Olszyn	51
II. Topielec	52
III. Śpiew weselny staroniemiecki	53
Zuzanna Topielica	54
Pieśniarz	56
Pieśń emigrantów irlandzkich	57
Stary żeglarz. (Z Coleridge'a)	59

	Str.
Ptaki wędrowne. (Zc Stagnelius'a)	76
Pieśń rycerza norweskiego Harolda	77
Babunia. (Z Andersen'a)	78
Gwarinos	79
Gracze. (Z Puszkina)	84
Orzeł. (Z Puszkina)	84
Laik klasztorny. (Z Lermontowa)	85
Przyjaciół ludzkości. (Z Nekrasowa)	104
Na Wółdze. (Z Nekrasowa)	109
Cmentarz. (Z Nikitina)	116
Przekłady z małopruskiego. (Z Szewczenki).	
Perebenda	117
Dumka	120
Dumka	121
Katarzyna	122
Najemnica	139
Iwan Podkowa	155
Dumka	157

PRZEKŁADY POETÓW ŁACIŃSKO-POLSKICH EPOKI ZYGMUNTOWSKIEJ.

Poemata Klemensa Janickiego.

Elegja. Do Jędrzeja Krzyckiego	161
• Elegja. Poleca swej muzie, aby mu zjednała Stani- sława Hozjusza	164
DIALOG o niestałej rozmaitości odzieży u Polaków	166
Epitalamion Najjaśniejszemu Królowi Polskiemu Zy- gmuntowi Augustowi	171

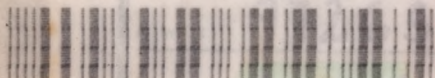
Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego.

Elegja I	177
Elegja II	179
Elegja III	180
Elegja IV	182
Elegja V	185
Elegja VI	187
Elegja VII	189
Pieśń zwycięska	194



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

9721/VI S



001-009726-06-0

„Zbiory Śląskie”